
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

924
20+4.

# PRZEMÓWIENIA, WYWIADY, ARTYKUŁY
1926 — 1929.

*Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.*

JÓZEF PIŁSUDSKI

# 1926—1929

## PRZEMÓWIENIA, WYWIADY, ARTYKUŁY

ZEBRANE I DO DRUKU PRZYGOTOWANE

przez

ANTONIEGO ANUSZA

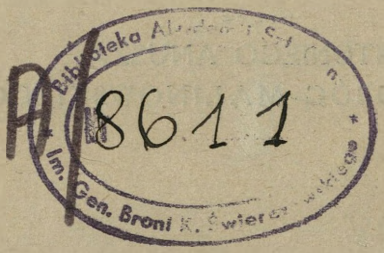
I WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

XIX.14.

WARSZAWA — 1930

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „POLSKA ZJEDNOCZONA„
SKŁAD GŁÓWNY: DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

*Artykuł wstępny p. t. „Sława człowieka władzy" napisał Antoni Anusz. Komentarze, poprzedzające każde przemówienie, wywiad czy artykuł—napisał Wł. Pobóg-Malinowski.*



## OD WYDAWCÓW.

*Przystępując do częściowego wydania przemówień i artykułów Marszałka Józefa Piłsudskiego, uważaliśmy za wskazane przedewszystkiem uwzględnić to, co Marszałek Piłsudski wygłosił i napisał w ciągu ostatnich lat. Łączy się to bowiem najściślej z aktualnemi zagadnieniami naszego życia państwowego.*

*Maj roku 1926 w życiu Polski zmartwychwstałej był momentem zwrotnym. Moment ten przyjęliśmy w swej pracy za punkt wyjściowy, zdając sobie sprawę, że wybór tego zwrotnego momentu nie zapobiegnie konieczności mechanicznego przecinania organicznej treści wystąpień Marszałka Józefa Piłsudskiego w imię walki o pewne zasady życia państwowego.*

*Zbiór niniejszy rozpoczynamy wypiskami, wiążącemi się jak najściślej z wypadkami majowemi: — w dalszym ciągu dajemy w porządku chronologicznym wszystko, co było ogłoszone drukiem w ciągu tych kilku lat ostatnich, za wyjątkiem aktów o charakterze ściśle oficjalno-reprezentacyjnym.*

*Dążeniem naszem było dać czytelnikowi możność bezpośredniego, niczem niekrępowanego obcowania z Marszałkiem. W komentarzach, poprze-*

*dzających każde przemówienie, wywiad czy artykuł, skreśliliśmy zwięzły obraz wydarzeń politycznych, które je wywołały, ograniczając się jedynie do podania faktów, unikając starannie jakiegokolwiekbądź ich oświetlenia i nie wyciągając z nich żadnych wniosków. Tekst Marszałka Piłsudskiego dajemy bez żadnych zmian, bez najdrobniejszych nawet skróceń oraz bez wyjaśnień, — nawet w tych ustępach, które wymagają od czytelnika znajomości i orjentacji w życiu politycznem Polski i w dorobku pisarskim Marszałka Piłsudskiego. Uczyniliśmy to rozmyślnie, — w pierwszym bowiem wypadku moglibyśmy się bardzo łatwo narazić na zarzut stronniczości i tendencji, w drugim — ze względu na ścisły związek, istniejący między poszczególnemi pracami pisarskiemi Marszałka, — musielibyśmy się uciekać do bardzo licznych cytat i cofać się bardzo daleko wstecz, przynajmniej do lat, poprzedzających bezpośrednio wybuch wielkiej wojny.*

*Materjał czerpaliśmy z roczników kilku czasopism, głównie z „Kurjera Porannego" i „Głosu Prawdy". Kilka wywiadów i artykułów, nie drukowanych w tych dziennikach, zaczerpnęliśmy z krakowskiego „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" oraz warszawskiego „Expressu Porannego" i „Polski Zbrojnej".*

*Krótkie wstępy do każdego artykułu Marszałka Piłsudskiego opracowaliśmy na podstawie materjału, zaczerpniętego z roczników tychże czasopism.*

*Warszawa, 4 stycznia 1930 r.*

*WYDAWCY*

# SŁOWA CZŁOWIEKA WŁADZY.

*W czasach, gdy zagadnienie ustroju państwa i organizacji jego władz przykuwa do siebie powszechną uwagę, staje się rzeczą konieczną wydanie przemówień, wywiadów i artykułów Marszałka Józefa Piłsudskiego od maja 1926 roku do dni ostatnich.*

*Marszałek Józef Piłsudski jest największym w Polsce ekspertem w sprawach rządzenia państwem.*

*Każda Jego myśl, każda uwaga, niezależnie od formy, w jakiej została wypowiedziana, powinna być znana i rozważana wśród tych, którzy pracują nad rozwijaniem i organizowaniem sił narodu.*

*Nikt w Polsce skuteczniej od Józefa Piłsudskiego nie zamieniał chęci słów w potęgę działania, słowo Jego zawsze prowadziło do czynu. Jest On mistrzem sztuki skutecznego działania.*

*Podnietą w Jego nadludzkich wysiłkach i trudach była Mu miłość dla swego narodu*, „z którym — *jak pisze* — wiązało Go wszystko, co cieszy, wszystko, co boli, wszystko, co w Nim myśli i wszystko, co czuje". *Naród zaś cały, kierując się swym nieomylnym instynktem samozachowawczym, do Józefa Piłsudskiego zwracał się po ratu-*

*nek i ocalenie w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa.*

*W listopadzie 1918 roku Józef Piłsudski objął pełnię władzy zwierzchniej w nowopowstającem Państwie Polskiem siłą faktu swego bezspornego autorytetu moralnego w narodzie.*

*W lutym 1919 roku Pierwszy Sejm Ustawodawczy Wskrzeszonej Polski jednomyślną uchwałą powierzył Józefowi Piłsudskiemu sprawowanie władzy Naczelnika Państwa. Było to* „podczas wojny, która rozgorzała na wszystkich naszych granicach".

*W drugiej połowie lipca 1920 roku, gdy armje bolszewickie przełamały opór naszego młodego wojska i zbliżały się do bram stolicy, Rada Obrony Państwa, do której byli delegowani na zasadzie klucza partyjnego przedstawiciele stronnictw sejmowych, wszystkiemi bez wyjątku głosami swych członków wyraziła pełne zaufanie dla Józefa Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.*

*Józef Piłsudski nie zawiódł pokładanej w Nim wiary i ufności całego narodu: utrzymał ład i pokój wewnątrz państwa i odniósł nad Moskwą bolszewicką świetne i rozstrzygające zwycięstwo, które przygotował i zorganizował swoją ostrożną i przewidującą polityką.*

*Po zwycięskiej wojnie z Rosją i po definitywnem ustaleniu granic państwowych, Józef Piłsudski skoncentrował swoją uwagę i wolę na zagadnieniu organizacji naczelnych władz w państwie z myślą o tem, aby Polsce zapewnić silną i sprawną władzę wykonawczą, której brak stał się przyczyną rozstroju, niemocy i upadku Polski przedrozbiorowej.*

*Zorganizowanie narodu w państwo, to dopiero*

*początek dzieła. Państwu należy zapewnić siłę i bezpieczeństwo. Źródłem siły państwa jest wysoki poziom wyrobienia państwowego jego obywateli. W swej pracy rozwijania poczucia i świadomości obywatelskiej w społeczeństwie, w pracy tworzenia kultury państwowej, Józef Piłsudski napotkał wielki opór w zakorzenionych nałogach i przywarach psychiki narodowej.*

*Jego własne przeżycia i doświadczenia z zakresu wysiłków nad tworzeniem w Polsce kultury państwowej tłomaczą wiele późniejszych Jego powiedzeń i sposobów postępowania. Przeżycia te były w pierwszej chwili podniosłe i radosne, a następnie coraz cięższe i coraz bardziej niepokojące. Do pierwszych J. Piłsudski zaliczał* „fakt moralnej pracy narodu", *wyrażający się w dobrowolnem podporządkowaniu się narodu Jego nieograniczonej władzy w listopadzie 1918 r., a następnie w jednogłośnem wybraniu w Sejmie na Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.*

*Oto, jak o tem mówi sam Piłsudski 3-go lipca 1923 roku:* — „Moi Panowie! Ten fakt moralnej pracy, której dokonał w tym czasie naród, nie jest moją historją, jest historją wszystkich tych miljonów ludzi, którzy wtedy tego dyktatora słuchali, którzy nawet z minami czy grymasem niechętnym, jemu się poddawali. Faktem jest, że tak było. Ta moralna praca, której dokonał wtedy wielomiljonowy naród, jest faktem niezwykłym. Był on jakgdyby zaprzeczeniem tej smutnej dalekiej tradycji i tej smutnej sławy, którą naród nasz miał w przeszłości. Polska, sami Polacy to twierdzili, nierządem stoi, Polska, to jest prywata, Polska, to jest zła wola, Polska, to jest anarchja. I jeśliśmy po upadku

mieli sympatję dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie. Nie zaufanie, a niepewność wzbudzaliśmy i stąd chęć narzucenia nam opiekunów wyznaczonych dla narodu anarchji, niemocy, samowoli, dla narodu, który się do upadku doprowadził prywatą, nieznoszącą żadnej władzy. I w tym narodzie powstał fakt tak niezwykły i tak dla niego oryginalny.

Moi Panowie! Dumny jestem z tego faktu, dumny jestem nietylko dlatego, że mnie ten zaszczyt spotkał, ale dumny byłem również ze swego narodu *(oklaski)*. Nie idzie mi, raz jeszcze powtarzam, o moją wartość lub o moją bezwartość, nie idzie mi o ocenę krytyczną tej czy innej mojej pracy, o wskazanie tego lub innego błędu lub tej czy innej cnoty. Idzie o sam fakt historyczny, który swoją nowością w Polsce i swoją niezwykłością metody zastanawiać będzie musiał każdego historyka...

Proszę Panów! Zaszczyty, honory, zaufanie, jednozgodnie wyrażone, znowu wywołały mi gdzieś w zamierzchłej przeszłości wspomnienia dawne, wspomnienia przeklęte, gdzie były te sejmy, które kiedyś bezdarne i krzykliwe o jednozgodność wołały i nigdy tej jednozgodności nie miały, gdyż jeden człowiek, płatny szpieg, o duszy pełnej brudu, mógł pracę państwa zniweczyć. Gdzie te wspomnienia, gdzie posłowie i dygnitarze, na obcym żołdzie, w obcych kieszeniach, w obcych będący rękach, obcych słuchający rozkazów, płaszczący się jak gad przed obcymi, a tak dumni, a tak panoszący się w domu! Gdzie te wspomnienia? Pierzchły, zginęły, bo znowu był akt moralny, akt odrodzenia. Znowu jest jednozgodność, ta niegdyś żądana, ta

niegdyś wymarzona, ta niegdyś krzyczana i okrzyczana, ta jednozgodność w jednym akcie. Czy ktokolwiek to robił pod strachem, czy przez przyzwoitość, czy z powodu niemożności znalezienia innego wyjścia, czy kto robił to biernie czy czynnie — to jest wszystko jedno, fakt jest, fakt historyczny, który skupił się na mojej osobie.

Powtarzam raz jeszcze, że nie znam faktu tak dziwnego, nie znam faktu tak śmiesznego w swojej prostocie, jak ten, który jednego człowieka, tak mało znanego, tak mało odczutego, tak mało zżytego z całem tem społeczeństwem — bo wśród posłów znałem może kilkunastu, wszyscy inni byli mi obcy ludzie, którzy mnie nie znali, którzy nic nigdy nie wiedzieli o mojem życiu — wynosi na to stanowisko, bez żadnego gwałtu, przymusu, bez żadnej agitacji, a nawet wbrew jego woli, gdyż tego nie szukał, daje mu dobrowolnie władzę tak wybitną i tak wyjątkową.

Kazano mi wreszcie reprezentować siebie, wszystkich w Polsce nazewnątrz i wewnątrz. Jeżeli przedtem mogłem tłomaczyć zjawisko jakiemś zamąceniem, jakąś nieumiejętnością — to w tym wypadku ludzie wybrani, mający czas do namysłu, do narad, do krytyki każdego swego postanowienia — dają mi poza tem, co miałem poprzednio, dają mi siłę moralną, którą każdy człowiek mieć może, gdy takiem obdarzony jest zaufaniem, gdy to zaufanie w taki manifestacyjny, w taki uroczysty, w taki niezwykły sposób się wyraża. Lecz odtąd, Panowie, te piękne zaszczyty, cudne, jak z bajki tysiąca i jednej nocy, odtąd historja się zmienia".

*Wiemy, jak wyglądała ta zmieniona historja.* „Zaplute karły, wylęgłe w bagnach niewoli", *roz-*

*poczęły dziką nagankę na przedstawiciela najwyższej władzy w państwie, przypisując mu najgorsze pobudki działania i najpotworniejsze zamiary. Reprezentanta państwa systematycznie obdzierano ze czci i powagi moralnej, uzasadniając tę nikczemną robotę wysokiemi słowami i wysokiemi hasłami. Dało to powód Józefowi Piłsudskiemu do takich wyrzutów pod adresem pewnych kół naszego społeczeństwa:* — „Gdzieindziej, w stosunku do reprezentantów państwa, nawet gdy są nieuczciwi, ukrywa się to, czyni się wysiłki, by na reprezentancie plamy nie było, by błyszczał, jak tarcza. Gdzieindziej Wódz Naczelny, który zwyciężył, jest czczony, spotykają go honory i zaszczyty, bo przecież on państwo wyratował, przecież on ocalił od nieszczęścia wszystkich. U nas inaczej — Wódz ma iść w błoto i tylko, gdy dostatecznie błota się napije, ma być godnym Polski. Proszę Panów, przywołując Wam na pamięć te rzeczy, streszczając historję pięciu lat ubiegłych, nie chcę wcale wywoływać efektu tragizmu. Chcę tylko stwierdzić, że to błoto jest i że ma ono powagę i znaczenie w Polsce. Chciałem stwierdzić, że jeżeli Polska w pierwszym okresie zdobyła się na naprawę Rzeczypospolitej, to potem powoli od naprawy do starych narowów powrót się zaczyna, i że, Panowie, wielkich wysiłków pracy trzeba, aby Polskę znowu na drogę naprawy wypchnąć".

*W swych usiłowaniach pchnięcia narodu na drogę naprawy J. Piłsudski działał początkowo perswazją, radą, odwoływaniem się do patrjotyzmu i poczucia odpowiedzialności polityków sejmowych i pozasejmowych. Znamiennem jest pod tym względem Jego przemówienie z dnia 5-go grudnia 1922 r., zakończone następującemi uwagami: —*

„Proszę wysłuchać rady. Na mnie proszę nie głosować, proszę wybrać człowieka, któryby miał cięższy chód, lecz lekką rękę. Z bagien i trzęsawisk trzeba się wydobywać. Człowiek o lekkim chodzie przechodzi je za szybko i nie pomaga przez to innym. Natomiast lekka ręka jest potrzebna dla wprowadzenia kompromisu. Kompromis jest nieszczęśliwem słowem. W wielu umysłach łączy się ono z pojęciem zdrady. Tymczasem kompromis jest ściśle związany z istotą demokratyzmu. Polega on bowiem na uznaniu, że nietylko moja wola jednej strony, czy chęć jej jest uprawniona do przejawienia się w Państwie, lecz że równe prawa ma wola i chęć innych. Kompromis jest ułatwiony, gdy jego konieczność, narzucająca się sama przez się, urasta w zasadę szanowania innych, jako współobywateli. Współpraca wtedy jest łatwa i wola jednej strony nie sięga nigdy po laury dominowania „coûte que coûte“ we wszystkich przejawach życia państwowego. Kompromis taki za pomocą wpływu, jaki przy sprawowaniu rządu ma zastrzeżony Prezydent Rzeczypospolitej, wprowadzić może stopniowo lekka ręka, a nie ciężka, która szybko idzie do przymusu.

Dlatego nie radzę się zatrzymywać na kandydaturach o wybitnie partyjnem zabarwieniu. Nie radzę stawiać przyszłego Pana Prezydenta w ciężki konflikt między obowiązkami, jakie ma w stosunku do wszystkich — i tylko do niektórych.

Żegnając się z Panami i zamykając księgę naszej wspólnej historji, pozwólcie mi, Panowie, wlać trochę ciepła do mego suchego przemówienia. Cztery lata życia mojego minęły — widzę wśród Panów nie jednego, który w ciągu ubiegłych czterech lat wyciągał do mnie na chwilę lub na dłużej

chętną i lojalną rękę pomocy. Chcę wyrazić serdeczną wdzięczność za tę pomoc i zapewnić, że w miłem wspomnieniu zachowam zawsze wszystkich tych, którzy przeszli ze mną choć chwilę razem po historycznej drodze — drodze piaszczystej i błotnistej, drodze, jaką w ostatnich dwu latach przebyłem".

*Gdy nie pomogły słowa przekonywań i upomnień, J. Piłsudski odwołał się do siły, rzucając w maju 1926 roku swój wielki autorytet moralny na szalę wydarzeń w kraju.*

*Szale wagi dziejów wykazały podówczas, jak wielką jest rola J. Piłsudskiego w życiu narodu i państwa.*

*Wola jego unosi się dzisiaj nad całym obszarem naszego życia państwowego. Lecz jeden człowiek nie może pracować za wszystkich. Pomiędzy Józefem Piłsudskim a całem społeczeństwem musi być przerzucona transmisja wzajemnego zrozumienia i współdziałania.*

*Dobro narodu i państwa wymaga, aby Józef Piłsudski w swych zamierzeniach, zakrojonych na miarę historyczną, miał świadome poparcie większości społeczeństwa i nie był zmuszony ukradkiem, kontrabandą niejako, uprawiać rolę ojczystą pod posiew wielkiej i sławnej przyszłości. Aby dać komuś świadome poparcie, należy rozumieć jego cele i metody działania. Wydawnictwo niniejsze ma na celu udostępnienie wszystkim w Polsce źródła poznania i zrozumienia tego, jak mówi i pisze człowiek czynu, organizator zwycięstw i twórca faktów historycznych.*

*Wczytujmy się w słowa J. Piłsudskiego i wsłuchajmy się w ich najgłębszy sens, słuchajmy Jego rad i nawoływań! Piłsudski ma wzrok utkwiony*

*w te wielkie, podniosłe okresy historji narodowej, kiedy to naród wznosił się na szczyty wielkości i chwały i stara się nawiązać dzień dzisiejszy życia narodu do najświetniejszych tradycyj przeszłości. Ma więc prawo nienawidzić i gardzić tymi, którzy pomniejszają aspiracje narodu, dezorganizują jego siły i sieją niezgodę i rozterkę w duszę społeczeństwa.*

*Człowiek, który był dla całego narodu niezawodnem oparciem i ratunkiem w dniach najgroźniejszych niebezpieczeństw, zdobył sobie przez to największe prawo do stanowienia o tem, jaka forma ustroju państwowego zapewni narodowi pomyślny, równy i trwały rozwój.*

*Józefowi Piłsudskiemu nie chodzi o władzę dla siebie, gdyż ma jej ile tylko chce, lecz chodzi Mu o siłę i bezpieczeństwo Państwa Polskiego, które jest dziełem pracy Jego całego życia, pełnego trudów i niebezpieczeństw.*

*Uczmy się od J. Piłsudskiego umiejętności tworzenia siły i posługiwania się nią, albowiem — jak nas o tem poucza —* „moc bez sprawiedliwości i swobody jest przemocą i barbarzyństwem, sprawiedliwość i swoboda bez mocy jest pustym frazesem i dziecinadą“. *Pamiętajmy, że Państwo Polskie może istnieć tylko jako silne państwo: słabe Państwo Polskie nie da się utrzymać w tych, dobrze nam znanych, warunkach czasu i miejsca.*

*Pomyślny rozwój i bezpieczeństwo naszego państwa jest osią wszystkich myśli i prac J. Piłsudskiego.*

*Odczytując kartki tej książki, starajmy się skupić całą naszą uwagę przedewszystkiem na to, o co chodzi J. Piłsudskiemu, a nie na to, w jaki sposób i jakiemi drastycznemi słowy Jego wyczerpująca*

*się cierpliwość reaguje na te sztuczne przeszkody, jakie Mu rzuca pod nogi zła wola, prywata i ślepota polityczna tych, co niczego niezdolni są nauczyć się z ciężkich doświadczeń historycznych własnego narodu.*

*Dzisiejszy stosunek Józefa Piłsudskiego do zagadnienia ustroju państwowego jest taki, jakim był w roku 1915 jego stosunek do stworzonych przez siebie legjonów. W liście do księcia Lubomirskiego z dnia 25-go lipca 1918 r. czytamy:* „...Niestety, wtedy — we wrześniu 1915 r. — nie mogłem wykonać swej decyzji *(złożenia dymisji).* Przy pierwszej próbie wysondowania opinji wojska — w tym celu badałem wszystkich starszych oficerów — przyszedłem do przekonania, że usunięcie się moje wstrząśnie tak silnie moralnie wojsko, iż następstwem istniejącego już rozdrażnienia muszą być ekscesy, których znowu za wszelką cenę chciałem uniknąć. Wobec tego postanowiłem dymisję odłożyć i starać się odzwyczaić wojsko od wiązania zbyt silnie swego losu ze mną".

*Przez odpowiednią organizację władz państwowych J. Piłsudski chce dzisiaj osiągnąć ten skutek, aby Jego osoba nie była jedyną gwarancją rozwoju i bezpieczeństwa państwa. Chce On w ten sposób stopniowo naród* „odzwyczajać od wiązania zbyt silnie swego losu z Jego osobą".

*Ustrój państwowy musi być dopasowany do wartości obywatelskiej i kultury państwowej przeciętnego obywatela. Bezpieczeństwo państwa nie może być gruntowane na wierze, że w dniach niebezpieczeństw znajdzie się zawsze mocarz czynu, który swym genjuszem politycznym odrobi braki konstytucji i zagarnie dla siebie tyle władzy, ile mu*

*będzie potrzeba dla zorganizowania obrony Państwa.*

*Ta spekulacja ustrojowa, która z wyjątku usiłuje tworzyć regułę, nie zdoła uspokoić sumienia żadnego patrjoty, który nie tylko poznawał, lecz i myślowo przeżywał dzieje własnego narodu. Każdy bowiem Polak musi odczuwać ból i głębokie upokorzenie, gdy umysłem swym ogarnia wszystkie klęski, nieszczęścia, straty i krzywdy, jakie spadały na naród w ciągu kilku stuleci z powodu wad i przywar naszej psychologji politycznej, nie pozwalających na wyłonienie silnej, trwałej i sprawiedliwej władzy państwowej.*

*Kto myślowo przeżył i przebolał upadek polityczny narodu, ten zrozumie cel, metodę działania i sposób wypowiadania się J. Piłsudskiego.*

*Natchniony język Kazań Sejmowych Skargi i ewangieliczny język Ksiąg Pielgrzymstwa nie wstrząsnęły sumień najbardziej zatwardziałych burzycieli jedności i siły narodu.*

*Może to osiągną słowa Marszałka Piłsudskiego.*

*Niech książka ta szerzy zrozumienie zagadnienia władzy w państwie, niech niesie otuchę i zachętę dla tych, którzy pracują nad pomnożeniem moralnych sił narodu, oraz niech będzie wyrazem pogardy i potępienia dla tych, którzy swem postępowaniem wskrzeszają w Odrodzonej Polsce złowrogie widma prywaty i anarchji, zapowiadające bezwład, niemoc i upadek państwa.*

*ANTONI ANUSZ.*

## O WYNIKU PRZESILENIA RZĄDOWEGO I T. ZW. TRZECIM RZĄDZIE WITOSA.

(10 maja 1926 r.)

*W dniu 20 kwietnia 1926 r. wchodzący w skład gabinetu Aleksandra Skrzyńskiego ministrowie socjalistyczni Barlicki i Ziemęcki wnieśli podanie o dymisję. Krok ten był nieuniknionem następstwem odbytej w dniu 17 kwietnia u Marszałka Sejmu Rataja konferencji, na której posłowie socjalistyczni, Daszyński i Marek, podawszy krytyce działalność ówczesnego ministra skarbu — p. Zdziechowskiego,—stwierdzili „niemożność dalszej współpracy ze stronnictwami, stojącemi na gruncie tendencyj p. Zdziechowskiego". Ustąpienie ministrów socjalistycznych zachwiało silnie powstałą w listopadzie r. 1925 koalicją sejmową, z łona której wyszedł rząd A. Skrzyńskiego. Dymisja jego stała się rzeczą nieuniknioną, ale premjer Skrzyński, różnemi względami powodowany, zwlekał ze złożeniem podania do dnia 5 maja. Prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski, przychylił się do przedstawionej mu prośby, misję zaś utworzenia nowego rządu powierzał kolejno Witosowi, Chacińskiemu, powtórnie Witosowi i Stanisławowi Grabskiemu, ale żaden z nich poruczonego zadania wypełnić*

*nie mógł, głównie z powodu powstałych w łonie stronnictw rozterek na tle personalnym.*

*Ostatecznie, w dn. 10 maja Witosowi, desygnowanemu na premjera w tak krótkim czasie po raz trzeci, udało się sformować gabinet, w skład którego weszli, — Witos, jako prezes, Smólski, jako minister spraw wewnętrznych, K. Morawski, jako kierownik min. spr. zagr. i gen. Malczewski, jako minister spraw wojskowych. Po za temi nominacjami, wszyscy ministrowie z gabinetu A. Skrzyńskiego pozostali na dawnych stanowiskach.*

*W związku z tem przesileniem Marszałek Piłsudski upoważnił redakcję „Kurjera Porannego" do ogłoszenia następującej rozmowy, w której proszono go o wyrażenie poglądu na przebieg i konkluzje tego przesilenia.*

*Pytanie, postawione Marszałkowi Piłsudskiemu, brzmiało:*

*„Ponieważ dzisiaj właśnie zakończony został niezmiernie dziwny w swoim przebiegu kryzys gabinetowy, w czasie którego p. Prezydent odwoływał się do opinji p. Marszałka, czy można prosić Go o wyrażenie poglądu na przeżyte świeżo wypadki ostatnich dni".*

— Nie uważam tego procesu za zakończony — *odpowiedział Marszałek* — gdyż kilkakrotne próby p. Witosa nie udawały się jedynie z przyczyny nieumiejętności albo niechęci tego pana uwzględniania interesów moralnych Państwa. Państwo bowiem ma dwie funkcje wyraźnie państwowe i wyraźnie z jego bytem związane: wojsko i politykę zagraniczną, t. zn. stosunki z innemi państwami. Te dwie funkcje, jak zawsze twierdziłem, nie mogą podlegać fluktacji gry zawistnych partyj, gdyż

system taki prowadzi nieuchronnie Państwo do zguby i demoralizuje oraz degeneruje obie te funkcje. Takie było moje zdanie, gdy jako Naczelnik Państwa z trwogą patrzyłem w przyszłość, widząc rozigranie namiętności partyjnych w stosunku do tych właśnie dwóch państwowych par excellence funkcyj. Jak w poprzednim kryzysie, gdy padał p. Władysław Grabski, tak i w tym, gdy upadł p. Aleksander Skrzyński, stanąłem w obronie funkcji wojska i dlatego wyłącznie o tem będę mówił.

P. Wincenty Witos znany jest w historji naszego Państwa głównie z bezceremonjalnego stosunku do wszystkich funkcyj państwowych. Dobór jego kolegów w obecnym gabinecie przypomina mi rząd, utworzony ongiś z wielkim hukiem i hałasem, a co do którego zdecydowałem, iż nie mogę w żaden sposób łączyć mego nazwiska z takim właśnie rządem. Wiedziałem bowiem zgóry, że wraz z powstaniem takiego rządu idą przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy bez ceremonji we wszystkich kierunkach dla partyjnych i prywatnych korzyści. Na ministrów wojska od tego czasu zaczęto dobierać generałów, którzyby mieli sumienie giętkie, zdolne do uprawiania — jak ja nazywam — handlu posadami i rangami, dla wygody takiego czy innego stronnictwa, takiego czy innego potrzebnego posła, takiego czy innego wygodnego kupca — jednem słowem takiego czy innego człowieka. System demoralizacji wojska, które, nie mając praw wyborczych, ma jedynego przedstawiciela swych interesów i potrzeb w osobie ministra, przy odpowiednim doborze tego ministra, zaczął święcić swoje triumfy nie przy kim innym, jak przy p. Wincentym Witosie.

Przypominam też z owych czasów, że wobec

mego przeciwstawienia się temu systemowi w stosunku do wojska, zastosowano względem mnie osobiście środki bardzo niedowcipne, ale zato bardzo hańbiące. Otaczano mnie płatnymi szpiegami, przekupywano pieniędzmi i awansami każdego, kto mnie — b. Naczelnego Wodza — zdradzał, szukano, jak to śmiem twierdzić, mojej śmierci.

— *P. Marszałek ma na myśli rząd Witosa?*

— Tak. Trwało to przez cały czas rządu p. Witosa i jego szlachetnych kolegów i dowodzenia wojskiem p. gen. Szeptyckiego. System ten w inny sposób, bardziej — że tak powiem — rozlewny, był stosowany i przy następnem ministerjum p. Władysława Grabskiego wraz z Władysławem Sikorskim.

Gdy więc na szczęście dla Polski padły oba ministerja, ministerja rozwydrzenia partyj, dzielących Polskę na szmatki na rzecz każdej partji i każdego stronnictwa, zostały po nich duże deficyty państwowe i ogólne, daleko idące zubożenie. Odbiło się to dotkliwie i na wojsku. Budżet wojskowy został w jednej chwili zmniejszony do połowy. Minister Spraw Wojskowych miał obecnie musi do czynienia z dziesiątkami kryminalnych spraw o nadużycia pieniężne, popełniane przez protegowanych obu kiepskiej pamięci rządów: p. Wincentego Witosa i p. Władysława Grabskiego. Obciążać zaś te kryminały i nadużycia mają nie winnych, lecz zubożały nagle o połowę budżet wojska. To też przestrzegałem p. Prezydenta i przy pierwszym i w obecnych kryzysach przed pomijaniem moralnych interesów wojska.

— *Jak należy rozumieć ten moralny interes wojska?*

— Moralne interesy wojska polegają nie na czem innem, jak na pogodzeniu faktu, że wojsko nie jest wyborcą, a więc nie ma pełnych praw obywatelskich, z innym faktem, — musem służby w stanie wojskowym, z poczuciem gotowości poniesienia śmierci nie dla siebie, a dla Państwa. Moralność zaś publiczna wyklucza zgóry niebezpieczeństwo poniesienia śmierci dla poszczególnego stronnictwa lub poszczególnych posłów, gdy tacy panowie, jak p. Wincenty Witos i jego koledzy, negliżując honor służby i korzystając z faktu, iż wojsko nie jest ich wyborcą, brudną nieraz ręką często mącili sumienie wojska. Ale niech ci panowie nie sądzą, że to, co się działo w stosunku do kas państwowych: używanie pieniędzy skarbowych na przekupstwa, szpiegowanie takich czy innych nieprzyjaciół partyjnych czy osobistych, jest nikomu nieznane. Jest to przecież tajemnicą poliszynela. Wątpię więc, aby gdziekolwiek w wojsku chciano połączyć zjawisko swojej śmierci z takim stosunkiem do rządu podobnego gatunku.

Wogóle negliżowanie funkcyj państwowych, brak szacunku dla służby Państwu — jest charakterystyczną cechą rozumowań pp. posłów i senatorów. Wyobrażają sobie oni bowiem, iż każdy człowiek, pozostający w służbie Państwa, zmieniać się musi w zależności jedynie od tego, jak, powiedzmy, wspólnie przy bufecie sejmowym pili wódkę, czy kawę, p. Wincenty Witos z p. Markiem, czy p. Chądzyńskim, jaki: kwaśny, czy wesoły uśmiech miał p. Stanisław Grabski w rozmowie z p. Feliksem Perlem (niedawno były to bardzo miłe uśmiechy), czy z p. Chacińskim. Wyobrażać sobie, że ludzie nieznikczemniali mogą do tych

Biblioteka Akademii

wielkich zdarzeń przywiązywać wagę, może tylko p. Wincenty Witos.

— *Przy przeszłym kryzysie p. Marszałek wymieniał kandydatów na ministrów spraw wojskowych. Obecnie również p. Witos rozgłaszał, iż teka wojska będzie obsadzona w porozumieniu z p. Marszałkiem. Czy coś podobnego miało miejsce?*

— Ależ nigdy. Przedewszystkiem nigdybym nie wybrał wymienionego już w pismach kandydata. Wogóle byłoby wielką naiwnością wierzyć w podobne nonsensy, że p. Witos, który dba więcej o wybory, niż o cokolwiek innego, mógł wyrzec się swojej — o ile wiem — zasadniczej myśli używania wpływów wojskowych nie dla czego innego, jak dla swoich partyjnych interesów. Było to jego zasadniczą myślą, którą mi nieraz wyrażał, jako Naczelnikowi Państwa, w okresie zbliżających się wyborów. Wtedy szermował szeroko, wbrew memu pozwoleniu, mojem nazwiskiem, nie przez kogo innego, jak przezemnie szukając pomocy wpływów wojskowych dla swojej partji.

— *Znaczy więc, że przy obecnym kryzysie został zatracony interes Państwa, ocalony w zeszłym kryzysie przez wyeliminowanie teki wojska z rozgrywki stronnictw sejmowych i pozostawienie jej do dyspozycji p. Prezydenta?*

— Ja tego stwierdzić nie mogę, gdyż nie jestem poinformowany o stanowisku p. Prezydenta w tej sprawie. Być może, że domysł pana jest słuszny, gdyż to bardzo patrzy zarówno na p. Wincentego Witosa, jak i na jego kolegów.

— *O ile rozumiem sens wytworzonej sytuacji, powrót p. Marszałka do wojska ulegnie zwłoce?*

— Naturalnie. Pan widzi, iż ze swej strony nie robię ani kroku dla podtrzymania tak jaskrawego

przekroczenia moralnych interesów Państwa i moralnych interesów wojska. I staję do walki, tak, jak i poprzednio, z głównem złem Państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiljach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści.

## OŚWIADCZENIE DO PRZEDSTAWICIELI PRASY PO WKROCZENIU Z WOJSKIEM DO STOLICY KRAJU.

(12/13.V.1926 r.).

*Pamiętnej nocy z 12 na 13 maja 1926 r., po wkroczeniu z wojskiem do Warszawy, Marszałek Piłsudski przyjął w zajętej przez siebie Komendzie Miasta przedstawicieli prasy, którym oświadczył, co następuje:*

„Nie mogę długo mówić, jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się po ciężkiej walce z samym sobą, na próbę sił z wszystkiemi konsekwencjami.

Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowię imponderabilja: jak honor, cnota, męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne, czy swego najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości".

## ROZKAZ DO ARMJI.

(22.V.1926 r.).

*W dniu 22 maja 1926 r. ogłoszono Rozkaz dzienny Pierwszego Marszałka Polski do żołnierzy o treści następującej:*

„Żołnierze!

Nie po raz pierwszy słyszycie mój głos. Ongiś na polach bitew, gdy młode państwo jeszcze ząbkowało, jak chorowite dziecko, prowadziłem was w boje, które w zwycięstwach, pod mojem dowództwem wywalczonych, na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskie wasze sztandary.

Po innych bojach przemawiam do was dzisiaj. Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi mocniejszy nad inne węzły ludzkie. Gdy bracia się waśnią i węzeł pęka, waśń ich również silniejsza jest nad inne. To prawo życia ludzkiego. Daliśmy mu wyraz przed paru dniami, gdy w stolicy stoczyliśmy między sobą kilkudniowe walki. W jedną ziemię wsiąkła krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną. Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszemi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi.

Jest prawda twarda i harda o żołnierzach. Wszyscy mamy jedną wspólną siostrzycę, władającą nad pracą naszą żołnierską. Jest nią śmierć, ścinająca kosą tego, na którego palec Boży wskaże. Służb takich nie sprawuje nikt inny, prócz nas, żołnierzy. Takimi byliśmy, gdyśmy ongiś wzięli Polskę słabiutką i drżącą na swoje bary, by po znojach i zwycięstwach oddać ją współobywatelom silną i pewną życia. Lecz widzimy ją, niestety, w wiecznych swarach i kłótniach, w jakiejś rozkoszy panoszenia się jednych nad drugimi. I gdy dokoła nas wre kłótnia i zawiść partyjna, gdy dygoce nienawiść i rozpala się niechęć dzielnicowa, trudno, by żołnierz był spokojny.

A jednak chcę być pewnym, że nie kto inny, jak żołnierz polski pierwszy się ocknie, pierwszy do zgody i braterstwa stanie. Niech przeto nie myśli wróg żaden, czy nieprzyjaciel, że ziemię naszą znaleźć może bezbronną. Staniemy, jak zawsze, jeden obok drugiego, by dać za ojczyznę życie, a wspomnienie o bojach majowych w Warszawie, o tych walkach, któreśmy ze sobą stoczyli, nie dzielić, lecz łączyć nas wtedy z sobą będzie, jak wspomnienie gwałtownej sprzeczki między kochającymi swą rodzinę braćmi.

Żołnierze! Stanąłem znowu na Waszem czele, jako Wasz Wódz. Znacie mnie. Bezwzględny dla siebie, stałem zawsze pośród was — w najcięższych waszych bólach i trudach, w mękach i niepokojach. Znacie mnie i jeśli nie wszyscy kochać mnie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować, jako tego, który was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogólnem zepsuciu i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzyści własnej pilnować lub dochodzić.

Niech Bóg, nad grzechami litościwy, nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza.

Rozkaz przeczytać we wszystkich podwładnych mi oddziałach i t. d.

Minister spraw wojskowych:

(—) *Józef Piłsudski*

Pierwszy Marszałek Polski".

# O DNIACH PRZEŁOMU I O SYTUACJI PRZED ZGROMADZENIEM NARODOWEM.

(24.V.1926 r.).

*W dniu 24 maja 1926 r. Marszałek Piłsudski udzielił wywiadu przedstawicielom prasy. Pierwsze postawione Mu pytanie brzmiało: „Wobec całego szeregu sprzecznych wersyj, krążących wokół wypadków dni 12, 13 i 14 maja i znacznych rozbieżności w opinji co do ich ujęcia, czy nie zechce Pan Marszałek dać swego autorytatywnego ich oświetlenia?"*

*Na pytanie powyższe udzielił Marszałek Piłsudski następującej odpowiedzi:*

— Rozumiem pańskie pytanie i wiem, że winienem obszerne wytłumaczenie wypadków mojej Ojczyźnie. Nie chcę zatrzymywać się długo na różnych detalach, które dotąd zbieram, jako materjał historyczny, lecz dam Panu ogólny przebieg wypadków, tak, jak on wrył się w moją pamięć. Przypuszczam, że Pan pamięta, iż przez cały początek r. b., nie mówiąc już o końcu ub. r., toczę usilną walkę o naprawę stosunków w Rzeczypospolitej, specjalnie zaś w wojsku. Walka ta w swoich perypetjach nie dawała nigdy decyzywnego rezultatu. Tak, że wydawało mi się, iż przeciwko moim postulatom ześrod-

kowały się wszystkie siły, które według mnie zatrzymywały proces rozwoju Polski, a zwiększając ustawicznie demoralizację i gangrenę aparatu państwowego, czyniły dla mnie niemożliwem trwanie dłużej w bezczynności. Oburzała mnie specjalnie absolutna bezkarność wszystkich nadużyć w Państwie i wzrastająca coraz bardziej zależność Państwa od wszystkich „nuworiszów", którzy narówni ze mną i wielu ludźmi przyszli do Państwa Polskiego ubodzy i zdążyli kosztem Państwa i kosztem wszystkich obywateli w kilka krótkich lat wyrosnąć na potentatów pieniężnych, chąc, by ku hańbie naszej Ojczyzny Państwo we wszystkich drobiazgach należało do nich.

Ostatnim momentem, który mnie zmusił do decyzji, było utworzenie rządu, przypominającego mi bezecnej pamięci rząd, z powodu którego wyszedłem ze służby państwowej, nie chcąc swojem imieniem i służbą popierać ludzi, którzy zdaniem mojem brali udział w najcięższej zbrodni, dokonanej na Polsce, — w zabójstwie Prezydenta Rzeczypospolitej, Gabrjela Narutowicza, mego zresztą osobistego przyjaciela. Bezkarność w tej dziedzinie zgóry przesądzała trwanie bezkarności we wszystkich innych dziedzinach.

Rząd ten odrazu ogłosił rząd „silnej ręki", zwracając się przedewszystkiem przeciwko mnie osobiście. Decyzję wystąpienia powziąłem z wewnętrznem postanowieniem starać się jedynie o obalenie rządu, nie występując zresztą przeciwko osobie p. Prezydenta Wojciechowskiego. Dotąd żałuję, iż p. były Prezydent naraził mnie i siebie na śmieszną sytuację na moście Poniatowskiego, zamiast kazać reprezentować siebie przez tych, co nie śmieli stanąć mi do oczu.

— *Właśnie przebieg tej rozmowy nie jest dotychczas dobrze znany opinji...*

— Osobiście oświadczyłem p. Prezydentowi, że wolę z nim pertraktować, niż toczyć boje. P. Prezydent wybrał inną drogę. Nie chcąc narażać osoby Prezydenta na udział bezpośredni w boju, co byłoby dla mnie rzeczą łatwą, przerzuciłem przejście przez Wisłę na most Kierbedzia, dokąd natychmiast się udałem i co, jak pan wie, zostało dokonane prawie bez strat. Krótkie boje nastąpiły dopiero przy posuwaniu się od placu Zygmunta w głąb miasta. Te boje, także z niewielkiemi stratami, dały w moje ręce cały Plac Saski wraz z centralnemi instytucjami wojskowemi.

Po przybyciu wieczorem do Komendy Miasta zaprosiłem do siebie p. Marszałka Rataja i stwierdziłem odrazu, że mam już przewagę sił, które wzrastać będą niemal z każdą godziną, lecz że i teraz uniknąć chcę większych wstrząśnień, na co jest jeszcze czas i dlatego proponuję mu, że jeśli uważa to za potrzebne, by rozpoczął medjacje między mną a Belwederem. Dodałem, iż spieszyć z tem trzeba, gdyż z natury rzeczy już dnia następnego, jeśli medjacje nie będą zakończone w przeciągu nocy, będę musiał iść dalej siłą ze wszystkiemi jej konsekwencjami. P. Marszałek Rataj zgodził się ze mną i podjął tę próbę, która nad ranem dała rezultat zupełnie negatywny, nie z mojej przyczyny.

W drugim więc dniu walki mógłbym właściwie zakończyć spór orężny względnie łatwo. Uległem jednak jeszcze i tym razem próbie, proponowanej mi z innej strony, — nazwisk w tej chwili wymienić nie chcę — prolongowania medjacji w inny sposób. Wiedziałem, iż w ten sposób zwiększam

może straty w ludziach, lecz wewnętrznie nie mogłem zdobyć się na zaniechanie zupełne tego sposobu wstrzymania nie tylko rozlewu krwi, lecz i sięgających głębiej rozdrażnień, które mogłyby jako rezultat dać zjawiska, trudniejsze do opanowania. Przyczem dodam, że nie miałem na myśli rozruchów socjalnych, gdyż po wejściu do Warszawy stwierdziłem stan psychiczny miasta, idący wraz ze mną tak zdecydowanie na przełom moralny w naszej Ojczyźnie, że zdawałoby się, iż wszyscy, a więc i przeciwnicy muszą to widzieć. Dałem więc tylko termin, do którego nie prowadzę ataku decydującego. Termin ten miał upłynąć o godz. 11 wieczorem, gdyż dla uniknięcia przelewu krwi osób cywilnych, przygotowałem się do nocnego ataku. Próba owa, jak mnie się zdaje, niechętnie prowadzona, rozchwiała się, tak, iż o godz. 11 zawiadomiono mnie, że nie mam na nic liczyć. Jednocześnie rozchwiał się jednak mój plan ataku nocnego, gdyż kontrola wykazała fakt zmęczenia żołnierzy długiemi marszami, które — nawiasem mówiąc — mogą uchodzić za rekordowe nietylko u nas, ale i na całym świecie, że wymienię tylko 13 p. p. i 5 pułk jazdy. Dlatego też atak decydujący poprowadziłem dopiero rano dnia następnego, kończąc go koło 5 godziny i zmuszając sztab, dowodzący po tamtej stronie, do bezładnej i nonsensownej ucieczki.

Późnym wieczorem przyjechał do mnie do sztabu kapelan Prezydenta, ks. prałat Tokarzewski, z prośbą o zaniechanie wszelkiej walki i z innemi, całkiem prywatnemi, kwestjami od p. Prezydenta. Stanąłem natychmiast do dyspozycji p. Wojciechowskiego, by mu ułatwić wszelkie jego osobiste sprawy. Natomiast prosiłem p. Marszałka Rataja,

by zechciał ubrać w formę urzędową wyrażoną przez p. Prezydenta Wojciechowskiego chęć dymisji. Tem się sprawa zakończyła, gdyż próby ściągnięcia większych sił z Poznańskiego i z Pomorza ku Warszawie, chociaż zostały — jak pan dobrze wie — uczynione, zgóry według mnie skazane były na coś w rodzaju wojny kokoszej. Nie wydawało mi się bowiem możliwem rozpoczynanie przez wojsko walki raz jeszcze.

Przechodzę teraz do punktu, który, zdaje się, głównie zajmuje umysły, t. j. do próby, która mi się zupełnie udała: pójście dalej drogą legalizowania tego, co zaszło. Miałem do wyboru: albo przeciągnąć dalej strunę i zakończyć tak, jak, zdaje się, żądano odemnie: jakąś próbą dyktatury i wzięcie władzy w swoje jedynie ręce, albo, co mi się wydawało, jako droga możliwa, próbę zalegalizowania faktu dokonanego, gdy p. Prezydent Wojciechowski otworzył do tego drogę, i odwołania się w ten sposób do sił moralnych w mojej Ojczyźnie, które — jak mi się zdawało — zostały silnie podekscytowane mojem wystąpieniem.

Wybrałem drugą drogę i wtedy śpieszyłem jak najgwałtowniej, czyniąc nacisk pod względem czasu, nie pod względem treści, na p. Marszałka Rataja, który prawnie do wyboru nowego prezydenta jest jego zastępcą i zatem miał obowiązek sformowania nowego rządu, wobec ustąpienia poprzedniego. P. Marszałek Rataj wybrał do sformowania rządu prof. Bartla. Prof. Bartel jednak odmawiał, będąc, jak twierdził, przeciwnikiem zasadniczych sejmowych rządów. Wyznaję otwarcie, iż poparłem p. Rataja w zgwałceniu, że się tak wyrażę, woli prof. Bartla, który jednak zażądał rewanżu z mojej strony. Na rewanż ten się zgodzi-

łem pod warunkiem, iż rząd uważać się będzie za tymczasowy do wyboru nowego Prezydenta. i dlatego cały swój nacisk położyłem na możliwie szybkie zwołanie Zgromadzenia Narodowego, by nowy prezydent mógł zacząć pracować, daj Boże, silniej i skuteczniej, niż to było z dotychczasowymi prezydentami, nie wyłączając i mnie, jako b. Naczelnika Państwa.

Rozumiem, iż w ten sposób zawiodłem wiele nadziei we mnie pokładanych i wyrzekłem się tak łatwej w okrzykach formy, jak dyktatura jednego człowieka. Zrobiłem to jednak z całą rozwagą i świadomą decyzją, pomimo, iż ufam swoim siłom i swojej wewnętrznej wartości. Zrobiłem to zaś dlatego, żeby odzwyczajono się u nas w Polsce zwalać spokojnie wszystko na jednego człowieka, dając mu potem niechętną pomoc, bez dania codziennej, solidnej pracy wielkiej ilości ludzi, niezbędnej dla zreformowania przyzwyczajeń, tak silnie zresztą krytykowanych w całym aparacie państwowym.

Będę o tem mówił z panem jeszcze kilka razy do wyboru Prezydenta i wówczas będę miał okazję wejść w detale i szczegóły. Teraz ograniczę się jedynie tem ogólnem stwierdzeniem. I mogą krytykować mnie ludzie tak, jak im się żywnie podoba, ja zaś nie przestanę twierdzić, że zrobiłem jedyny w swoim rodzaju fakt historyczny, żem zrobił coś podobnego do zamachu stanu i potrafił go natychmiast zalegalizować i żem uczynił coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencyj. Dodać muszę, że jestem pełen podziwu dla zachowania się wojska podczas walki. Walka odbywała się w mieście, pełnem pokus dla głodnego często żołnierza. Trzeba bowiem wiedzieć,

że ja walczyłem z zaimprowizowanym sztabem, który miał naturalnie trudności w zaaprowizowaniu na czas oddziałów. Przytem tak oryginalnej bitwy, toczonej w mieście wśród publiczności, zbierającej się tłumnie koło żołnierzy, wśród krążących tramwajów nigdy dotąd w świecie nie było. Żołnierze mężnie wytrzymali prywacje i zachowywali się zarówno w stosunku do publiczności, jak i branych gęsto jeńców z wyszukaną grzecznością.

Niestety, nie mogę tego powiedzieć o przeciwnej stronie. Wymienię najprzykrzejsze dla mnie fakty. Przedewszystkiem najbardziej oburzający jest fakt zajęcia siłą szpitala Ujazdowskiego. Pułki 22, 1 i 13, które tamtędy zmierzały ku granicom miasta, w kierunku Belwederu, by prędzej uwolnić z opresji część pułku szwoleżerów, broniącą się w swoich koszarach, — wahały się dość długo, ponosząc straty, przed atakowaniem obsadzonego przez przeciwnika szpitala. Ta sprzeczna z wszelkiemi prawami międzynarodowemi prawda działania przeciwnej mi strony obciąża odpowiedzialność tych, co tam dowodzili. Nie mogę też powiedzieć, aby zachowanie się dowódców takich, jak p. Malczewski, ówczesny minister spraw wojskowych, w stosunku do poszczególnych oficerów i żołnierzy, którzy przypadkowo często trafiali w jego ręce, należało do przyzwoitych. Szwoleżerom, którzy, jak wiadomo, noszą na szlifach moje cyfry, gdyż jestem ich szefem, p. Malczewski rwał szlify, depcząc je nogami i znieważał nieraz czynnie bezbronnych ludzi. Strzelano również do okien mieszkań rodziu oficerów szwoleżerskich, gdzie pozostawały bezbronne kobiety i dzieci. Już nie mówię o próbie nastraszenia mojej żony i dzieci, gdy raz po raz posyłano lotników, którzy krążyli

nad Sulejówkiem, gdzie żadnych wojsk nie było, udając, że chcą rzucać bomby.

— *W tym opisie wypadków, o ile zrozumiałem, p. Marszałek dał zarazem ich genezę?*

— Tak jest!

— *A teraz chciałbym przejść do innej kwestji. Jako konsekwencję wybrania przez p. Marszałka drogi legalizowania wypadków opinja rozumie objęcie przez p. Marszałka Prezydentury. Czy wolno zapytać o stosunek p. Marszałka do tego postulatu społeczeństwa?*

— Wiem, że pytanie to jest skierowane ku mnie z tak wielu stron, iż winienem dać na nie odpowiedź. Niech pan jednak pozwoli, że odpowiem publicznie wymijająco, gdyż musi być dany wybór pomiędzy kilku kandydatami. Czekam więc zgłoszenia publicznie kilku kandydatów, bym mógł ich wszystkich — z wyjątkiem tych, którzy na mój szacunek nie zasługują, lub nawet zasługujących, lecz pochodzących ze stronnictw sejmowych — zebrać u siebie, by ich namówić do jednego publicznego aktu. Akt ten wyobrażam sobie w postaci deklaracji, że żaden z kandydatów, zebranych u mnie, nie idzie na żadne „pacta conventa", ani ze stronnictwami sejmowemi, ani z bankami, czy z grupami koncernów i interesów. W ten sposób, przypuszczam, udałby mi się protest przeciwko zwyczajom polskim tak dawnym, jak ongiś elekcyjne wybory królów, a które, jak mi się zdaje, chcą w stosunku do prezydenta powtarzać stronnictwa wraz z udającymi dawnych magnatów nuworyszami. Przecież prezydent, tak, jak ongiś król, reprezentować musi całe państwo, ze wszystkiemi stronnictwami i ze wszystkiemi warstwami. Jest

z natury rzeczy jeden tylko i jako taki, stojąc u góry, jest skazany na samotność.

Hańbą Polski, zarówno w okresie, gdy szła do upadku, jak i w nowej Polsce t. zw. demokratycznej, jest obciążenie swego przedstawiciela na zewnątrz i wewnątrz wszelkiemi wysokiemi przysięgami, których sami wyborcy nie składają, albo składając, nie dotrzymują, i odebranie temu przedstawicielowi nawet pozorów władzy bezpośredniej, któraby ułatwić mogła dotrzymanie przysięgi, mówiącej m. in. o obronie godności imienia polskiego na świecie.

Sam zaś zwyczaj, stosowany dawniej i w naszych czasach, bezczeszczenia publicznego przedstawiciela narodu i ojczyzny, nikczemnego wdzierania się do spraw i uczuć najbardziej prywatnych, stałych prób robienia z tego, co jest, jak wojsko, sztandarem Państwa i Narodu, jakiejś szmatki, tarzanej w błocie, nie jest dla nikogo zachęcającym momentem znoszenia tej obrzydliwości życia polskiego — na stanowisku prezydenta.

Dlatego też, powtarzam, przy stawianiu kandydatur nie chcę być jedynym kandydatem Polski i chciałbym w pierwszej chwili zbliżyć się ze współczuciem i serdeczną pomocą człowieka, który ma siłę wewnętrzną, bo potrafił to paskudztwo przeżyć i w sobie strawić, do tych szczęśliwych lub nieszczęśliwych wybrańców narodu polskiego, nim klamka wyborów nad kimkolwiek zapadnie.

## O PRAWICY I LEWICY W POLSCE.

(26.V.1926 r.).

*W dalszym ciągu przytoczonego wyżej wywiadu, na uwagę przedstawicieli prasy, że „wypadki 12-go, 13-go i 14-go maja w odniesieniu do Sejmu dały w rezultacie pęknięcie Izby na dwa wyraźne obozy, prawicę i lewicę, określone nie przez co innego, jak stosunek do dokonanego przewrotu moralnego", — Marszałek Piłsudski dał odpowiedź następującą:*

— Nie sądzę, aby pan miał, ściśle mówiąc, rację. Nie przypuszczam, aby wogóle racjonalnem było uleganie przyzwyczajeniom, nie powiem nawet myślowym, lecz przyzwyczajeniom dźwiękowym, związanym z pojęciami: „prawica" i „lewica". Polska powstała po ciężkiej, długoletniej wojnie, która wstrząsnęła całym światem i znajdujemy się i my, i świat cały jeszcze dotąd w okresie krystalizowania się nowych pojęć politycznych. Nadużywamy zaś w niesłychany sposób pojęć starych, przedwojennych, które dużo i bardzo dużo straciły na wartości. Jeżeli pojęcia „lewica" i „prawica" mamy rozumieć jako odpowiedniki głębokich socjalnych prądów, istniejących w całym świecie, to znajdziemy, że we wszystkich państwach,

z wyjątkiem naszego sąsiada ze wschodu, siły socjalne znajdują się w stanie równowagi, chociaż niewątpliwie mamy do czynienia z gwałtownem poszukiwaniem metod wyjścia do nowego, powojennego życia.

Osobiście stwierdziłem natychmiast po wyjściu z Magdeburga, iż Polska w tym stanie równowagi będzie musiała pozostawać długo, gdyż z jednej strony jest bardzo uboga i na eksperymenty zabraknie jej sił materjalnych, z drugiej zaś strony zabraknie jej sił moralnych, jak odwagi, gdy wyszła do nowego życia ze społeczeństwem, przyzwyczajonem do głębokiego upokorzenia i tchórzostwa myśli, nabytego podczas długich lat niewoli narodowej i politycznej, niewoli u obcych. Dlatego też, jeżeli pojęcia „lewica“ — „prawica“ są związane z ruchami socjalnemi, nie byłem nigdy osobiście w nowej Polsce stronnikiem dawania wyraźnej przewagi jednej stronie lub drugiej i wyrażałem zawsze myśl, której się i teraz trzymam, że dla nas eksperyment, zrobiony przez naszych sąsiadów, nie jest zachęcający. Natomiast nie wierzę w nasze siły pod tym względem, byśmy w porównaniu z naszymi sąsiadami z zachodu i innemi państwami na świecie mogli się zdobyć na dawanie im przykładów rozwiązywania problematów socjalnych, gdy słusznie czy nie słusznie wszędzie na świecie — jak twierdzę — dotąd równowaga socjalna utrzymuje się.

Jeżeli zaś lewica i prawica mają oznaczać pojęcia polityczne, związane z daleką i dawną przeszłością, sięgającą hen gdzieś aż do wielkiej rewolucji francuskiej, to wybaczy pan, lecz próbując analizy stosunków politycznych w mojej Ojczyźnie, nigdy nie mogłem skonstatować, co jest wła-

ściwie lewicą, a co prawicą. Jeśli pan weźmie naprzykład jeden z aktów naszej historji najbardziej hańbiących — zamordowanie Prezydenta Narutowicza — został on dokonany niewątpliwie przez ludzi, należących do tak zwanej prawicy. Tymczasem wszędzie na świecie akty mordów przedstawicieli państw dokonywane są przez tę lewicę, która przekracza wszelkie granice ustrojów politycznych obecnego świata, tak, iż nie sposób takiej lewicy nawet wkluczyć w rejestr stronnictw politycznych lewicy.

Prawica gdzieindziej charakterystycznie dąży do zmniejszenia siły i potęgi parlamentaryzmu na rzecz władz wykonawczych, u nas zaś najwybitniejszymi przedstawicielami rozwydrzenia partyjnego i oparcia wszystkiego w Polsce na prawach i przywilejach pp. posłów i senatorów jest nie kto inny, jak tak zwana prawica. Także autorem Konstytucji, obierającej władzę wykonawczą z wszelkich cech siły na rzecz „złotych wolności" posłów i senatorów, jest właśnie prawica.

Tak, iż gdy się rozumuje pojęciami „prawica" i „lewica", musi się zabrnąć w jakieś sprzeczności z pojęciami ogólnie istniejącemi i trzeba stanąć zupełnie bez wyjścia.

Osobiście nigdy nie chciałem być członkiem ani polskiej prawicy, ani polskiej lewicy. Nie chciałem nigdy należeć do żadnego stronnictwa, ani też aprobować panowania stronnictw nad Polską.

— *Z tego wnosić należy, że Pan Marszałek, jako wysunięty kandydat na prezydenturę, nie uważa się za przedstawiciela jednej połowy obecnego sejmu, i że wogóle jest przeciwny traktowaniu wyboru Prezydenta w płaszczyźnie walki między obecną lewicą i prawicą sejmową?*

— Naturalnie. I zdaniem mojem kwestja postawiona zarówno przezemnie, jak i przez życie na tem polega. Polega ona przedewszystkiem na zdolności ze strony państwa karania wykroczeń i nadużyć — specjalnie pieniężnych, tak, aby Polska przestała być śmieszną w świecie oraz na tworzeniu warunków, umożliwiających wyjście z marazmu, do którego doprowadza metoda pracy państwowej w Polsce. Proszę przecież wyobrazić sobie, iż jesteśmy zlepieni z okrawków trzech państw, z których każde miało swoje prawa, swoje przepisy i swoją metodę pracy państwowej. Jesteśmy dziedzicami — chcąc nie chcąc — tych trzech metod. Wobec tego zaś, że trzy te państwa pracowały przeciwko Polsce w sposób wyraźny i jasny, mamy mnóstwo przepisów, ciążących na nas stale i ustawicznie dotąd, gdyż — jak prawdopodobnie pan tego nie wie — zniesienie tego całego bagażu musi być uczynione, według istniejących u nas koncepcyj, przez równorzędne polskie instytucje. Więc część przez Sejm i Senat, część przez Radę Ministrów. Może pan sobie wyobrazić, jak to wolno postępuje, jak wolnym jest ten proces oswabadzania się od naszej przeszłości, i co, dzięki powolnemu postępowi pracy państwowej, dotąd jaknajstaranniej utrzymujemy. Nie dziwię się też wcale, gdy spotykam ludzi, którzy ze wzruszeniem ramion mówią, iż Polska jak gdyby dumna jest z tego, że potrafiła utrzymać w całej nienaruszalności wszystko to, co w Polsce robiły państwa i ustroje polityczne, które albo nie istnieją wcale— jak Austrja, albo zmuszone były przez rozwój życia przejść do całkiem innych form, jak Rosja i Niemcy. Wyglądamy zapewne niezwykle archaicznie. Niedawno naprzykład z pewnym po-

dziwem dowiedziałem się, że jakieś przykre i nużące przepisy nie mogą być zniesione, gdyż były wydane przez ś. p. Arkadjusza Stołypina oraz Radę Państwa... w Petersburgu. Równorzędnemi zaś organami u nas w Polsce, co dotąd jeszcze nie określono, jest albo Sejm sam, albo nawet Sejm z Senatem.

— *Właśnie ta paląca potrzeba sanacji państwa wyraża się w zawisłem na miljonach ust w Polsce pytaniu, które muszą powtórzyć: czy Pan Marszałek zgodzi się postawić swoją kandydaturę na stanowisko Prezydenta?*

— Pan mnie wciąż pyta, tak zresztą, jak i inni ludzie, o moją kandydaturę na Prezydenta. Chciałbym zwrócić wszystkim uwagę, iż przed ustąpieniem ostatecznem z urzędu Naczelnika Państwa wygłosiłem przemówienie, w którem starałem się wyjaśnić, dlaczego nie chcę kandydować na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej. System Konstytucji, która została uchwalona przez sejm konstytucyjny, dał w ręce pp. posłów i senatorów tyle przywilejów i tyle sposobów zatamowania każdej pracy w państwie, że, zdaniem mojem, każdy Prezydent jest skazany na męczeństwo. Cóż dopiero mówić o mnie, człowieku, który namiętnie lubi pracę, dającą szybkie efekty i który z trudem znosić jest w stanie długie rozmowy i przetargi bez decyzji i efektu. Już wtedy stwierdziłem, że ja do takiej pracy się nie nadaję i że trzeba szukać innych ludzi, którzyby mniej tracili cierpliwości w bezpłodnem szarpaniu siebie dla zupełnie — zdaniem mojem — beznadziejnego przekonywania panów posłów i senatorów, by się wyrzekli swoich przywilejów przeszkadzania rządowi w pracy i nie

wciągali Prezydenta do pracy na rzecz dobra i korzyści partyj, ba — nawet kliczek.

— *W przeciągu trzech i pół lat, dzielących nas od chwili wypowiedzenia przez Pana Marszałka swej opinji, to jest od listopada 1922 roku, może nie tyle w naszym sejmie, ile w społeczeństwie dojrzała świadomość tej głębokiej słuszności i dzisiaj oczywiście powszechnie rozumie się, iż sejm ten zakończy swój żywot naprawieniem tego błędu Konstytucji, to jest rozszerzeniem uprawnień władzy wykonawczej w osobie Prezydenta. Opinja rozumie, iż tylko pod tym warunkiem jest wogóle możliwy i celowy wybór Prezydenta, a zwłaszcza jeżeli nim ma być Pan Marszałek.*

— Proszę pana. Ja nie chcę twierdzić, iż tak nie jest, lecz to, co pan nazywa opinją, nie jest panem posłem czy senatorem. Wyznaję, — trzeba mieć dużo optymistycznej ufności, aby się zdobyć na akt wiary w tak dziwne przewroty moralne. Przecież rzadkiemi są wypadki na świecie, aby uprzywilejowane warstwy chętnie się wyrzekały swoich przywilejów. Jeszcze rzadszemi zaś są wypadki w historji, by czyniły to kliki i kliczki. Co do mnie — wybaczy pan — bardziej przypuszczam, iż Sejm i Senat po wyborze nowego Prezydenta ustąpią opinji o tyle, że się na pewien czas rozejdą, zawiesiwszy miecz Damoklesa swoich przywilejów i praw zahamowania każdej czynności rządowej nad głową nowego elekta, który zająć się będzie musiał utworzeniem nowego rządu. Daj Boże, by przy tem tworzeniu nowego rządu nowy elekt nie został skompromitowany niemożliwością dokonania tej pracy w szybkiem tempie, gdy do pomocy mu staną, tak, jak dotąd było w Polsce, wszystkie stronnictwa, grupy i kliki poselskie i senatorskie.

## O RZĄDACH SEJMOWYCH.

(28 maja 1926 r.).

*W dalszym ciągu rozmów Marszałka Piłsudskiego z przedstawicielami prasy o zagadnieniach, wiążących się ściśle z dokonanym przewrotem, wyłoniła się kwestja formowania nowego rządu. Przedstawiciele prasy postawili pytanie: „Poprzednią naszą rozmowę Pan Marszałek zakończył wyrażeniem obawy o sytuację przyszłego Prezydenta, jeśli od pierwszego swego kroku, jakim będzie powołanie nowego rządu, stanie wobec konieczności współpracy ze stronnictwami i klikami sejmowemi. Ponieważ zagadnienie współpracy władzy ustawodawczej z wykonawczą jest w tej chwili u nas niezmiernie aktualne, czy nie zechciałby Pan Marszałek powrócić obecnie do tej kwestji"?*

*Odpowiedź Marszałka brzmiała, jak następuje:*

— Bardzo jestem zadowolony, że zadaje mi pan to właśnie pytanie. Jest to pytanie, wiążące się właściwie z całem mnóstwem zjawisk, stanowiących palącą sprawę kryzysu parlamentaryzmu nietylko u nas, lecz bodaj w całym świecie. U nas, jak zawsze twierdzę i twierdziłem oddawna, ten kryzys przyjść musiał i szybciej, i ostrzej, niż gdzieindziej, wyjąwszy naturalnie Włochy, gdzie

kryzys dał to, co obecnie w tym kraju widzimy. Wszyscy u nas ciągle mówią, jak zresztą i wszędzie, że potrzebny jest silny rząd.

Lecz cóż stanowi istotę silnego rządu? Istotę siły stanowi decyzja, pobierana w odpowiednim dla efektu działania czasie. Siły inaczej przedstawić sobie nie mogę. I zgoda, — niech według zasad demokracji za tę silną decyzję rząd będzie odpowiedzialny. Ale niech ma możność decydować, niech ma za co odpowiadać.

Tymczasem w zwyczajach naszych samo sformowanie rządu zależy nie od Prezydenta, lecz — jak to widzieliśmy w ostatnich czasach — ciągle i stale od przewlekłych i długich narad klubów, stronnictw, klik, kliczek i konwentyklów, tak, iż wydawać się każdemu musi, że np. każdy minister poza umiejętnością prowadzenia swego resortu musi posiadać: a) talent mówcy parlamentarnego, b) zdolność specjalną do intryg parlamentarnych, c) umiejętność łagodzenia poszczególnych pretensyj i pretensyjek poszczególnych kół, kółeczek i nawet poszczególnych posłów w stosunku do siebie.

Na tę specjalną pracę, nic wspólnego z treścią jego resortu nie mającą, musi minister poświęcać tyle czasu i tyle wysiłków, iż zgodnie ze wszystkiemi obserwacjami na treść pracy, za którą niby jest odpowiedzialny, oddać może jakieś pół godziny w ciągu doby. Zwiększać zaś ten czas może jedynie, gdy na szczęście dla rządu Sejm i Senat zdecydowane są odpocząć. Wtedy dopiero w każdym rządzie następuje także chwila zasłużonego odpoczynku i wielkie westchnienie ulgi. Dopiero wtedy minister ma możność zaznajomienia się ze swojem resortem istotnie i powiedzenia sobie, iż jest

człowiekiem, który za cośkolwiek w swoim resorcie odpowiadać może. Przypuszczać, że taki desygnowany do usług pp. posłów i senatorów minister ma możność wykazania siły rządzenia, — jest czystą fikcją.

Dla śmiechu przytoczę jeden przykład. W gabinecie ministra resortu, którym specjalnie się zajmuję, pracuje kilku oficerów wraz z siłami pomocniczemi jedynie na to, aby zestawiać bez ustanku sypiące się żądania posłów, żądania, których treścią systematycznie jest: a) przeniesienie znajomych, krewnych tych krewnych, no i tych zbliżonych do posłów wyborców, — z miejsca na miejsce w wojsku, b) robienie takich czy innych ulg w służbie wojskowej również krewnym, znajomym posła i znajomym tych krewnych, znajomym potrzebnych w okręgu wyborczym ludzi i t. d.

Zwracam uwagę, iż próby robienia ulg w służbie wojskowej, np. przez psucie sobie palców, zmniejszanie sztucznie siły wzroku i t. p. są surowo karane. I zapytać się godzi, czy system robienia ulg grzecznościowych nie podpada pod ten sam paragraf kary, gdy zdaniem mojem, liczba przestępstw, dokonywanych w ten sposób, przekracza znacznie liczbę przekroczeń, ujawnianych i karanych, lecz niepokrywanych przez zupełną nieodpowiedzialność poselską.

Wszyscy więc łatwo mówią o silnym rządzie, wszyscy to żądanie stawiają, nawet sami posłowie i senatorowie, lecz już przy formowaniu rządu czynią wszystko, by rząd 9/10 swojej siły utracił przez „pacta conventa“, zawarte ze stronnictwami, klubami, z grupami posłów, z konwentyklami, które się na takiego ministra zgodziły z wprowa-

dzeniem groźby cofnięcia tej zgody w razie, gdyby ów „siłacz“ nie dogadzał protekcjom, protekcyjkom, żądaniom i kaprysom p. posła czy senatora, ich krewnych, kuzynów i kuzynek jego, nie mówiąc o poszczególnych wpływowych jego wyborcach.

Nie wiem, czy można sądzić, że rząd w ten sposób sformowany, albo w ten sposób rządzący, kiedykolwiek w Polsce będzie silny, przynajmniej ja osobiście nie widzę metody rozstrzygnięcia kwadratury takiego koła. Dodam jeszcze jedno, o czem wspomniałem już przed wypadkami majowemi. Musi się przy tym procederze zatracić wszelką odpowiedzialność istotną tak dalece, iż każdy szczery demokrata musi się palić ze wstydu. Demokracja bowiem polega na wyraźnej odpowiedzialności władzy wykonawczej. Tymczasem już sam fakt postawienia do rządzenia posła stwarza nieodpowiedzialność jego za czynności przed kimkolwiek, aż do wygaśnięcia jego pełnomocnictw poselskich. Nikt bowiem nie jest u nas tak naiwny, by przypuszczał, iż poseł znajdzie bezwzględność u kolegów i by miał czegokolwiek wogóle obawiać się poza niezadowoleniem swoich własnych kolegów. Przedewszystkiem wchodzi we wszystkich wypadkach w grę prestiż, nawet nie Sejmu, lecz klubów, tak, że doprawdy jeszcze najbardziej zdatnymi do odpowiedzialności są posłowie tak zw. „dzicy“, lub członkowie takich klubów, które także są „dzikiemi“, t. j. nie mające wielkich ilości członków. To też obserwować się dała w Polsce wzrastająca bezkarność w stosunku do wszystkich czynności, zwykle uważanych za przestępstwo. Każdy, kto miał za sobą jakiekolwiek przekroczenia, szukał natychmiast służby nie u Państwa, lecz

u odpowiedniego klubu poselskiego, szukając protekcji i osłony najbardziej efektywnej. Zdawało się niekiedy, iż poprostu naigrywano się publicznie z praw i z możliwości karania przez Państwo. To też, gdy przyszedłem na urząd Ministra spraw wojskowych, z prawdziwą przyjemnością oddałem sądowi i prokuraturze najbardziej jaskrawe i znane wypadki, które się ciągnęły miesiącami nie z innego powodu, jak z powodu protekcji posłów i senatorów.

— *Problem rządu silnego zatem p. Marszałek widzi w uniknięciu wpływu Sejmu na tworzenie Rządu.*

— Naturalnie. Może Prezydent mylić się w wyborze ludzi, lecz błąd ten łatwiej jest naprawić, niż zmuszać Rząd do ugrzęźnięcia natychmiast w musowych zobowiązaniach w stosunku do klubów, stronnictw, konwentyklów, klik i kliczek poselskich i senatorskich. I niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że dla uniknięcia nowego, lecz znacznie ostrzejszego już kryzysu, Sejm i Senat zechcą uwzględnić, że w tym wypadku lepiej może nie narażać siebie i kraju na próbę trwania nadal w złych zwyczajach i obyczajach poselskich i senatorskich.

# PRZEMÓWIENIE DO PRZEDSTAWICIELI STRONNICTW SEJMOWYCH.

(29.V.1926 r.)

*W dniu 29 maja 1926 r. o g. 8 wieczorem odbyło się w apartamentach reprezentacyjnych Prezydjum Rady Ministrów zebranie przedstawicieli stronnictw sejmowych. W zebraniu tem wzięli udział p.p. Stecki i Michalski (Chrz. Nar.), Chądzyński (N. P. R.), Dębski, Erdman, Jedynak („Piast"), Daszyński, Marek, Moraczewski, Ziemięcki, Niedziałkowski (P. P. S.), Poniatowski, Miedziński, Woźnicki („Wyzwolenie"), Waleron, Dąbski, Łaszkiewicz, Polakiewicz (Stronnictwo Chłopskie), Krzyżanowski, Gaszyński, Kościałkowski (Grupa Pracy), Chaciński i Romocki (Chrz. Dem.). Zebrani przybyli do Prezydjum Rady Ministrów na zaproszenie ówczesnego Prezesa Rady Ministrów, prof. dr. Kazimierza Bartla, który oznajmił, iż „pragnąłby w przeddzień zgromadzenia narodowego, aby przedstawiciele stronnictw usłyszeli bezpośrednio z ust p. Marszałka Piłsudskiego opinję jego o wyborze Kandydata".*

*Według doręczo przez przedstawiciela „Kurjera Porannego" zrobionego streszczenia, Marszałek Piłsudski zaznaczył na wstępie, iż „podejmując za-*

*proszenie premjera Bartla podzielenia się z zebranymi poglądem swym osobistym na dotychczasową ciężką rolę Prezydenta Rzeczypospolitej, nie ma zamiaru wygłaszania mowy kandydackiej, lecz tylko chce wyrazić swój osobisty pogląd na rzecz".*

„Nie będę się wdawał w dyskusję nad wypadkami majowemi. Zdecydowałem się na nie sam, w zgodzie z własnem sumieniem i nie widzę potrzeby z tego się tłomaczyć.

Głównemi powodami obecnego stanu rzeczy w Polsce, t. j. nędzy, słabizny wewnętrznej i zewnętrznej, były złodziejstwa, pozostające bezkarnie. Ponad wszystkiem w Polsce zapanował interes jednostki i partji, zapanowała bezkarność za wszelkie nadużycia i zbrodnie.

W odrodzonem państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu. Gdy wróciłem z Magdeburga i posiadłem władzę, jakiej nikt w Polsce nie piastował, wierząc w odrodzenie narodu, nie chciałem rządzić batem i oddałem władzę w ręce zwołanego przez siebie Sejmu Ustawodawczego, którego wszak mogłem nie zwoływać. Naród się jednak nie odrodził. Szuje i łajdaki rozpanoszyli się. Naród odrodził się w jednej tylko dziedzinie, w dziedzinie walki orężnej, t. zn. pod względem odwagi osobistej i ofiarności względem Państwa w czasie walki. Dzięki temu mogłem doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca. We wszystkich innych dziedzinach odrodzenia nie znalazłem. Ustawiczne waśnie personalne i partyjne, jakieś dziwne rozpanoszenie się brudu i jakiejś bezczelnej, łajdackiej przewagi sprzedajnego nieraz elementu.

Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte tak, że można było znienawidzieć całą demokrację, *(co Marszałek odczuwał najboleśniej, jako zdecydowany demokrata).* Interes partyjny przeważał ponad wszystko. Partje w Polsce rozmnożyły się tak licznie, iż stały się niezrozumiałe dla ogółu. To wszystko skierowane było przeciw każdemu, kto reprezentował Państwo. Tych reprezentujących Państwo było trzech: mnie, jako Naczelnikowi Państwa, obrzydzano życie ciągłą naganką, oszczerstwami i najwstrętniejszemi potwarzami. Nie upadłem tylko dlatego, że jestem silniejszy od Was wszystkich. Drugiego reprezentanta wprost zamordowano, a moralni sprawcy tego mordu uszli bezkarnie. Trzeci padał pod ciężarem męki z powodu Sejmu i Senatu.

Gdy byłem po raz ostatni w Belwederze u p. Wojciechowskiego, żal mi go było. Człowiek tajał, postarzał się pod wpływem pracy Sejmu i Senatu. Kiedy go usiłowałem namówić do nieulegania wpływom partyjnym, odrzekł, że chciałby partjom oprzeć się, ale czuje, że ulegnie. W takich oto warunkach stawia się tych, których się wybiera na reprezentantów Państwa.

*Dalej, przechodząc do chwili obecnej, Marszałek oświadczył:* Warunki tak się ułożyły, że mogłem nie dopuścić Was do sali Zgromadzenia Narodowego, kpiąc z was wszystkich, ale czynię próbę, czy można jeszcze w Polsce rządzić bez bata. Nie chcę czynić nacisku, ale ostrzegam, że Sejm i Senat są instytucjami najbardziej znienawidzonemi w społeczeństwie. Róbcie raz jeszcze próbę. Nacisku nie będzie. Żadna siła fizyczna nie zaciąży

nad wami. Dałem gwarancję swobodnego obioru Prezydenta i słowa dotrzymam, ale ostrzegam, nie zawierajcie z kandydatem na Prezydenta układów partyjnych. Kandydat na Prezydenta musi stać ponad stronnictwami, winien umieć reprezentować cały naród. Wiedzcie, że w przeciwnym razie nie będę bronił Sejmu i Senatu, gdy dojdzie do władzy ulica. Nie może w Polsce rządzić człowiek pod terrorem szuj i temu się przeciwstawiam.

Wydałem wojnę szujom, łajdakom, mordercom i złodziejom i w walce tej nie ulegnę. Sejm i Senat mają nadmiar przywilejów i należałoby, aby ci, którzy powołani są do rządów, mieli więcej praw. Parlament winien odpocząć. Dajcie możność rządzącym odpowiadać za to, czego dokonają. Niech Prezydent tworzy Rząd, ale bez nacisku partyj. To jest jego prawo.

Z kandydaturą moją róbcie, co się wam podoba. Nie wstydzę się niczego, skoro się nie wstydzę przed własnem sumieniem. Jest mi obojętnem wiele głosów otrzymam. Dwa, sto, czy dwieście. Nie robię jednak żadnego nacisku co do wybrania mojej osoby. Wybierajcie tego, kogo będziecie chcieli, szukajcie jednak kandydatów apartyjnych i godnych wysokiego stanowska. Gdybyście tak nie postąpili, widzę wszystko w czarnych dla was kolorach, a dla siebie w barwach przykrych, bo nie chciałbym rządzić batem. Rządzenie batem obrzydziłem sobie w państwach zaborczych.

W rozkazie moim do wojska powiedziałem, że wziąwszy państwo słabe i ledwie dyszące — oddaliśmy obywatelom odrodzone i zdolne do

życia. Cóżeście z tem Państwem uczynili? Uczyniliście zeń pośmiewisko.

Obecnie Rząd próbuje przygotować rozmaite prace. Obawiam się jednak, że po wyborze Prezydenta wszystko pójdzie podawnemu. Boję się, że Sejm chce pozostać. A trzeba, abyście Panowie rozeszli się na pewien czas, bo musi się przecież stać coś nowego. Niech Prezydent przez pewien okres nie ma Sejmu i Senatu na karku. Trzeba mu dać swobodę do utworzenia Rządu i do rozpoczęcia prac, za które Rząd będzie przed Sejmem potem odpowiadał. Nie chciałbym mieć wyrzutów, że nie doprowadziłem do końca rozpoczętej roboty i że bat nie świstał na ulicach.

Moim programem jest zmniejszenie łajdactw i utorowanie drogi uczciwości. Czekam, a zapewniam panów, że się nie zmienię. Trzeba przejść ponad partyjne interesy, dać oddech Państwu i elektowi. Elekt musi posiadać honor ponad chęć zarobienia kilkudziesięciu groszy. Jeżeli chodzi o mnie, to powtarzam raz jeszcze, że się nie zmienię. Będę ścigał złodziei. Zastanówcie się nad tem, panowie, przemyślcie i przedyskutujcie.

## W SPRAWIE WYBORU NA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ.

(31.V.1926 r.).

*W poniedziałek 31 maja 1926 r. odbyło się posiedzenie Zgromadzenia Narodowego, które wybrać miało nowego Prezydenta Rzeczypospolitej. Zgłoszone zostały dwie kandydatury — Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego (lewica i grupy środka) oraz Adolfa Bnińskiego (Zw. Lud. Nar. i stronnictwo Dubanowicza). Wynik głosowania — Marszałek Piłsudski głosów 292, Adolf Bniński — głosów 193, kartek białych i nieważnych oddano 61. W wyniku więc głosowania Prezydentem Rzeczypospolitej wybrany został Marszałek Piłsudski. Nie przyjął On jednak wyboru. Prezesowi Rady Ministrów prof. dr. K. Bartlowi oraz Marszałkowi Sejmu Ratajowi, którzy bezpośrednio po głosowaniu przybyli zawiadomić Go oficjalnie o wyniku wyboru, oświadczył, iż „nie mógłby złożyć przysięgi na ustawę Konstytucyjną z marca r. 1921, „że zatem na podstawie tej Konstytucji, ograniczającej Prezydenta do czystej reprezentacji, wyboru przyjąćby nie mógł".*

*Po zakończeniu Zgromadzenia Narodowego Marszałek Piłsudski na blankiecie Ministra Spraw*

*Wojskowych z datą 31 maja 1926 r. wystosował do marszałka Sejmu Rataja pismo następujące:*

Panie Marszałku! Dziękuję Zgromadzeniu Narodowemu za wybór. Po raz drugi w mem życiu mam w ten sposób zalegalizowanie moich czynności i prac historycznych, które—niestety—dla mnie spotykały się przed tem z oporem i niechęcią dosyć szeroką. Tym razem dziękuję wszystkim panom, że wybór mój nie był jednomyślnym, tak, jak to było w lutym 1919 roku. Mniej może w Polsce będzie zdrad i fałszu.

Niestety, przyjąć wyboru nie jestem w stanie. Nie mogłem wywalczyć w sobie zapomnienia, nie mogłem wydobyć z siebie aktu zaufania i do siebie w tej pracy, którą już raz czyniłem, ani też do tych, co mnie na ten urząd powołują.

Zbyt silnie w pamięci stoi mi tragiczna postać zamordowanego Prezydenta Narutowicza, którego nie zdołałem od okrutnego losu ochronić, zbyt silnie działa na mnie brutalna napaść na moje dzieci.

Nie mogę też nie stwierdzić raz jeszcze, że nie potrafię żyć bez pracy bezpośredniej, gdy istniejąca konstytucja od Prezydenta taką właśnie pracę odsuwa i oddala.

Musiałbym zanadto się męczyć i łamać. Inny charakter do tego jest potrzebny.

Przepraszam za zawód, który czynię, nietylko tym, co za mną głosowali, lecz i tym, co poza salą Zgromadzenia żądają tego odemnie.

Sumienie, do którego się odwoływałem po tysiąc razy ostatniemi dniami, nie pozwala mi zadośćuczynić tym żądaniom.

Dziękuję raz jeszcze za wybór i proszę o natychmiastowy — daj Boże — szczęśliwy wybór Prezydenta Rzeczypospolitej".

## O PREZYDENCIE RZECZYPOSPOLITEJ PROF. DR. IGNACYM MOŚCICKIM.

(1.VI.1926 r.).

*Marszałek Piłsudski, odmawiając przyjęcia wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej, wskazał jednocześnie, jako kandydata prof. dr. Ignacego Mościckiego i zalecił członkom Zgromadzenia Narodowego, którzy w dniu 31 maja 1926 r. oddali na niego swe głosy, aby w ponownem głosowaniu (1 czerwca) powierzyli godność Prezydenta Rzeczypospolitej temu właśnie kandydatowi. W wyniku powtórnego głosowania Zgromadzenia Narodowego prof. dr. Ignacy Mościcki wybrany został Prezydentem Rzeczypospolitej (otrzymał głosów 281, przy absolutnej większości — 242, na ogólną ilość głosów ważnych 480). Marszałka Piłsudskiego łączy z Prezydentem Rzeczypospolitej długoletnia i głęboka przyjaźń. W znanym nam liście Józefa Piłsudskiego z dnia 14 lutego 1907 r., do inż. Ignacego Boernera, który wskutek działalności rewolucyjnej musiał opuścić b. Królestwo i poza jego granicami szukać pracy, znajdujemy następujące słowa — „Ale jeszcze jedno, chociaż to nie*

*w Polsce, a w Szwajcarji, — jest tam dobry mój przyjaciel i bardzo serdeczny człowiek — Mościcki".*

*W dniu 1 czerwca 1926 r. wobec ogólnego, żywego i zrozumiałego zainteresowania, jakie wzbudziła osoba Elekta, przedstawiciele prasy udali się do Marszałka Piłsudskiego z prośbą o pewne szczegóły tej dawnej znajomości i przyjaźni.*

*Marszałek Piłsudski na zadane mu pytanie oświadczył, co następuje:*

— Zadaje pan pytanie bardzo dla mnie przykre. Nie dlatego, by moje przyjazne stosunki z prof. Mościckim i jego rodziną były w czemkolwiek naruszone, lecz ze względu na nieprzyjemność publikowania szczegółów tak osobistych spraw, jak przyjaźń między ludźmi. Rozumiem jednak dobrze, że prof. Mościcki z chwilą wybrania go na Prezydenta staje się do pewnego stopnia własnością narodu. I rozumiem zaciekawienie jego osobą. Sądzę także, iż mam prawo mówić o nim publicznie, aby osłonić jego osobę przed szarpaniem plotkami i wymysłami, które, niestety, w Polsce częściej znajdują posłuch, niż spokojna prawda. Chcę więc wierzyć, iż zarówno pan Mościcki, jak i pani Mościcka nie wezmą mi za złe tej niedyskrecji.

Znam prof. Mościckiego od bardzo dawna i nieraz w mem życiu, podróżując po świecie, zawadzałem o niezwykle gościnny i serdeczny jego dom. Przyjemnie mi jest zaznaczyć, iż w mojem tułaczem nieraz życiu, jakie pędziłem w młodym wieku, dom pp. Mościckich był dla mnie jednem z przyjemnych odetchnień, które tem mi jest droższem we wspomnieniach, że wewnętrzna wysoka kultura gospodarzy, nabyta przez wychowanie pra-

wie w jednakowych ze mną warunkach, przypominała mi nieraz, stracone już wówczas dla mnie, życie w rodzinnem cieple. Prof. Mościcki ciężko pracował nietylko na utrzymanie swojej rodziny na emigracji, lecz również dla tej wielkiej sławy, jaką posiada zarówno w nauce, jak i w dziedzinie wielkiej techniki.

Poznałem go w Londynie. Widywałem go bardzo często w Szwajcarji, gdzie pracował na uniwersytecie we Fryburgu, zyskując renomę jednego z największych wynalazców, jakich ma świat, w dziedzinie elektrotechniki i chemji. Pragnę zaznaczyć, iż jedna specjalna cecha szczególnie mnie zawsze uderzała w p. Mościckim. Przy ogromnej pracy nad swymi pomysłami, do ich urzeczywistnienia szedł drogą konstruowania nowych zupełnie wynalazków, jako środków dla wykonania głównego pomysłu. Śmiał się często, twierdząc, iż nieraz te pomocnicze, że tak powiem, wynalazki, okazywały się znacznie zyskowniejszemi i łatwiejszemi do zastosowania, niż pomysły główne, które wymagały dłuższej pracy i tak, jak gdyby uciekały od niego gdzieś w dalszą przestrzeń. Oburzał się zawsze wtedy, iż musi się zajmować rzeczą mniejszej dla niego wagi, gdyż to mu się udaje, a jednocześnie przeszkadza w głównej pracy.

Ta miła prawda o metodzie wielkich prac i męce tworzenia łączy bardzo ściśle ludzi jednakowego może w tej mierze charakteru. Dlatego też, przypuszczam, nieraz w przeszłości łatwiej mi było porozumieć się z prof. Ignacym Mościckim, niż z wielu innymi kolegami życia i współtowarzyszami pracy.

Umysł taki, jak prof. Mościckiego, nie daje się nigdy wepchnąć w ramy doktryn, a specjalnie nie

uda się nigdy zamknąć takiej duszy w ramki maluczkich doktrynek, ciasnych formułek i jeszcze ciaśniejszych prawidełek, jakimi ludzie tak chętnie krępują i siebie i tych, którzy muszą pracować nad większemi zagadnieniami.

Prof. Mościcki jest wybitnym technikiem. Ma więc metody ujęcia każdej rzeczy, nad którą pracuje, technicznie. Gdym, zdecydowany nie przyjąć urzędu Prezydenta Rzplitej, myślał o innych kandydaturach, dobierałem sobie w myśli ludzi o wyższej kulturze i o wysokiem napięciu tego, co jest honorem i godnością osobistą, nie znoszącą upokorzenia. I gdym się wahał między dobieranymi w myśli ludźmi, przeważał we mnie zawsze moment techniczny nad momentem humanizmu, który także mógł wchodzić w rachubę. Sądzę bowiem, iż ojczyźnie naszej brak jest w pracy państwowej dobrych techników tej pracy, specjalnie, gdy idzie o większe sprawy, o wykrycie błędów w olbrzymiej maszynie państwowej, będącej w biegu.

Z przykrością dowiedziałem się, iż p. Mościcka, nadzwyczaj miła i serdeczna kobieta, jest obecnie chora, co sprawia, że nowowybrany Prezydent, gdy wybór tak go zaskoczył, pierwsze swe kroki musi poświęcić chociażby krótkiej opiece nad chorą żoną. Ku swemu, a i mojemu żalowi Prezydent Mościcki przez pewien czas będzie zmuszony urzędować, nie mając przy sobie swej długoletniej towarzyszki życia.

## O NAJWYŻSZE WŁADZE WOJSKOWE.

(8.VI.1926 r.)

*W dniu 4 czerwca 1926 r. nowoobrany Prezydent Rzeczypospolitej, prof. dr. Ignacy Mościcki, złożył na Zamku w Warszawie przysięgę. Bezpośrednio po tym akcie odbyło się również na Zamku posiedzenie Rady Ministrów, na którem Prezes Rady, prof. Kazimierz Bartel, zawiadomił wszystkich członków rządu, że „wobec objęcia władzy zwierzchniej przez nowoobranego Prezydenta Rzeczypospolitej, stosownie do istniejących zwyczajów, postanowił podać się do dymisji wraz z całym gabinetem". (Rząd ten utworzony został w dniu 15 maja 1926 r.). Prezydent Rzeczypospolitej dymisję rządu przyjął, polecając mu jednocześnie dalsze sprawowanie czynności aż do chwili powołania nowego rządu.*

*W dniu 5 czerwca Prezydent Rzeczypospolitej sformowanie nowego gabinetu powierzył dotychczasowemu premjerowi, prof. K. Bartlowi, który w dniu 8 czerwca, w trakcie konferencyj z kandydatami na ministrów, zwrócił się do Marszałka Piłsudskiego z zaproszeniem objęcia teki Ministra Spraw Wojskowych. W odpowiedzi na powyższe zaproszenie, Marszałek Piłsudski w dniu 8 czerwca*

*wysłał do prof. K. Bartla następujące pisemne oświadczenie, zawierające warunki, na jakich zgadza się objąć w nowosformowanym gabinecie urząd Ministra Spraw Wojskowych.*

Warszawa, dn. 8 czerwca 1926 r.

Do

PANA PREMJERA

w/m.

Na zaproszenie Pana Premjera objęcia w jego gabinecie teki ministra spraw wojskowych, oświadczam niniejszem, że gotów jestem przyjąć to zaproszenie pod następującemi warunkami :

I. Interpretacja postanowień Art. 46 Konstytucji była dotychczas tak dowolna i tak naginana w kierunku zapewnienia wpływów poszczególnym stronnictwom politycznym, iż domagać się muszę jasnej i niedopuszczającej żadnych wątpliwości wykładni.

W szczególności, — wychodząc z założenia, że wojsko nie może być dowodzone nieindywidualnie (t. j., że musi być dowodzone indywidualnie) — żądam stwierdzenia, że żadna inna możliwość, aniżeli dowodzenie indywidualne, nie jest przez Pana Premjera przewidywana. Z indywidualnego prawa dowodzenia wynika jednocześnie odpowiedzialność moja, jako ministra spraw wojskowych, w trzech kierunkach :

1. W stosunku do Prezydenta Rzeczypospolitej,

jako Najwyższego Zwierzchnika Sił Zbrojnych Państwa.

Kwestja uprawnień odnośnych Prezydenta nie została dotychczas unormowana, wobec czego zastrzegam sobie uregulowanie tej sprawy w formie przyjęcia przeze mnie w obecności Pana Premjera skonkretyzowanych i spisanych życzeń Prezydenta Rzeczypospolitej i ustalenia w ten sposób stosunku Prezydenta, jako Najwyższego Zwierzchnika Wojskowego, do ministra spraw wojskowych.

2. W stosunku do Pana Premjera, — jako członka Rady Ministrów, w skład której mam wejść bez umniejszenia moich uprawnień indywidualnego dowodzenia wojskiem.

Proponuję przyjęcie gwarancji mojej odpowiedzialności w formie podania o moją dymisję. Podanie to zostanie złożone przeze mnie na ręce Pana Premjera, który będzie uprawnionym przyjąć je w każdej chwili, w której uzna to za potrzebne.

3. Wobec Sejmu — w myśl postanowienia Konstytucji z wyeliminowaniem jakiejkolwiek odpowiedzialności przed Senatem, jako ustawowo niezastrzeżonej.

II. Wojsko wówczas jedynie nie znajduje się w sytuacji fałszywej, jeżeli ma wyobraziciela swojej służby i istotnego swojego przeznaczenia jedynie jako siły zbrojnej Państwa dla obrony całości i niepodległości.

Wyobrazicielem takim musi być oficer, który sam siebie i grono innych wyższych i niższych oficerów przygotowuje na wypadek takiego konfliktu zewnętrznego.

Oficer ten bierze w ten sposób na siebie najcięższy obowiązek, jaki wogóle spaść na oficera może

i z tego powodu powinien mieć prawo wywierania nacisku na mnie, jako ministra spraw wojskowych, we wszystkich kwestjach, związanych z obroną państwa. Oficer ten powinien być postawiony w wojsku tak, by był przez każdego żołnierza uważanym za najwyższego żołnierza w armji.

Jako minister spraw wojskowych, będąc honorowym oficerem, oświadczam zgóry, że w kwestjach obrony Państwa będę reprezentował jego zdanie, a nie swoje, pokrywając w ten sposób konstytucyjną odpowiedzialnością jego pracę i jego żądania.

Wobec tego, że wszystkie starania w kierunku ustalenia zakresu działania najwyższych władz wojskowych nie wydały dotąd konkretnych wyników, a brak takiego oficera, jako wyobraziciela wojska, wpływa demoralizująco na wojsko, żądam przywrócenia mocy mojemu dekretowi o „organizacji najwyższych władz wojskowych“ z dnia 7-go stycznia 1921 r., który wydałem, jako Naczelny Wódz w czasie stanu wojny, a który to dekret utracił moc obowiązującą wskutek uchylenia go z chwilą mojego ustąpienia ze służby wojskowej.

*JÓZEF PIŁSUDSKI*
*Marszałek Polski*

# MOWA NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W KIELCACH.

(8.VIII.1926 r.).

*W sierpniu 1926 r., w dwunastą rocznicę wymarszu kompanji kadrowej z Krakowa, odbył się doroczny zjazd Legjonistów w Kielcach. Marszałek Piłsudski wziął w tym zjeździe osobisty udział, wygłaszając w dn. 8 sierpnia o godz. 7 wieczorem w przepełnionej po brzegi sali kinoteatru „Fenomen" przemówienie, które według relacji prasowej w skróceniu zawierało następujące myśli:*

„Szanowne Panie i Panowie! Przemawiam do was w mieście, do którego szlakami kadrówki dotąd biegnie młodzież. Kielce związane są z nami tak silnie, że będąc w tem mieście, nie mogę się uwolnić od pewnych myśli. Wiążą się one z naszemi osobistemi losami. Bo losy legjonisty nie należą do zwykłych, ani do przeciętnych. Myślałem, wciąż wspominając, że przed 12 laty, kiedym się ważył: dawać czy nie dawać rozkaz wymarszu, nigdy nie sądziłem, że w 4 i pół lat później będę przyjmował posłów zagranicznych, składających hołdy przedstawicielowi Państwa. Nie myślałem, że będę stał na czele wielkiej armji, bi-

jącej raz po raz przeciwnika. Tak silnie wiąże się praca legjonowa z przewrotem w naszem osobistem życiu.

Kielce, był to pierwszy pocałunek wojny, do której zdążaliśmy. Dlatego tak jasno stoją w naszych myślach wspomnienia kadrówki. O tych przeżyciach chcę mówić dzisiaj...

Jedno z najżywszych wspomnień, to, gdym idąc z awangardą, zatrzymał się na pierwszym etapie w Książu Małym. Ksiądz nam dał gościnę w wielkim zamku margrabiego Wielopolskiego. Spędziłem w tem zamczysku wiele godzin. Przypominały mi się obrazy ojców naszych, którzy szli temi samemi szlakami. W wizji wyłaniała mi się postać margrabiego Wielopolskiego. Zdawało mi się, że twarz jego wykrzywia się ku mnie złym uśmiechem, jakby mówiąc do mnie: „Tak jesteście mali". I istotnie wydaje się nieprawdopodobnem, że tak małe siły tak wielki przyniosły skutek.

Na pamięć powracały często moje wspomnienia myśliwsko-sybirskie, gdy po błotach sybirskich bawiłem się strzelbą. Dla myśliwego ważne są zorze. Ilem tych zórz przeżył i wyczekał. Zorze poranne i zorze wieczorne. Jakżeż one są podobne do siebie, jak gra świateł jest podobna. Uroda zórz porannych i zórz wieczornych — te same światła, te same cienie, te same zjawiska. Palą się światła szkarłatem i purpurą — jest ta sama prawda zórz porannych i wieczornych. Jest ta sama prawda i dla zwierząt. Wszystko, co słabe, chowa się przed drapieżnikiem. Inni są drapieżnicy w dzień, a inni w nocy. Słabe stworzenia wolą noc, łatwiej się kryją. Ja jako drapieżca ze strzelbą, myślałem nieraz zadumany nad stratą zórz porannych i zórz wieczornych.

Ileż tych zórz porannych i wieczornych przeżyła ludzkość i nasza Ojczyzna. Iluż ułudom, iluż złudzeniom ludzkość ulegała.

Słońce zapadło na długo, a Kościuszko i jego ludzie nie chcieli wierzyć, że słońce zgasło.

I my brnęliśmy w ułudę zorzy, która mogła się okazać wieczorną, jak okazała się poranną. Ulegliśmy ułudzie świateł.

Raz po raz szły pokolenia, które wiosny nie miały. Jakgdyby los przez złośliwość dawał okazję, by na niebie paliły się zorze, by trwała ułuda.

Przyszedł rok 1812, Napoleon. Paliła się zorza szkarłatna na horyzontach, rozumy się chwiały. Dziadowie szli ginąć pod Moskwę, powstało imię, któremu pomniki stawiano, czyniąc go ojcem honoru. I znowu przyszedł rok 1830. Paliły się szkarłatne zorze na niebie. Szkarłatem paliły się rabaty. Szli do boju chłopcy, jak malowanie, a zorza była wieczorna. I znowu nowe pokolenie i nowa złuda wschodzącego światła. Zgasła złuda 1863 roku.

Ileż złud mieliśmy za sobą, gdyśmy w 1914 roku szli z Krakowa do Kielc. Byliśmy tak mali i tak szeroko kładły się cienie, a światła było mało. Garść zapomnianych ludzi. Zorza paliła się wciąż tak samo i w wahaniu zórz wieczornych i porannych szliśmy szmat życia.

Gdy myślę o pracy ojców, mam westchnienie zazdrości i westchnienie triumfu. Zazdrości, bo pracowali w lepszej, niż my, atmosferze. Chłodniejszą mieliśmy atmosferę, niż wszystkie inne powstania. Mieliśmy również dłuższą, niż oni Golgotę. Zorza nasza paliła się na horyzoncie tak mglisto, że zdawało się często, iż noc zalać ją musi.

Cztery długie lata męczarni, w których wszystko mówiło o powstaniu nadziei, o powstaniu złudy. Stwierdzam prawdę niezbitą, iż w roku 1917 szliśmy drogą historyczną, którą szli dziadowie, ale los nasz był cięższy.

Tyle wspomnień wywarły na mnie Kielce.

Panie i Panowie! Oddałem dań prawdzie historycznej, teraz chcę podnieść inną stronę tej prawdy. Chcę dotknąć prawdy o odwadze myśli i odwadze metod pracy. Gdy staje się jakaś rzecz nowa, musi ona mieć myśl przeczącą temu, co jest. Dlatego jest ona nową. Gdy się myśli o innych prawdach, trzeba przyjść do przekonania, że dla nowej myśli trzeba mieć odwagę, trzeba przeskoczyć przeciętną prawdę, wyznawaną przez ludzi. Napoleon mówił, że, by złamać przeszkody, nie trzeba ich uważać za przeszkody. Ten prosty sposób stanowił podstawę odwagi myśli i my, stając się nowatorami, znaleźliśmy może odwagę myśli i powiedzieliśmy sobie, iż przeszkód, które chcemy przeskoczyć, nie będziemy uważali za przeszkody. I jeśli w naszej awanturniczości doszliśmy do tak wielkich wyników, dowodzi to, że obok odwagi myśli mieliśmy i odwagę pracy. Bez tego nie moglibyśmy przeżyć czterech lat.

Mamy więc za sobą odwagę myśli i odwagę pracy — czynniki, które dają zawsze nowe życie i nowe prawdy. Stwierdzą to z przyjemnością ci, co będą mieli z nami do czynienia w historji.

Tą syntezą nieraz bawiłem się, myśląc o naszej przeszłości. Działaliśmy w otoczeniu, które tych cech odwagi myśli i działania — nie posiadało. Straciło je w niewoli.

Jeżeli powtórzę swoje porównanie myśliwskie, to

muszę powiedzieć, iż społeczeństwo polskie przypominało mi kacze towarzystwo, zbierające się w błotku. Wyobrażałem sobie zawsze, oczekując przelotu ptaków, iż kaczki gadają w ten sposób: „Wylecieć trzeba ani zawcześnie, ani zapóźno, ale w samą porę. Gdy wyleci wcześniej, zginie, dlatego też zawsze lepiej jest czekać. Jest to rozum stanu, gdyż w ten sposób zachowuje się swe życie". A kiedy jakiś kaczor lub kaczka wyrwała się wcześniej, wszystkie kwakały: „Zginie napewno, wyleciał zawcześnie". To gdakanie szło za mną krok w krok, śladem kadrówki, przez cztery lata. Gdakały tak poważne kaczory i kaczki, kiwając poważnie głowami i przestrzegając młode, by nie naśladowały tych nierozumnych.

Prawda ta, wyhodowana przez długą niewolę, i z niej zrodzona niemoc, prawda ucieczki od słońca, od dnia, gdyż na niebie bujały drapieżne dwugłowe orły, — była powszechną. Odwagi myśli i odwagi prawdy nie było. Gdy więc przebyliśmy drogę, odważnie myślący i odważnie postępujący, wylatujący raczej zawcześnie, niż zapóźno, gdy przeżyliśmy kilka lat Polski, chciałbym na naszym przykładzie stwierdzić, iż odwaga myśli i pracy nie zawsze się tak źle kończy, jak o tem mówią. Chcę stwierdzić, iż nasz przykład, odważnych myślą, dowodzi, iż często lepiej jest wylecieć zawcześnie, niż gdakać i siedzieć w błocie.

## PRZEMÓWIENIE NA ZAMKU W NIEŚWIEŻU.

(25.X.1926 r.)

*W dniu 24 października 1926 r. udał się Marszałek Piłsudski do Nieświeża celem udekorowania złotym krzyżem „Virtuti Militari" sarkofagu swego byłego adjutanta, majora Wojsk Polskich, ś. p. Stanisława Radziwiłła, poległego bohaterską śmiercią w czasie wyprawy kijowskiej w bitwie z bolszewikami pod Malinem. Uroczysty akt dekoracji odbył się w dniu 25.X.1926 r. w obecności ministrów Niezabytowskiego i Meysztowicza, tudzież wojewody nowogrodzkiego Beczkowicza oraz licznych przedstawicieli rodów, spokrewnionych z domem Radziwiłłów.*

*Po uroczystości na zamku Albrecht Radziwiłł przyjmował gości obiadem, podczas którego wygłoszono kilka przemówień. Marszałek Piłsudski, w odpowiedzi na przemówienie gospodarza, powiedział m. in.:*

Stare to zamczysko mówi nam, jak śmierć i życie splatały się z sobą w pracy nad temi murami. Miałem adjutanta, który z tego pochodził gniazda i niewątpliwie duch Stanisława Radziwiłła jest z nami, gdy tu bawi jego Wódz Naczelny. Ani mnie to przeraża, ani dziwi. Dziś chcę jego wspomnieć nie

jako umarłego, lecz jako żywego. Rycerska prawda tego domu uosobiła się w nim. Duma wielkiego domu, który tak dawno przeszłości naszej służył, zlały się w nim z wierną i twardą służbą żołnierza. Dom Radziwiłłów dał nam w przeszłości ludzi, co w służbie państwa zasłynęli czy na polach bitew, czy w radach senatorów.

Piję dziś nie za pamięć o poległym, gdyż wierzę, że pamięć po nim żywa będzie wśród Panów, lecz dziękując, wzruszony przemówieniami poprzedników, toast ten wznoszę za ród Radziwiłłów, goszczący mnie dziś, by pozostał równie wieczny, jak te stare mury Nieświeża...

## PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADJO.

( 11.XI.-1926 r.).

*W dniu 11 listopada r. 1926, w związku z uroczystym obchodem ósmej rocznicy odzyskania niepodległości, Marszałek Piłsudski wygłosił dłuższe przemówienie przed mikrofonem, zainstalowanym specjalnie w tym celu w jednej z sal pałacu belwederskiego. Przemówienie, według relacji „Głosu Prawdy", brzmiało dosłownie, jak następuje :*

Siedzą przy mnie dwa dzieciaki, dzieciaki miłe i proszą o bajkę. Dlatego też powiem paniom i panom bajkę dla dzieci i dla dorosłych. „Tyle szczęścia, co jest we śnie, tyle prawdy, co jest w pieśni". Tak pan jakiś napisał, z panów jeden taki był, co pisał, a my, co czytamy, niekiedy mu wierzymy, a niekiedy nie. Ale zato dziś prawdę powtarzam, „bo są czary i są dziwy, byle ktoś tam był szczęśliwy".

Razu pewnego zobaczyłem gromadkę dzieci, schyloną i skurczoną nad jakimś przedmiotem. Patrzyłem zdumiony, co na brudnem, śmietnistem podwórzu one widzieć mogły i dojrzałem małą żabkę. Żabka w błocie utytłana, zabrudzona, w piachu wywalana, skakała niezgrabnie na długich nogach i wyłupiastemi oczkami łyskała na

dzieci. Zapytałem dzieciaka, na co wy tu patrzycie? Na to mi jeden chłopak odpowiedział, że przecież była taka żabka na świecie, co — on sam o tem czytał — na śmietnisku skakała, a nagle przez czary i dziwy wyjechała złocista kareta — ogromna kareta, w sześć rumaków wielkich zaprzężona. Sześciu wielkich hajduków pod uzdy rumaków trzyma, a z karety wysiadają panie strojne nad wyraz. — Panie pudła z karety wyjmują i, o czary! i o dziwy! z żabki robi się nagle cud dziewica, cud dziewczyna! o przepięknych oczkach i liczku. Tylko łachmanami przedartemi się chroni, zziębnięte ciało gołe przez dziury świeci i oczy ma cudne i piękne liczka. Z żaby zatytłanej, w błocie uwalanej, tak piękna dziewczyna wyskoczyła z karety, a panie strojne nad wyraz niosą koszulkę białą, koszulkę cienką — jedwab najlepszy. Za koszulką idą pantaloniki, falbanki strojne, piękne ładne falbaneczki, a gorsecik, co jej na piersi zawiązują, taki jest barwny, taki ładny — sznurki jedwabne.

Dziewczyna sama sobie się przypatruje i dziwi się. A suknia, w którą ją przybierają, w białe perełki, róże, przeszyta złotem, srebrem świeci. Piękna dziewczyna patrzy na nóżki. A na nóżki idą już pończoszki śnieżno białe i ciepłe, a tak ładne, że nóżki, czerwone od chłodu, w biały marmur się zamieniają, by pięknie przeświecać przez śliczne pończoszki. Ale co tam pończoszki. Kiedy wreszcie przynoszą pantofelki nad białość białe, nad puchy miększe, cieniutkie i jej na małe nóżki chłodne wdziewają. Żabę brudną, na dziewczynę cudną przez czary zmienioną, wsadzają do karety i jedzie ona na białe, na wielkie pałace i sale. W pałacach i salach posadzki świecą, jak lustra

i w lustrze takiem dziewczyna cudnej swej piękności się przygląda, a złe dziewczęta, z zazdrości zżółkłe, gwarzą i szepczą o niej, jako o złej i przewrotnej dziewuszce. A panie złe i macochy złe rzeczy do ucha sobie szepczą. Są więc czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe. Powiadają, że bajek na świecie niema...

Tak mi chłopak mówił i czekał, żeby z żabki cud dziewica wyskoczyła i karoca na śmietnisko zjechała. Sam nie wiem, czy to bajki prawdziwe, ale, że są czary i dziwy, kiedy ktoś jest bardzo szczęśliwy, to jest prawdą. To ja sam na własne uszy słyszałem, na własne oczy widziałem, własnemi palcami dotykałem takich czarów i dziwów, że doprawdy aż opowiadać strach. Prawda, że może nikt z nas miłego dzieciaka nie widział, któryby nagle, po lesie biegając, poziomki zbierając, zobaczył las z pierników i pierniki, jak gałązki, obłamując, do ust wkładał. A któż dziecko widział, które nagle, skacząc na jednej nóżce, w ogrodzie zaczarowanym się znalazło i widziało na gałęziach czar — ptaki, wesoło szczebioczące i wesoło pomiędzy sobą mówiące? A któż miłą dziewuszkę widział, która w ogrodzie zaczarowanym się znalazła? Tutaj widziała, jak grucha sama jej do buzi idzie, by sok z niej wyssała, a rumiane jabłuszka do kieszonki spadały jej same z gałęzi. Ja zaś wierzę, że taka dziewuszka gdzieś istnieje, że takie chłopaki żabki ładne oglądają, gdy w cud dziewice się zmieniają, bo są czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe, bo są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Ja własnemi uszami słyszałem, palcami dotykałem i widziałem czar nad czary, cud nad cudy i o tem wam opowiem.

Był kiedyś listopadowy dzień, jasny, kiedyś

roczków niewiele, a działy się wtedy czary i działy się dziwy. Na drodze błotnistej, w błoto wszędzie zawalanej, ciągnie szary, krótki i niedługi — wąż szary chłopaków i chłopców.

Tak samo, jak ta żabka niezgrabna, skacząc szli, zmęczeni, przytupując niekiedy zmarzniętemi nóżkami, po drodze błotnistej, szarej i wilgotnej. Biedne chłopaki, biedni chłopcy! Przytuleni do siebie, drżeli z zimna, oczki ich były niewyspane, po nocy ciężkiej i ciężkich dniach wielu. Nogi zmoczone w trzewikach podartych, w błocie utytłanych, szli tuląc się często do ziemi, by choć na chwilę przykucnąć i przez chwilę odpocząć. Szli, ciągnęli w 11 dzień listopada, hen! gdzieś pod mury Krakowa. Na czele ich jechał chłopak inny, jechał na młodej kasztance z łysą głową. Kasztanka, córa pól i łanów, zalotnie szła w miasto, skąd przyszli biedne chłopaki, w błocie utytłani, w łachmany odziani, skąd przyszli chłopcy, co na grzbietach kubraki zawszone, zapaskudzone insektami, w koszulach brudnych, jak ziemia sama, szli do miasta? Jakąż przeszli oni ciężką dolę! Szli noc całą, tak że śmierć im wszędzie w oczy zaglądała. Szli przez bramy śmierci, przez wrota jej ciasne i duszne, szły biedne chłopaki, czując śmierć za sobą.

A prowadził ich chłopak inny, idąc z nimi po błocie w wąwozach ciemnych, przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy księżyc z za chmury na nich wyglądał, wydawało się tylko, — że to blask kosy śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali, śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy i biedne chłopaki, do ziemi przyciśnięci, brudni i zawszeni, podarci i obdarci, jak żebraki, szli tęskniąc do mu-

rów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i o spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak, jak owa żabka, po brzegach śmietnika niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej wiejskiej klaczy, co w złocie słońca złotym włosem lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta i kiwa im na wszystkie strony. Lecz miasto złem okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, z góry pędziło straszydło - auto, hucząc i sycząc, łomocąc bruki miejskie puste i próżne, tak, jak puste i próżne główki bywają i łomocą i krzyczą swą prostotą.

I klacz wiejska na zadzie przysiadła, nogami brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspakajał ją głaskaniem i batem i zaczął mówić jej o czarach i o dziwach. „Poczekaj, kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wejdziesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na cię będzie. Na twoją szyję ładną i na twój złoty włos. Nie bój się, kasztanko. Próżny strach twój tutaj. I nie wiem i wam nie powiem, dlaczego to tak było, lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach Marjackich, koroną zdobnych, są czarowne słowa, czy hejnały, co godziny liczą, może w dźwiękach zaczarowane mają, czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę sercem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle, śpiący snem wiecznym, czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w śpiże czarów biją, nie wiem i nie powiem. Lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy.

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo, dzień goni dzień, noc nockę prześciga, przyszedł

znowu listopada dzień 11 — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed jej oczami się przesuwa. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią i wszystko zupełnie inaczej wygląda. Czar nad czary i dziw nad dziwy. Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zawszony? I łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana. Ten sam — ten samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony! Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga, co kolorem nieba i żałoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy. Grzmią bębny warkotem okrutnym. Brzmią trąby mosiężne krzykiem, wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo. Za nimi, w spiże zamknięte, ciężko i twardo idą armaty. Wśród ognia szły konie, prężąc ciała, wielkich armat ciężkie koła bruki przebijają, aż szyby się trzęsą. Za nimi malowane ułany nad ułany. Jedni idą konni, drudzy spieszeni, a trąby mosiężne i warkot bębnów, fanfar odgłosy o zwycięstwie mówią. Świat cały jest zaczarowany. Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi, bo są czary, bo są dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Świat zaczarowany, przemiany ogromne, skąd idą? dokąd płyną? czy z bajek i czarów? czy z czego innego?

Panie i panowie, którzy mnie słuchacie, pozwólcie, bym skończył, bo czas już upływa, bym skończył życzeniem na dzień 11 listopada przyszłego roku. Nie wiem, panie i panowie, jak powita nas 11 listopada w przyszłym roku. Może nam szyby

deseniami szronu przesłoni i śniegiem przyprószy dachy i ulice miasta. Wiemy, że gdy przy wskrzeszeniu ciał i duszy odrodzenie się odbywa, ciepłem od zimna się schronimy. Może listopad przywita nas wichurą, wiewem wiatru, co w szyby dzwoni i w kominach jęczy, co o śmierci mówi i o strachach krzyczy: — Wiem, że wskrzeszenie ciał z odrodzeniem duszy siłę i piękno w jedno razem zwije. Wichury złamiemy i tarczę ochronną przeciw wiatrowi znajdziemy. I nie wiem, panowie, być może w wilgotny dzień jesienny, z chłodem przenikliwym wilgoci dzień 11 listopada nam rzuci. I wtedy też z wskrzeszeniem ciał, z duszy odrodzeniem ciepło wewnętrzne znajdziemy, co wilgoć i zarazę zdusi. A może uśmiechnie się tak, jak uśmiechało się słonko w czarownym dniu 11 listopada 1918 roku. I słonko jesienne lica przygrzeje i wiatr łagodny w twarz chłodzić będzie i wtedy z duszy odrodzeniem znajdziemy wspólny uśmiech szczęścia z bytowania z duszą wielką i odrodzoną. Życzę paniom tego i panom i miłym dzieciom. Dowidzenia państwu.

## O ORGANIZACJI OBRONY PAŃSTWA.

### Przemówienie w Komisji Budżetowej Sejmu.

### (15.XII.1926 r.).

*W dniu 15 grudnia 1926 r. Sejm na porannem posiedzeniu uchwalił bez zmian (w trzeciem czytaniu) prowizorjum budżetowe. Marszałek Piłsudski, po otrzymaniu tej wiadomości, postanowił wziąść udział w popołudniowem posiedzeniu Komisji budżetowej i zabrać głos w debacie nad budżetem ministerstwa spraw wojskowych.*

*W chwili przyjazdu Marszałka Piłsudskiego poseł Kościałkowski omawiał końcowe ustępy swego referatu. Wiadomość o przybyciu Marszałka ściągnęła do małej i ciemnej salki komisyjnej wszystkich obecnych w gmachu sejmowym posłów i senatorów; — około godziny 8, w chwili zakończenia referatu posła Kościałkowskiego, było w niej tak tłoczno i duszno, że Marszałek Piłsudski, na pytanie przewodniczącego Komisji, stwierdził, że przemawiać w takich warunkach nie jest w stanie. Zarządzono więc godzinną przerwę i postanowiono przenieść obrady do sejmowej sali obrad plenarnych. Po przerwie zabierali głos posłowie Michalski (Chrz. Nar.), Liebermann (P. P. S.), Polakiewicz*

*(Str. Chłopskie), którzy zrobili kilka zastrzeżeń co do sposobu budżetowego traktowania rezerwy zaopatrzenia oraz co do „przerostu wydatków wegetacyjnych armji nad wydatkami materjałowemi" i zwrócili uwagę na parę — ich zdaniem — wad w budżecie wojskowym. Zaznaczyć należy, że dyskusja utrzymana była w tonie bardzo poważnym.*

*Przemówienie Marszałka Piłsudskiego, będące do pewnego tylko stopnia odpowiedzią na zrobione przez mówców zastrzeżenia i uwagi, brzmiało dosłownie, jak następuje :*

Poruszono tu sprawę stosunku do kontroli państwowej. Nie pisałem ustawy o tej kontroli, zresztą cała kontrola tyczy się roku 1925, co mnie obchodzi inaczej, niż Panów. Mnie w kontroli za rok 1925 obchodziła tylko kwestja, dlaczego ja mam być obciążony deficytem 65 miljonów, co stanowi poważną ujmę w całej gospodarce wojskowej.

Mam dwie rzeczy główne do poruszenia. Jedną jest budżet wojskowy i sposób wydatkowania miesięczny w porównaniu z budżetem pisanym na rok, a nawet na 5 lat, jak niektórzy Panowie twierdzili. Okazuje się zawsze taka dzika sprzeczność, gdy wydatki miesięczne porówna się z jakimkolwiek planem rocznym, a cóż dopiero 5-letnim, że wydaje mi się poprostu fikcją trzymanie się jakiegokolwiek planu.

Nieraz w dyskusjach zwracałem uwagę na to, że należałoby dojść chociaż do kwartalnego obliczenia, a nie mieć całej biedy, związanej z wydatkami miesięcznemi. Jeżeli na innych resortach nie odbija się to tak silnie, jak na wojskowym, to jest wynikiem tej prawdy niezbitej, że inne mają przeważnie tylko gaże, gdy wojsko ma bardzo skompli-

kowaną gospodarkę, związaną z wyżywieniem, ubraniem, mieszkaniem ludzi. Ta gospodarka cierpi bardzo, gdy musimy się liczyć tylko z wydatkami miesięcznemi.

Dzięki poprawieniu się ogólnej sytuacji finansowej wojsko teraz mniej cierpi. Jak referent podniósł, przy teraźniejszej gospodarce znacznie mniejsza ilość pieniędzy zostaje dla skarbu z tytułu niewydania. Dzieje się to dlatego, że wydałem rozkaz wydawać wszystko, żeby nie oddawać skarbowi z powrotem, a po drugie dlatego, że jak powiedziałem, ogólna sytuacja finansowa się poprawiła i można liczyć choć nie napewno, że miesięczny wydatek będzie przynajmniej taki sam, jak poprzedniego miesiąca.

Jest to nieszczęściem całego naszego budżetowania, a zwłaszcza nieszczęściem dla wojska, że budżet roczny staje się zwykle fikcyjnym, gdy trudno sobie powiedzieć zawczasu, jak za 12 miesięcy będzie wyglądał odcinek miesięczny. Ja twierdziłem zawsze, że z ogólnego planu budżetowego zostają tylko jakieś urywki ogólne, jakieś ogólne prawdy, które jednak nie są dostatecznemi wytycznemi dla trzymania się ścisłego nawet budżetu rocznego, a cóż dopiero jakichś planów na dalszą metę. Jest to ogólna nasza wada, wprowadzona nie przez rząd, który ja tu reprezentuję, ale, zdaje mi się, że to był pos. Michalski.

Pan dostatecznie działał przeciw wojsku, ja się temu przyglądałem. Ale zostało to odziedziczone przez nasz rząd i stanowi jedno z przekleństw gospodarki wojskowej. Jeżeli dodamy do tego stały nagły wzrost cen, który robi każdy budżet nierealnym, to musicie Panowie przyznać, że nie znajdzie-

cie żadnego administratora, któryby nie był zmuszony do ciągłego łatania sytuacji.

Jeżeli np. weźmiemy budownictwo, to jest ono poprostu klęską, gdyż żaden inżynier ani budowniczy nie może budować domu, nie będąc pewnym, czy nazajutrz nie zatrzyma roboty. Wskutek obcinania oszczędnościowego rozmaitych budżetów cierpi specjalnie budownictwo. Dlatego dziś niema mowy o jakimś planie budowniczym dla żadnego działu. Byłoby to fikcją, o której można pisać i mówić, ale której nie można wykonać. Dlatego mamy gmachy podprowadzone pod dach, które jednak stoją niedokończone, stają się ruiną, wskutek opadu deszczów i śniegów, a procent ich wartości coraz bardziej maleje.

Przy takiem nieszczęsnem budżetowaniu odbija się to szczególnie na funkcjach wojskowych. Zawsze krytycznie odnoszę się do administracji wojskowej, ale muszę uwzględnić te trudności, które mają ci ludzie, zmuszeni wykręcać się jak piskorz z nieszczęścia budżetów, a tem bardziej *(zwracając się w stronę pos. Czetwertyńskiego)*, proszę księcia, nie można się trzymać planów pięcioletnich.

Historja pracy wojskowej uczy, że system oszczędnościowy, który był czy to skutkiem inflacji, czy drożyzny, dotykał głównie trzech rzeczy: budownictwa, które obcinano, koni, które stanowią najdroższy element w wojsku dla przekarmienia, a których liczby zmniejszono bardzo znacznie, a wreszcie rezerwy zaopatrzenia, a to dlatego, że była umieszczona w nadzwyczajnych wydatkach.

Ja kazałem to pomieścić w wydatkach zwyczajnych dla uniknięcia ścinania w mechaniczny sposób *(Wesołość)*. Chcę jednak powiedzieć w sprawie rezerwy zaopatrzenia, że mam tu pewne specjalne

wahania i wątpliwości, czy ta rezerwa jest głównym momentem, który nam jest potrzebny, jeżeli ją pojmiemy w ten sposób, że magazyny powinny być zapełnione, a obliczone w stosunku do rozbudowy wojska na 10 czy 12 lat naprzód.

Już kiedy pracowałem na placu Saskim z pewnym sceptycyzmem patrzałem na usilne starania zrobienia planu na szereg lat w stosunku do wojska, nie dlatego, że to się tyczy Polski, że sposób prowadzenia wojsk wogóle musi podlegać rewizji. Poród nowych koncepcyj jest bardzo ciężki i powolny, a tymczasem obciążenie teoretyczne dąży do tego, aby wojsko budować na wzór tego, co było przed rokiem 1914 i to nietylko dlatego, że ten wzór istnieje jeszcze i myśmy się do niego przyzwyczaili, ale i z tego powodu, że we wszystkich państwach, a także i u nas, wielkim ciężarem jest masa oficerów, którzy do czego innego nie są zdatni, jak do pracy według wzorów z przed roku 1914 i którzy ciążą na budżecie w bardzo silny sposób. Tak samo dzieje się u naszego sąsiada zachodniego i we Francji, a najmniej może w Anglji, która umiała z tego wybrnąć cesarskiemi cięciami.

Nowy system rodzi się bardzo powoli. Podniesiono tu sytuację polityczną, na którą ja zapatruję się nie tak pesymistycznie, jak Panowie. Ale faktem jest, że wojsko dotąd nie zostało skasowane i wszędzie istnieje, a więc tembardziej powinno istnieć w Polsce, która przez nikogo nie jest gwarantowana i w wielkiej części jest pozostawiona samej sobie. — Przeróbka pracy wojskowej nie da się dokonać w sposób taki, jaki proponował p. pos. Lieberman, który mógł spokojnie powiedzieć, że nasz budżet wojskowy jest zbyt jednostronny i powinien

uwzględnić także mobilizację moralną i materjalną całego narodu na wypadek wojny i dlatego należy budżet wojskowy zmniejszyć. Tak patrzeć na pracę wojska nie wolno, dopóki się ma wojsko. Co innego, jak wojsko się usuwa. Dopóki istnieje, trzeba się starać, aby było jako tako dobre, i wtedy trzeba na wojsko płacić.

Więc ja sądziłem, że rezerwa zaopatrzenia magazynów, któreby zaopatrzyły armję w dostateczne ilości w razie wybuchu wojny, przy tej sumie doświadczeń, jakie zostały zrobione do dzisiejszego dnia, nie da się nigdy osiągnąć bez nagłego wkładu większych pieniędzy. Dlatego szukałem sposobu przerzucenia ciężaru na inne prace, zabezpieczające pod tym względem przynajmniej pierwsze dnie jakiegoś konfliktu zbrojnego, do któregobyśmy przez nieszczęście kiedykolwiek doszli. W stosunku do rezerwy zaopatrzenia odnoszę się nieco bardziej sceptycznie, niż poprzednio, ze względu na doświadczenia wielu lat, gdyż zawsze je obcinano i rezerwa ta była kozłem ofiarnym, na którym znęcali się Panowie, a także z musu ten czy inny minister spraw wojskowych. — Gdyby Panowie zgodzili się na zdanie pos. Czetwertyńskiego, aby to nie podlegało „virement" na następny rok, nie mam nic przeciwko temu, sądzę jednak, że można mieć pewne zastrzeżenia. Jabym bardziej kładł nacisk na uzbrojenie, które wymaga także bardzo znacznych wkładów pieniężnych, jeżeli mamy być bardziej przygotowani.

Druga rzecz, o której chciałbym mówić, to jest administracja. Pos. Polakiewicz żądał wprowadzenia etatów, dlatego, że obiecał to gen. Sosnkowski, a poseł Lieberman mówił to samo, powołując się na gen. Żeligowskiego. Skarżyli się oni na przerost ad-

ministracji w porównaniu z wartością samego objektu, którym się administruje. Jest to niewątpliwie jedna z największych bolączek naszej armji. Otóż muszę powiedzieć, że przerost administracji jest cechą charakterystyczną wszystkiego, co robią Polacy. Wszędzie administracja zjada dochody przedsiębiorstw nawet prywatnych. Jest to również chorobą naszego wojska. Dla usprawiedliwienia siebie powiem, że, niestety, jestem obciążony dziedzicznie bardzo silnie. Dźwigam na sobie prace nietylko wojska polskiego, ale i prace Józefa II i Katarzyny II, jako dziedzicznie obciążony zwyczajami pod tym względem bardzo odległemi. Jednym z największych kłopotów wojska jest obecnie rozmieszczenie oficerów t. zw. administracyjnych, których liczba rośnie wskutek dyskwalifikacji oficerów do pracy linjowej. Są to nietylko ludzie ranni lub kontuzjowani, ale mnóstwo nieużytków wojskowych, któreśmy w siebie wchłonęli podczas szybkiego tworzenia wojska w latach 1919 i 1920 w tak wielkiej liczbie, że stało się to prawdziwym ciężarem dla wojska.

Powróciwszy do armji, zastałem w niej wielu ludzi zdyskwalifikowanych, ludzi, którzy brali pensje, nic nie robili i siedzieli u siebie w majątkach, oraz administrację większą, niż zostawiłem. Ja jestem znany w armji z zaciekłej walki z przerostem administracji i zarzutu, abym się do niego przychylał, zrobić mi chyba nie można. Jestem zwolennikiem rzucania człowieka na głęboką wodę, niech sobie radzi, a jak nie poradzi, to utonie. Panowie zaś właśnie waszemi prawami nie dajecie mu utonąć, robicie sztuczne pęcherze i ja walczę z temi prawami, które nie dają utonąć wszelkim niedołęgom.

Bywały wypadki, że ktoś wydalony ze służby za nadużycia, stawał się przedmiotem zazdrości tych, którzy zostawali, bo nie umieli, czy nie zdążyli zrobić nadużyć. Dzieje się to wszystko na podstawie praw, przez Panów uchwalonych. Jeśli ktoś się poda do dymisji, to często uważam za szczęście, bo emeryturę płaci minister skarbu. Płacimy emerytury nietylko za polską służbę, ale i za służby dawniejsze każdemu, kto się zgłosi. Jestem zwolennikiem skrócenia administracji, lecz jeśli Panowie sądzicie, że przy tych prawach, któreście uchwalili, jest to możliwe w szybkim czasie, to się grubo mylicie.

Podniesiono tu sprawę ryczałtowej gospodarki. Dała ona dużą oszczędność i możność wybrnięcia po nagłem i ogromnem obcięciu budżetu za ministra Żeligowskiego. Biedny gen. Żeligowski nie mógł sobie dać rady z sytuacją, wówczas powstałą, a to obcięcie jest też zasługą Panów. Minister Żeligowski był tu, mówiąc po rosyjsku, „bez winy winowat". Takie sytuacje zmuszają później do łatania.

Administracja, to nietylko praca oficerów nielinjowych, ale i żołnierzy. Procent ludzi, zatrudnionych w administracji, w porównaniu z zatrudnionymi w wyszkoleniu żołnierza, wzrasta ciągle. Jest to niejednokrotnie również skutkiem niemożności przekroczenia praw, wydanych przez Panów. Dowódcy ambicjonują się do pracy gospodarczej i administracyjnej i często z tego punktu widzenia bywają też oceniani, choć rzadko dobry administrator jest jednocześnie dobrym dowódcą wojskowym. Czy uda mi się zadowolić nietylko Panów, ale i siebie, o co mi zwłaszcza idzie, w walce z przerostem administracji i postawić wojsko wyżej, niż inne

działy — nie wiem, bądźcie jednak Panowie pewni, że dołożę wszelkich starań i robię nacisk, aby wojsko wyprzedziło pod tym względem wszystkich innych.

Dążenie do skrócenia służby wojskowej jest zjawiskiem stałem na całym świecie. Wybuch wojny zastał we wszystkich państwach z wyjątkiem Rosji i Francji, dwuletnią służbę wojskową. U nas, zwracam uwagę Panów, na materjał wojskowy, jakim rozporządzamy. Polski żołnierz uczy się wojenki bardzo szybko, lecz nigdy dokładnie. Jest trochę lekkomyślny i łatwo przechodzi do porządku nad swemi obowiązkami. Białorusin i Rusin uczy się znacznie trudniej, lecz jest dokładniejszy, niektórzy też oficerowie specjalnie cenili sobie ten materjał. Dla naszego więc żołnierza skrócenie służby wojskowej nie jest pożyteczne. Zmuszenie żołnierza do powtórzenia pewnych ćwiczeń więcej razy mechanicznie przyzwyczaja do dokładności.

Drugi wzgląd — to wielka ilość analfabetów. Gdy żołnierz przejdzie już szkołę, będzie to wielką ulgą, lecz póki procent analfabetów jest tak wielki, trudność skrócenia służby jest duża. Ten materjał, jakim rozporządzamy, nie nadaje się do skrócenia służby.

Trzeci wzgląd, to właśnie przerost administracji, który sprawia, że wypuszczamy wielu ludzi, którzy właściwie przeszli przez wyszkolenie krótsze, niż przepisowy czas służby. Służba bowiem w istocie trwa u nas krócej, bo ze względów oszczędnościowych skracamy ją, gdy tylko można, pod różnemi pozorami, aby nie być zmuszonymi żywić żołnierzy. Robimy więc oszczędności, do czego w swoim czasie zmuszał p. Michalski, na co skar-

żył się minister Sosnkowski, gdy byłem jeszcze Naczelnikiem Państwa. To samo jednak i ja niekiedy, niestety, stosować muszę. Służba więc efektywnie jest dość znacznie skrócona. Szukam jednak dalszego wyjścia z sytuacji i może przyjdę z odpowiednim projektem. Mamy mianowicie różne części wojska, które wymagają różnego czasu dla wyszkolenia. Jazda, konna artylerja, wojska łączności, pewne części broni technicznej, lotnicy, to są różne rodzaje broni, które wymagają jedne dłuższego, inne krótszego czasu służby.

A cóż dopiero mówić o większości wojska, o piechocie, której praca ćwiczeniowa staje się coraz bardziej skomplikowaną, to znaczy, że coraz trudniej być dobrym piechurem, a mimo to ciągle i w wojsku i w pojęciu Panów liczymy się tylko ze stanem z przed 1914, kiedy ta broń główna nie była tak skomplikowana i kiedy wszystkie oszczędności robiono na jej skórze. Trzeba się jednak zastanowić, czy można robić oszczędności kosztem piechoty, która dziś używa kilka rodzajów broni i wymaga wyćwiczenia w używaniu tych broni osobno i w kombinacjach rozmaitych. Trzeba się nad tem zastanowić, gdyż toby dało pewne oszczędności i z drugiej strony zadowolenie, że pewna część ludzi mogłaby służyć znacznie krócej.

Ale w takim razie stanęlibyśmy w zupełnej sprzeczności z zasadą powszechności służby wojskowej, jeden służyłby 2 i pół lata, a drugi tylko pół roku. Ze stanowiska techniki wojskowej to wystarczy, ale nie wiem, czy wystarczy dla zasady komukolwiek. O tem nieraz myślałem, gdy myślałem o sposobach skrócenia służby wojskowej i zmniejszenia ciężaru, który powstaje przy pewnym kontygencie i przy pewnej organizacji armji.

Drugą zaś ważną dla skrócenia czasu służby sprawą, na którą zwracałem uwagę wszystkich dowodzących i inspekcjonujących, to jest kwestja ludzkich zdolności pedagogicznych. Żądać od oficera, żeby był dobrym dowódcą, a równocześnie zdolnym pedagogiem, to jest rzecz trudna i obawiam się, że gdy zwiększymy nacisk w kierunku szybkiego nauczania żołnierzy, to nawet staniemy przed kryzysem, przed którym stanęły wszystkie armje, przed kryzysem jakgdyby konieczności podziału korpusu oficerów na dwie kategorje, z których jednaby tylko uczyła, a druga była od reszty służby. A każdy z Panów był w szkołach i wie, że zdolnych pedagogów jest bardzo mało. Ja sam, który miałem do czynienia niegdyś z bardzo niezdolnymi pedagogami, śmiem twierdzić, że zdolność pedagogiczna jest słabo rozsiana po świecie. Ten kryzys w pedagogji wojskowej jest jednym z ciężkich problematów, przed któremi stajemy, bo przeważna część materjału oficerskiego nie jest przygotowana do szybkiego przeszkolenia większej ilości materjału ludzkiego, danego mu na krótki okres czasu, a kiedy się ten okres jeszcze skróci, wtedy praca ich stanie się jeszcze bardziej nerwową, to zaś odbije się w złem obchodzeniu się z ludźmi. Pedagog niezdolny irytuje się bardzo silnie i sekuje ten biedny materjał ludzki.

Ja to wiem po sobie, bo sam jestem też złym pedagogiem i ile razy musiałem uczyć, tyle razy byłem wściekły i robiłem przykrości tym, których uczyłem. Dodajmy jeszcze jedno: że także ten materjał oficerski musi być przez dłuższe ćwiczenie i kształcenie przygotowywany, nim zacznie pracować tak szybko, jak sobie tego życzą panowie, wołający o skrócenie czasu służby wojskowej.

To są moje zastrzeżenia i ten projekt, z którym może wystąpię i nad którym radzę zawczasu się zastanowić, będzie szedł w kierunku technicznym, to znaczy w kierunku skrócenia służby wojskowej tylko dla pewnej części wojska, ale czy to zadowoli żądanie powszechności służby wojskowej, to jest kwestja, którą Panowie będziecie musieli wziąć na siebie.

Mówiono o przysposobieniu wojskowem. Naturalnie, że daje ono dużo, bo uwalnia od szkoły rekruckiej, ale też tylko tyle, bo nie jesteśmy pod względem urządzeń przygotowani na to, żeby dać coś więcej. Wszelkie próby, żeby pójść tą drogą dalej, spotkałyby się z wydatkami tak znacznemi, że byłoby to znacznie droższe, niż Panowie chcecie uchwalić w budżecie. Bo jeśli sądzicie, że ideał szwajcarski nie kosztuje, to grubo się mylicie, kosztuje on znacznie drożej, niż przeciętny wydatek na żołnierza gdzieindziej, ponieważ istnieje wtedy mus trzymania całego mnóstwa instruktorów, rozsianych wszędzie, mus trzymania materjału dla kształcenia po magazynach i magazynikach, tak, że nie wiem, czy Panowie odważylibyście się na taki system, na który ja zaraz zażądałbym miljard, aby go wprowadzić w ciągu dobrych kilkunastu lat. Przysposobienie wojskowe jest bardzo pożądane, u nas jest ono oparte dotąd na pracy ochotniczej. Ja zresztą staram się rozszerzyć te próby znacznie dalej ze względu na to, że otrzymuje się materjał przeszkolony w początkowych rzeczach, ale pozatem niewiele z tego korzyści.

Wreszcie jedna rzecz: usunięcia pośredntctwa przy dostawach. Ja opuszczam ręce, mówię to szczerze. Dziwię się, że Panowie tego wymagacie

od wojska, kiedy sami macie z tem ciągle do czynienia i tego rozbić nie możecie. Przecież my jesteśmy państwem „pasków", gdzie pośrednik ma ogromne dochody. Jest to zorganizowana praca i u nas jest ona prawem dla każdego. Boję się, że wojsko nie jest w stanie wyprzedzić pod tym względem wszystkich Panów osobiście. Jeżeli Panowie mówią o małorolnych, albo o włościanach, jak wojsko do nich trafi?

Każdy pułk musiałby mieć swych agentów, którzyby to zbierali. Nie wiem, czy producenci są do tego przyzwyczajeni, czy wojsko da sobie radę z takim procederem. Jeżeli gdziekolwiek takie próby były czynione, ciekaw byłbym takich prób. *(Głos: W Niemczech, w Austrji to było).* Być może. Nie chciałbym zanadto powoływać się na te próby, dlatego, że zazwyczaj przy bliższem zbadaniu okazują się one zawodnemi. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby się to udało, ale bez wypróbowania twierdzić nie można, że to łatwo da się zrobić, że prostym rozkazem da się załatwić.

Streszczam się: najważniejsze wady w naszem wojsku, to miesięczne budżety. *(Głos: Z zarządzenia rządu).* Ja to odziedziczyłem, a z zarządzenia rządu mamy teraz przynajmniej to, że wydatki miesięczne są już na kilka miesięcy jednakowe. Daje to znaczną poprawę.

Druga rzecz, to przeciążenie wojska żywiołami administracyjnemi. Z tem walczę. liczę na to, że przy usilnych staraniach moich i mych podwładnych zdołam zwalić ciężar na Ministerstwo Skarbu, przez pozbycie się oficerów, t. zw. administracyjnych, dla których nie znajduje się praca w wojsku.

Trzecia rzecz: co do służby wojskowej może wystąpić z projektem skrócenia tej służby w sposób zróżniczkowany, przecząc w ten sposób zasadzie powszechnej służby wojskowej, gdyż dotąd wydawało mi się to jednym sposobem, który prowadzi do skrócenia służby przynajmniej dla części wojska.

Czwarta rzecz, to rezerwy zaopatrzenia. Mam swoje duże wątpliwości wobec tego, że dotąd najzupełniej się nie udaje. A chcę więcej nacisku kłaść na uzbrojenie.

# O PRZEWROCIE NA LITWIE I STANOWISKU POLSKI.

(24.XII.1926 r.).

*W dniu 17 grudnia 1926 r. dokonano na Litwie Kowieńskiej wojskowego zamachu stanu. Powodów tego zamachu szukać należy w taktyce dotychczasowych rządów kowieńskich. Jak słusznie podnoszono w prasie polskiej, Litwa „wskutek bezsensownej polityki stawała się coraz bardziej piłką sowiecko-niemiecką, kopaną i łapaną na zmiany przez tych graczy. Jednocześnie z winy ślepej wojowniczości wobec Polski, popadała w trudności gospodarcze, graniczące z katastrofą. W tych warunkach nad samą egzystencją młodej republiki zawisł znak zapytania, powiększany przez destrukcyjną akcję komunistyczną, subsydjowaną i inspirowaną przez Moskwę. Sytuacja zatem w pewnej mierze analogiczna do włoskiej z przed przewrotu faszystowskiego i polskiej z przed maja".*

*Po krótkich walkach, — zwłaszcza w rejonie Marjampol — Wołkowyszki i pod Zieloną Górą, gdzie zgrupowały się wojska wierne dawnemu rządowi, władza przeszła w ręce zamachowców. Prezydent republiki Grinius uznał przewrót i zrzekł*

*się swego stanowiska. W dniu 19 grudnia sejm kowieński wybrał prezydentem Smetonę, leadera konserwatystów litewskich, który w tymże dniu podpisał nominację Antoniego Waldemarasa na premjera nowego rządu.*

*W związku z sytuacją, wytworzoną przez wypadki kowieńskie, Marszałek Piłsudski w dniu 24 grudnia 1926 r. udzielił redaktorowi „Głosu Prawdy" wywiadu na temat stanowiska rządu polskiego wobec przewrotu kowieńskiego.*

*Postawione pytanie brzmiało:*

*„W czasie dokonywującego się na Litwie przewrotu, rozsiewane były różne wersje w sprawie rzekomych zarządzeń, poczynionych w związku z tym przewrotem przez rząd polski. Czy nie zechciałby Pan Marszałek wypowiedzieć się w tej sprawie?"*

*Na pytanie powyższe Marszałek Piłsudski odpowiedział, co następuje:*

Jedyne zarządzenie wydane przezemnie, polegało na możliwie bacznej i wydatnej obserwacji samych wypadków, rozgrywających się w Kownie, jak i naszej z Litwą granicy. Nie będę przeczył, że nerwy administracji i garnizonów pogranicznych były narażone na bardzo silną i wielką próbę, gdyż jak pan wie, stosunek Litwy do Polski stanowi najzupełniejszy wyjątek bodaj w całej Europie, gdy Litwa nie uznaje stanu pokoju między nią a Polską. Kiedy więc rozrywała się tak gruntownie władza centralna w Kownie, na granicy nie istniała wówczas żadna odpowiedzialna władza i każdy swawolnik lub nawet rozbójnik, podniecony stanem wojny, który Litwa w stosunku do nas utrzymuje, mógł spokojnie, w imieniu Litwy, taką

wojnę rozpoczynać. Niema bowiem wątpliwości, że ten nieco przydługi okres wychowania ludzi z pominięciem pokojowego zachowywania się, jaki utrzymywały rządy litewskie względem Polski, dać musi zawsze pewną ilość ludzi, dla których prawa, cechujące stan pokoju wśród cywilizowanych państw, nie istnieją. I chociaż rozumiem całą niemożliwość prowadzenia z nami wojny przez sąsiadujące z nami państwo, gdy zanika kontrola, oraz nie widać ręki odpowiedzialnego, więc ostrożniejszego w obchodzeniu się z zapałkami, wzniecającemi pożar — otwierają się wszelkie możliwości dla części ludzi, wychowanej w niezdrowej atmosferze wewnętrznego pozwalania sobie na wybryki w stosunku do sąsiada, — czynienia tych wybryków na własną rękę. To też, powtarzam, niepokój całego pogranicza wzrastał z dniem każdym, wobec długiego i przewlekłego trwania kryzysu na Litwie.

Osobiście, jako szef rządu, nie pozwoliłem na żadne kroki celem wzmocnienia sił na naszej granicy z Litwą. Kierowałem się przytem głębokiem zaufaniem, jakie wyrobiłem sobie na podstawie własnej obserwacji w stosunku do ludności, zamieszkującej obie strony linji granicznej. Jest to bowiem ludność, która może najwięcej cierpi wskutek tych anormalnych, jakoby wojennych, stosunków, narzuconych jej przez byłe rządy litewskie. Ileż bowiem jest tam cichych tragedji, gdy związki rodzinne są brutalną ręką zrywane, a związki sąsiedzkie, przez wieki uświęcone, niemożliwe do utrzymania. Z prawdziwą też przyjemnością stwierdzić mogę, iż przy moim nakazie niewzbraniania swobodnego przekraczania granicy i na jedną i na drugą stronę, przy ulżeniu surowej,

centralnej ręki z Kowna, po raz pierwszy od kilku lat być może matki mogły uścisnąć swoje dzieci, a przyjaciele uścisnąć sobie ręce.

Obliczenia moje okazały się słusznemi. W przeciągu całego kryzysu, trwającego dość długo, nie mieliśmy ani jednego wypadku granicznego, tak, iż spokój nie był nigdzie zakłócony.

Ograniczyłem się więc — powtarzam — tylko do nakazu zdwojonej baczności i zwiększonej pracy obserwacji. Wszelkie więc plotki i uwagi, takiej czy innej prasy, nie mają żadnych podstaw.

— *Czy Pan Marszałek uważa, że na Litwie nastąpiła już stabilizacja stanu rzeczy, wytworzonego przez przewrót?*

— Zadaje mi Pan pytanie nadzwyczajnie trudne do rozstrzygnięcia. Rząd polski, więcej niż przed miesiącem, miał ścisłe informacje, że Litwa ma wejść w okres, gdy nabrzmiałe problematy będą rozstrzygane siłą. Już z enuncjacji i z wynurzeń, które obecnie są publikowane, daje się spostrzegać fakt, iż odbywały się w tym kraju jakgdyby wyścigi między różnemi ugrupowaniami w próbach dokonywania przewrotu. I sam ten fakt musi niekiedy wzbudzać wątpliwości, co do szybkiego załatwienia wszystkich spraw, wzbudzających taki właśnie stan rzeczy w tym kraju. Dodam, że przecież poprzedni rząd opierał się na większości sejmu, dość świeżo wybranego i zebranego w Kownie.

Gdy zestawimy wszystkie te fakty, wydawać się może, iż obecna sytuacja wygląda jak prowizorjum. Nieraz jednak właśnie prowizorja są najbardziej trwałemi urządzeniami.

Czy rząd pana Waldemarasa będzie tym szczę-

śliwem prowizorjum na Litwie, zależeć to będzie — zdaniem mojem — głównie nie od czego innego, jak od tego, czy zdoła on oswobodzić się od nieco zbyt niepowściągliwych orzeczeń, określeń i formuł, tak dobrze znanych i nam i całemu światu, a które stanowiły niejednokrotnie powód do zniechęcenia, jakie ciężko odczuwać musiała na sobie Litwa w stosunkach wzajemnych narodów i państw.

Co do mnie, życzyłbym bardzo tej powściągliwości i rozsądku każdemu rządowi litewskiemu, a więc i rządowi p. Waldemarasa. Nie widzę jednak w tej chwili żadnych podstaw do obawy, abyśmy mieli zakłócone święta z powodu naszego niespokojnego sąsiada, który z taką łatwością wypowiadał słowo „wojna", a z taką trudnością wykształcał słowo — „pokój".

## O KULTURZE FIZYCZNEJ NARODU.

(15.II.1927 r.)

*W dniu 15 lutego 1927 r. o godz. 12-ej w sali konferencyjnej Ministerstwa Spraw Wojskowych odbyło się inauguracyjne posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego. Obradom, nacechowanym głęboką i szczerą troską o rozwój wychowania fizycznego tak w wojsku i w szkolnictwie, jak i w całem społeczeństwie, przewodniczył Marszałek Piłsudski, jako minister spraw wojskowych, w obecności ministra spraw wewnętrznych gen. Sławoj-Składkowskiego i ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego — Dobruckiego.*

*Marszałek Piłsudski, otwierając posiedzenie, wygłosił przemówienie, które według relacji „Głosu Prawdy" miało brzmienie następujące:*

W imieniu rządu mam zaszczyt przewodniczyć pierwszemu posiedzeniu Rady Naukowej Wychowania Fizycznego.

W tem zagajeniu nie będę Panom mówił, ani też starał się przekonywać o ważności wychowania fizycznego, ani też o takich czy innych związanych z tem czynnościach. Chcę tylko wyjaśnić jedną specjalną rzecz, z powodu której Panie i Panowie zostaliście tu zebrani. Mianowicie wtedy, kiedy

w rządzie zainteresowano się sprawami, związanemi z wychowaniem fizycznem, sądziłem, że znajdę pod względem regulacji tej sprawy puste miejsce.

Z tego też powodu, gdy przyszły pierwsze uchwały Rady Ministrów w tej sprawie, musiałem się wkrótce przekonać, że tego pustego miejsca niema, że istniały zarządzenia i ustawy, związane już dawniej z wychowaniem fizycznem, z którem jednak, dla jakiegoś powodu, o którym będę mówił, czyniło się tak, że człowiek, stojący poza rządem, nawet o nich nie wiedział.

Szczytną i wielce trudną funkcją rządu jest regulowanie wysiłków ludzkich, skierowanych w pewnym kierunku, danie im pomocy i zarządzenia w celu określenia stopnia tej pomocy. Poprzednie zaś ustawy regulowały same siebie. Poprzednie ustawy szły w kierunku regulacji wysiłków samego rządu, nie czego innego. Dlatego też nie dało się spostrzec, ażeby wysiłki samego rządu dokonały tyle, by je można było spostrzec w dziedzinie wychowania fizycznego, albo też w całej pracy, z tem związanej.

Gdy przejrzałem skład osobowy wszystkich rad, których wysiłki były zużyte dla podniesienia wychowania fizycznego, z pewnem przerażeniem spostrzegłem, mimo, iż żadnemu z ich członków nie jestem w stanie odmówić szacunku, że w ogromnej ilości, w olbrzymiej większości są to ludzie, którzy nigdy wychowaniem fizycznem się nie zajmują ani w stosunku do siebie, ani w stosunku do kogokolwiek i dlatego jestem pewien, że te rady nigdy wychowania fizycznego nie poruszą i nigdy nic w tej sprawie nie zrobią, oprócz pobierania djet przez zjazdy.

Stanowisko rządu, który tu reprezentuję, jest inne. Sięgamy do ludzi, którzy interesują się bezpośrednio tym czy innym przedmiotem pracy ludzkiej, tym czy innym materjałem, który jest z tą pracą związany. Sięgamy do ludzi, chcąc, by oni sami pracowali, pozostawiając rządowi tylko to, co jest związane — jak powiadam — z funkcją rządu, o której mówiłem, a mianowicie regulacją wysiłków ludzkich, zorganizowaniem ich, o ile sobie przeczą, gdyż to się najczęściej zdarza...

Nie bierzemy więc na siebie więcej pracy, związanej z wychowaniem fizycznem, albowiem jeżeli tamte rady nie zajmowały się same tem wychowaniem, to to samo muszę powiedzieć, że nikt z nas się tem nie zajmował i nikt nie chce mieć pretensji, ażeby być w tej sprawie autorytetem. Dlatego też praca nasza wiąże tylko trzy funkcje, które to wychowanie fizyczne reguluje. Na czele został postawiony minister spraw wojskowych. Obok, jak widać, są przedstawiciele innych działów: ministerstwa oświaty i spraw wewnętrznych.

Jeżeli postawiliśmy na czele ministerstwo spraw wojskowych, to nie dla innej, jak dla tej przyczyny, że niema szerszej pracy wychowania fizycznego, jak w wojsku, które uczy pomiędzy innemi opanowania organizmu, by służył on pracy fizycznej poszczególnego żołnierza.

Jest to bodaj najszersza i najdalej posunięta praca nad wychowaniem fizycznem człowieka. Wychowanie fizyczne bowiem nie może mieć innego celu, jak używanie swego organizmu, swej fizycznej konstrukcji dla celów wyżej wskazanych. Dlatego też wojsko, które najsilniej to czyni już przez samo swoje zadanie, które przerabia człowieka niezręcznego na zręcznego, na czło-

wieka, używającego swego organizmu dla takich czy innych celów, jest najważniejszym terenem wychowania fizycznego w Polsce, jak i na całym świecie.

Obok widzimy ministra oświaty, który musi mieć do czynienia z wychowaniem fizycznem młodego pokolenia, którego wychowanie fizyczne, jak Państwo wiecie, jest dość spóźnione u nas, w porównaniu z innemi krajami. Ministerstwo spraw wewnętrznych zaś ma do czynienia ze wszystkiemi stowarzyszeniami takiego czy innego gatunku, takiej czy innej miary, mającemi te czy inne cele i ministerstwo to z musu regulować musi życie tych stowarzyszeń.

Dlatego też te trzy ministerstwa zostały złączone w jedno dla pomocy wychowaniu fizycznemu.

Jeszcze raz powtarzam, że zwracamy się, jak to już głosi nasza ustawa, w samej pracy nie do instytucyj rządowych, lecz do tych, którzy wzięli jako część swojej pracy życiowej nie co innego, jak wychowanie fizyczne, jak sport i staramy się pomóc. Sam zaś rząd, czy w postaci władz centralnych, czy w postaci władz wojewódzkich, powinien dążyć do tego, ażeby te sprawy uregulować i nieść pomoc tam, gdzie to wychowanie fizyczne doznaje przeszkód.

Inną jest rzeczą, gdy będziemy mówili o wychowniu fizycznem w szkole. Tam jest mus pracy rządowej, która właściwie jest skierowana w inną dziedzinę, szuka bowiem wychowania umysłowego, wychowania dzieci — powiedzmy moralnego — i gdzie wychowanie fizyczne wchodzi, jako część całej funkcji pracy nad umysłem i nad ciałem tych biednych dzieci. Ja oświadczam otwarcie, jako wielki przyjaciel dzieci, a nie starszego

pokolenia, że współczuję mocno dzieciom, iż ich w ten sposób traktują, jak to dotąd jest praktykowane w szkołach. Dlatego w wychowaniu fizycznem chętnie będę współczuł dzieciom, które w dusznej atmosferze szkolnej muszą z konieczności wyprostowywać swoje biedne nóżki, chociażby zrobiwszy rzeczy, nie zawsze dopuszczalne w szkole.

Teraz o samej Radzie Naukowej. Powstała ona u nas nie dla rozstrzygania kwestyj, związanych z realizacją wysiłków ludzkich w kierunku wychowania fizycznego. Rada Naukowa jest, że tak powiem, organem pomocniczym rządu. Nie chcę zmuszać panów do podziwiania naszej skromności rządowej, która nie ma pretensji do tego, aby reprezentować naukę w tej sprawie.

Jeżeli chcemy być sumienni, musimy zasięgnąć opinji tego stanu naukowego, który u nas w Polsce pod tym względem istnieje, a również i zgromadzonego doświadczenia. Nie chcę pod tym względem wbijać Panów w ambicję, gdyż wiem, że stan naukowy w tej sprawie jest względnie niski, względnie daleko nie sięga, a zatem niema mowy o tem, ażeby w Polsce był nadzwyczajnie wysoki postęp. Idzie mi o to, że chcę z tym stanem naukowym, jaki istnieje — z tym stanem doświadczenia, czy to w dziedzinie sportu, czy też w pracy nad siłą naszego organizmu, nietylko się liczyć, ale powołujemy go także do dania nam rady w tych sprawach, które przez nas będą traktowane. Inicjatywa z waszej strony jest najzupełniej zastrzeżona. Witając więc Panie i Panów, proszę dać nam z jednej strony tę niewielką ilość czasu — a z drugiej te wielkie wysiłki, które chcemy zużyć dla postępu w wychowaniu fizycznem i o które do was zwracać się będziemy.

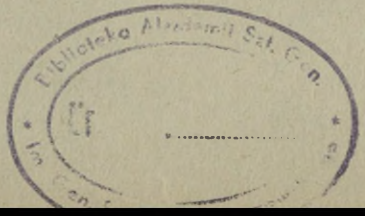
## PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADJO PODCZAS ZJAZDU OFICERÓW REZERWY W KRAKOWIE.

(18.VI.1927 r.).

*W dniu 18 czerwca r. 1927 odbył się w Krakowie uroczysty zjazd oficerów rezerwy Rzeczypospolitej Polskiej. Do zebranych oficerów przemówił Marszałek Piłsudski przez radjo. Przemówienie to brzmiało, jak następuje:*

Szanowni Panowie! Przemawiając do Was, czuję się dziwnie, bo nie jestem przyzwyczajonym przemawiać do maszyn, a nie do ludzi. Zebraliście się Panowie w Krakowie, jako oficerowie rezerwy, którzy i w pracy w wojsku i w pracy cywilnej mają tej pracy dużo i odczuwają to zarówno w surdutowej, jak i w krawatowej waszej pracy codziennej.

Odczuwam to żywo, bo sam jestem zmuszony do takiej pracy. Jak wiecie dobrze, pomiędzy stanem cywilnym, a stanem wojskowym wszędzie i zawsze jest jakiś rozdźwięk i wzajemna niechęć. Życie samo daje te sprzeczności. Wymaga się od nas, abyśmy, amfibjowy stan wiodąc, po polach skakali, jak sarny, a po morzach się uganiali, jak szczupaki, za zdobyczą. Te sprzeczne wymagania życia wymagają dwu czynności, tak wzajemnie z sobą sprzecz-



nych, co zmusza nas do tego, byśmy te dwa stany, wojskowy i cywilny, ciągle pomiędzy sobą godzili. Co do mnie, jako Prezes Rady Ministrów, stale pracuję nad tem, aby wzajemny szacunek pomiędzy stanem wojskowym i cywilnym istniał, jako zasada pracy polskiej. Chciałbym w tej chwili prosić Was jak najusilniej, byście mi w pracy tej dopomogli. Polska ma dziwny grzech myśli, ciążący na niej. Wojsko jest u nas czemś obcem, czemś nieznanem, jakgdyby niepotrzebnem. Wojsko jest to jakgdyby niepotrzebna prawda życiowa. Grzech ten jeszcze długo ciążyć będzie na Polsce. Tem większe są zasługi i usiłowania tych, którzy wojsko kochają, aby tę myśl pogodzić z codziennem życiem. Życzę Wam jak największej i jak najskuteczniejszej pracy. Proszę usilnie i o pamięć o mnie i o tem, byście umieli te dwa zwaśnione obozy pogodzić i aby praca Wasza mogła wydać pomyślne i dla pracy cywilnej i wojskowej rezultaty.

Dowidzenia Panom!

## PRZEMÓWIENIE W KRAKOWIE NA WAWELU.

*(28.VI.1927 r.)*

*W końcu czerwca r. 1927 sprowadzono do kraju prochy Juljusza Słowackiego i złożono je w sarkofagu w podziemiach wawelskich. W związku z tem Marszałek Piłsudski, jako Prezes Rady Ministrów, wygłosił nad trumną, na dziedzińcu wawelskim, przemówienie, które brzmiało dosłownie, jak następuje:*

Gdy przed trumną stoję, mówić muszę o śmierci, o wszechwładnej pani wszystkiego, co żyje. Wszystko, co żyje, umiera, a wszystko co umiera, żyło przedtem. Prawa śmierci są bezwzględne. Są jakgdyby stwierdzić chciały prawdę, że co z prochu powstało, w proch się obraca. Gdy kamień na taflę spokojnej wody rzucamy, powstają kręgi, idące wszerz i zamierające powoli. Tak żyją ludzie, gdy śmierci bramy przepastne przekroczą; kręgi powoli zamierają i nikną, pozostawiając po sobie pustotę, a nawet zapomnienie. Prawa śmierci i prawa życia, związane ze sobą, są bezwzględne i bezlitosne. Żyło ludzi mnóstwo i wszyscy pomarli. Pokolenia za pokoleniami, żyjące codziennem życiem, zwykłem lub niezwykłem, do wieczności przechodzą, pozostawiając po sobie jeno ogólne wspomnienia. Wspomnienia, gdzie imion niema

i niema nazwisk. A jednak prawda życia ludzkiego daje nam i inne zjawiska. Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują między nami. Przed sobą mamy trumnę ze szczątkami człowieka, szczątkami, które świadczą o prawdzie, że proch jesteś i w proch się obrócisz. Słowacki, jak żywa prawda życia, jest między nami. Staje się znajomym coraz szerszym kręgom. Wiemy o nim tyle, jak o żadnym ze swoich znajomych. Wiemy i o tem, czego nawet o braciach nie wiemy. Jest z tego powodu naszym żywym znajomym. Znamy drobnostki jego życia, anegdoty o nim, ba, jak sam pisze poeta, list do ekonoma lub wieczne przymierze z Wandzią czy Marylką są nam znane i znajome. Są skądś wyciągnięte i rzucone przed oczy. Śmierci prawa są w ten sposób przezwyciężone. Jest nam żywym znajomym i żywa znajomość Słowackiego staje się coraz powszechniejsza i coraz szersza, tak, że ma znajomych więcej, niż miał ich za życia. Gdy wezmę odwrotnie i policzę kilkanaście miljonów Polaków, wśród których żył Słowacki, co z nich pozostało? Nie mają ani imienia, ani nazwiska, gdyż kilka zaledwie osób z ówczesnego pokolenia staje nam jako żywsze istoty, jako ci, którzy żyją, którzy nie umierają i nie nikną. Żył sto lat zaledwie temu, zaledwie trzy pokolenia wymarły lub wymierają, a jednak gdy policzymy ludzi, o których cośkolwiek wiemy, to jest ich tak mało, a gdy mówimy o Słowackim, to spotykamy się z nim codziennie i z nim obcujemy. Powtarzamy jego słowa, jakgdyby był żywą istotą, powtarzamy wrażenia, które przeżywał, jeżdżąc po świecie. Wiemy, co mu się podobało, a co nie pozostawiło na nim żadnej impresji. Jest więc żywy i żyje

wśród nas i prawda śmierci okrutna, prawda śmierci potężna, nie istnieje dla niego. Powiecie może, że to metafora, że to nie jest słuszne, a jednak ta żywa prawda istnienia człowieka bez względu na to, co kto o niej mówi, jest żywą, prawdziwą i realną. Słowacki żyje dlatego, że umrzeć nie może. Zda się, jakgdyby bramy śmierci przepastne za nim zamknęły się nieszczelnie. Dla niektórych ludzi zostają one otwarte, tak, że życie i śmierć się nie rozdzielą. Zda się, że są ludzie, którzy żyć muszą dłużej, których życie trwa nie latami, a wiekami, wbrew prawdzie przyrodzenia ludzkiego. I gdy teraz szczątki Słowackiego wprowadzamy do grobowców królewskich, wiemy, że przedłużamy mu życie dalej jeszcze i że żyć będzie tak długo, aż murów Wawelu nie naruszy czas zniszczeniem, a skała, która nad Wisłą samotna tu stoi, nie ulegnie śmierci. Dajemy mu w ten sposób dłuższe życie, dłuższą prawdę bytowania, które zostają pomiędzy ludźmi. Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę szkielety, co o Stwórcy świadczą, twierdzę, że są szkielety żywe, przejrzyste, świeże i młode, tak, że płakać po nich nie umiałby nikt szczerze. Nie płaczmy też po Słowackim. Gdy idzie trumna jego przez całą Polskę, witają go ludzie, nie zaś żegnają, tak, jakgdyby był żywym człowiekiem, i żałobne dzwony nie żałobnie biją, lecz biją radością i triumfem. Nikt z nas nie potrafiłby zapłakać nad zmarłym. Twierdzę raz jeszcze, że bramy przepastne śmierci dla niektórych ludzi nie istnieją. Świadczą o prawdzie wielkości takiej, że prawa wielkości są inne, niż prawa małości. Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę przeszłości gościńce, po których kroczy ludzkość i po których teraz stąpa historja,

to widzę umoszczone twarde drogi, które ludzie, pokoleniami idąc w życie i pokoleniami umierając, mościli życiem swojem, tak, jak i śmiercią. Pokolenia, które zostawiły ślady, szkieletami i pracą codzienną i codziennem odpoczywaniem, mościły gościńce trwałe i wieczne. Lecz wszędzie, gdzie gościńce mają skręty, wszędzie, gdzie załomy drogi, gdzie ludzi wahania i gdzie ludzi małych trwoga, stoją na załomach, jak drogowskazy, olbrzymie głazy, świadczące o wielkiej prawdzie bytowania. Stoją olbrzymie głazy samotne, lecz z nazwiskami, gdy ludzie giną bezimiennie. Na naszym gościńcu historycznym, gdzie pokolenia za pokoleniami idące mościły drogi i życiem i śmiercią, czasy Słowackiego były załamaniem, były prawdą historyczną ciemności niewoli i bezsiły. Słowackiego wielkość sięga 100 lat, gdy na ziemiach polskich przedostatnie powstanie 1830 roku skasowało jedną prawdę życia historycznego, skasowało wojsko. Wojsko, ta prawda siły, ramienia, co broni i chroni, co życie dając, życie innym otwiera, co krwią, jak cementem, mości prawdę historji i trwania narodu, znikło w roku 1830. Wtedy zapanowało wahanie na tym skręcie drogi, danym nam przez los. W trosce prawdy siły ramienia, w trosce prawdy nadziei, że ramię się wzmocni, znikły i upadły. I mamy zaraz próby, by miecze, co w podziemiach zasnęły lub tylko echem grają, zastąpić inną siłą, siłą ducha. Gdy miecze się krzyżują, skry padają. Starano się wykrzesać prawdy duszy, tak silne i mocne, że w pracy skry padały także. Starano się zastąpić prawdy proste, siłę miecza prawdą siły ducha, — tak, by wzmocniwszy ducha, móc trwać w niewoli i móc uzyskać siły, gdy tych sił będzie trzeba. Była to dziwna praca ówczesnego pokole-

nia, gdy ręce ludziom mdlały i gdy bojaźń tej prawdy ludzi nikczemniła i ludzi do rozpaczy doprowadzała; starano się zamienić prostą prawdę miecza siłą ducha, który się męczył w trwodze, że sile miecza nie dorówna. Poszły w niebo harfy, gdy miecze pod ziemię się chowały, niszczejąc i rdzewiejąc. Gdy przed Słowackim, jedną z harf szczerozłotych, stoję, gdy warstwy mąk jego i pracy jego przeliczę, znajdę w tej harfie jedną strunę, co zawsze brzęczała, znajdę prawa dumy i prawa rozkoszy cierpienia dla dumy, dla godności ludzkiej. Szarpany niemocą ciała, szarpany niemocą prawd, które wyznawać rozum mu kazał, szukał w rozpaczy dumy siły, targającej wnętrzności swoje i Ojczyzny swojej. Znajdziecie brzęczące struny dumy i struny godności ludzkiej na każdym kroku. Szedł, pracując, szedł, myśląc, że duma stargana i sponiewierana wyda nie jęk rozpaczy, lecz siłę olbrzyma. Pracował, jak i inni, myślał o możności, aby duch ludzki mógł zastąpić siłę ciała. I nieraz potwornie się męcząc, wątpił, jak i inni. „Godności nie mam, od męki uciekłem". Tak mówi o sobie, męcząc się potwornie, i nie mógł wydobyć siły skończenia męczarni śmiercią. Stargana duma i sponiewierana, w błoto człowiek zdeptany, harde prawa godności człowieka, dumę nie w siłę miecza, lecz w siłę ducha przerabiały. On z kraju był nie dumnych helotów i dumy tej pragnął, by była siłą, by siłę dała, by wartość mocy, potęgę Polski mieć mogła. Gdy niegdyś jednego z większych, co ostatnie prowadzili bunty i powstania, pytałem, który z wieszczów najwięcej wpłynął, najwięcej działał, gdy miecze na naszej ziemi zadzwoniły, stwierdzał mi zawsze, że naszym poetą jest Słowacki.

Miłość Ojczyzny, oto słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umrą ich duchy, lecąc przed narodem.

Gdy teraz, patrząc na trumnę, wiem, tak, jak wszyscy zebrani, że Słowacki idzie, to wiem, że idzie tam, gdzie głazy na naszym gościńcu stoją, świadcząc nieledwie chronologicznie przez imiona o naszej przeszłości. Idzie między Władysławy i Zygmunty, idzie między Jany i Bolesławy. Idzie nie z imieniem, lecz z nazwiskiem, świadcząc także o wielkości pracy i wielkości ducha Polski. Idzie, by przedłużyć swe życie, by być nietylko z naszem pokoleniem, lecz i z tymi, którzy nadejdą. Idzie, jako Król Duch.

*Po zakończeniu przemówienia, Marszałek Piłsudski zwrócił się do otaczających nosze z trumną oficerów z następującemi słowami:*

„W imieniu rządu Rzeczypospolitej polecam Panom odnieść trumnę do krypty królewskiej, by królom był równy".

## PRZEMÓWIENIE W WILNIE.

*(2.VII.1927 r.)*

*W pierwszych dniach lipca r. 1927 odbyła się w Wilnie uroczysta koronacja cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. W uroczystościach tych wzięli udział Prezydent Rzeczypospolitej, Marszałek Józef Piłsudski, ministrowie, korpus dyplomatyczny, przedstawiciele duchowieństwa, władz administracyjnych, prasy i niezliczone tłumy wiernych. Po koronacji i uroczystych nabożeństwach na placu Łukiskim, w Katedrze i w kościele św. Jakóba, odbył się o godzinie 3 popołudniu w kasynie oficerskiem bankiet, wydany przez księdza arcybiskupa wileńskiego. W czasie bankietu Marszałek Piłsudski wygłosił następujące przemówienie:*

„Gdy mamy tu tak wielką uroczystość kościelną, trudno nie wspomnieć o głowie Kościoła. Jeżeli my nie mamy żadnych tak wielkich praw i przywilejów, abyśmy mogli żądać dla siebie specjalnych uprawnień przy pełnieniu obowiązków tak wysokich, jakie pełni Jego Świętobliwość, to mamy jednak możliwość udać się do tego sentymentu, który niechybnie żywi ku naszemu narodowi, ku naszemu państwu. Złączeni bowiem jesteśmy z Jego

Świętobliwością pierwszemi poczynaniami życia naszego państwowego.

Gdy Jego Świętobliwość, jako ksiądz Ratti, był u nas nuncjuszem apostolskim, z jego przeżyć ówczesnych wspólnych nie mogliśmy nie wynieść głębokiego przekonania, że możemy być zawsze pewni jego uczuć i sentymentu w stosunku do nas. Jeżeli dzisiaj ta uroczystość tak głęboko porusza serca miejscowe, serca Wilna, które do Obrazu Ostrobramskiego żywią tak głęboką miłość i głęboki szacunek, to zawdzięczamy to także Jego Świętobliwości, który jeszcze w dawniejszych czasach obiecał mi, że specjalnie dla Wilna spodziewa się znaleźć chwilę czasu dla osobistej pracy. Chcę zaznaczyć, że Polska nietylko ma serdecznego przyjaciela, ale i że serce to umie być okazanem. Dlatego też pozwoli p. Prezydent, że w imieniu rządu, który tu reprezentuję, wzniosę toast na cześć Jego Świętobliwości Piusa XI".

## PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W KALISZU.

*(7.VIII.1927 r.)*

*W sierpniu r. 1927, w trzynastą rocznicę wymarszu kompanji kadrowej z Krakowa, odbył się w Kaliszu walny zjazd Legjonistów. Marszałek Piłsudski wziął w tym zjeździe osobisty udział, wygłaszając w świetlicy 29 pułku strzelców Kaniowskich następujące przemówienie :*

Kochani Koledzy i Towarzysze broni! Zwyczajem naszym legjonowym jest, że rok rocznie zbieramy się z ważnej przyczyny, a zarazem zwyczajem jest, że jako były wasz Komendant, były wyobraziciel waszej pracy, muszę przemawiać. Ciężary są podzielone. Wy macie owacje, a ja mam pracę mówienia. Dziś, kiedy myślałem, o czem mam mówić, przebiegłem pamięcią wszystko, com dotąd mówił na wszystkich zjazdach i co przemyślałem poprzednio.

Przemawiam w 13-tą rocznicę wymarszu z Krakowa, w 13-tą rocznicę naszych urodzin. Jesteśmy już prawie podlotkami i mamy prawo mieć pamięć przeżyć, gromadzonych przez tak długie lata. Gdy myślałem nad temi przeżyciami, doszedłem do wniosku, żem niedostatecznie jeszcze w swych

przemówieniach legjonowych podkreślił jedną wielką prawdę naszego istnienia i naszej pracy, wielką pracę naszego życia. Niema już żadnej wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, a mianowicie: w 1914 r., kiedy na świecie wybuchła wojna i kiedy ludzie szli przelewać strumieniami i potokami krew dla takich czy innych celów, — między temi celami nie było celu polskiego. Nikt o Polskę, jako o Polskę, krwi przelewać nie chciał i nie dążył do tego w swych celach politycznych, aby dla Polski cokolwiek bądź stało się innego, prócz tego, co było i przed wojną. My, jako legjoniści, zrobiliśmy wstęp do możliwości przelania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garścią ludzi, tem się różniąc od wszystkich innych, że ten niewielki strumień krwi, któryśmy mogli przelać, chcieliśmy dać dla Polski. Nie dla kogo innego, a jedynie dla Polski. To nasza palma pierwszeństwa w pracy dla Ojczyzny naszej.

Mieliśmy więc tę palmę pierwszeństwa. Staraliśmy się pokazać naszym rodakom, że jest rzeczą rozumną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa jest naszą cechą historyczną.

Nieraz w poprzednich odczytach starałem się wyjaśnić, jakie są skutki pierwszeństwa. Jak trudno jest przebywać drogę nową i jak trudno jest zrobić rzecz nową. Z okazji tej palmy pierwszeństwa jednak spotkaliśmy natychmiast zjawiska specjalne, które spokojnie nazwę agenturami obcemi. Z natury rzeczy, jako były Naczelny Wódz, który prowadził wojnę, wiem, co znaczy agentura i wiem, jaki jest mechanizm jej pracy. Z natury rzeczy z taką pracą musiałem się zetknąć. Czy to

jako z obserwacją, czy też jako z próbą skłonienia do takich czy innych zmian, któreby były potrzebne dla interesów armji i celów politycznych tego czy innego państwa. Nie dziwię się więc wcale, że do was agentury się przyczepiły i że szliśmy krok w krok, mając obok siebie płatne agentury obcych państw, robiące na naszych plecach interesy.

Mieliśmy naturalnie agenturę obcą jednego z państw zaborczych, a wobec tego, że praca nasza, gdyśmy szli przelewać krew za Polskę, nie mogła nie przeczyć w różnym stopniu interesom państw zaborczych, które chciały, aby przelewana krew była tylko za nie, agentury musiały działać sprzecznie z naszemi dążeniami. Musiały szukać sposobów, aby nas przemocą zatrzymać i usunąć od wielkości, dlatego jedynie, aby wielkość krwi, przelanej za Polskę, nie była zawielką dla interesów zaborczych. Stąd płynie to ciągłe szukanie ze strony zaborcy i ze strony jego agentury sposobów odebrania nam tych cech, któreby nas charakteryzowały, jako przelewających krew jedynie za Polskę, a nie za co innego.

Wobec tego, że liczba nasza, jako przełamujących drogi, była względnie mała, że zatem ogół naszych rodaków nie szedł za nami w pracy, praca agentury była ułatwiona. Starano się nas zapaskudzić, odebrać nam bohaterstwo. Porównuję to do działania muchy, która, jak wiadomo, pstrzy czarnemi i brunatnemi kolory. Robiono czarne i żółte plamy na naszych mundurach. Przypominam sobie usilne starania, czynione w stosunku do nas, czy to abyśmy wyglądali jak landszturmiści, otoczeni czarno-żółtą opaską, czy to zrobienia nam tej, czy innej przykrości, w walce o nasze sztandary, czy podporządkowania nas austrjackiemu mundurowi.

Oto są prace agentur austrjackich, idących obok nas i starających się nas stale obniżyć. W parze z tą szła agentura inna, agentura rosyjska, t. j. tego państwa, z którem austrjacy i my walczyliśmy. Szła w tym samym kierunku, także płatna i świadoma swej pracy, również pracująca nad obniżeniem naszej pracy, zapaskudzająca nas czy słowem, czy określeniem, czy czemkolwiek, abyśmy dla naszych rodaków nie byli pociągającymi, nie byli wzorem.

Jeżeli wezmę przeżycia moje, jako waszego dowódcy, zmuszonego nieraz pertraktować z dowódcami i targować się o wasze wygody, o wasze życie i wszystko, co się tyczyło codziennego życia wojennego, czy to z tymi, czy innymi panami, czy też sztabami, zupełnie pewnie stwierdzam, że najbardziej ze zrozumieniem naszej sytuacji odnosili się do nas ci, którzy nigdy polskiego słowa nie umieli wymówić, to znaczy, że najwygodniej było z dowódcami korpusów, czy dywizyj, którzy nie słyszeli polskiego języka, którzy mieli narzecza węgierskie, rumuńskie, narzecza niemieckie, jako stały język codzienny. Tam nam było najlepiej. Tam najprędzej spotykałem ludzi, którzy weszli w naszą sytuację, najwięcej udzielali rad, najwięcej obrony.

Proszę państwa, to jest zjawisko stałe i codzienne, towarzyszące nam rok za rokiem, dzień za dniem, jest to część naszego życia tak wielka i tak starannie w stosunku do nas ułożona, iż nasza praca jest współbieżna z pracą agentur obcych.

* *
*

Przy tej palmie pierwszeństwa, którą my, w stosunku do prawa przelewania krwi tylko za Polskę, a nie za co innego, mamy, to znajdę zaraz i inną cechę, która bardzo nieśmiało i bardzo powoli zaczyna nam sekundować. Jest to prawdą Polski, którą spotykało się po wsiach, czy po dworach, czy w miasteczkach, gdyż mieliśmy to szczęście w porównaniu z legjonami innemi w naszej historji, że walczyliśmy na własnej naszej ziemi, a ani razu za granicę Rzeczypospolitej nie wyszliśmy. Mieliśmy więc stale otoczenie to, które i teraz w Polsce istnieje, tę samą polską ludność. Jeżeli przypominam sobie swe wrażenia w ciągłych marszach i przemarszach przez najróżniejsze części Polski, jeżeli zestawię swoje wrażenia od roku 1914—1916, kiedy nasze marsze się skończyły, to znajdę zawsze rosnącą, zawsze narastającą prawdę, że coraz mniej byliśmy obcy dla swoich, coraz więcej zyskiwaliśmy sympatji i coraz więcej humoru. Szło to tak powoli, że ręczę, iż niejeden z Was w nocy z tej przyczyny cichą łzę przelewał. Nazywano Was żołnierzami bez Ojczyzny, trawestując prawdę Żeromskiego o dawnych legjonistach, których nazywał żołnierzami-tułaczami. I gdy sobie przypomnę rozumowania, z któremi się spotykałem, narastające szepty, podawane naszym uszom, to znajdę zawsze skromność polską, która bała się wszystkiego prócz łzy, prócz cichego rozczulenia z powodu spotkania się z obrazkiem, który się znało, na który się patrzyło, zakrywając książeczkę ze strachu. Mundury, specjalnie rabat ułański, wysokie czako, to było to, o czem się śniło, o czem się bardzo szeptało.

Jeżeli przebiegnę te dwa lata, koniec roku 1914, 1915 i 1916 (ostatnie legjonowe boje na Wołyniu),

znajdę wzrastającą tę prawdę bardzo powoli, otaczającą nas niby nimbem bohaterstwa, nimbem szaleństwa, piękności jakiejś, nad którą łzy wylewać trzeba, że widzieć ją jeszcze można.

Mamy więc dwa towarzyszące nam zjawiska.

Idziemy, mając palmę pierwszeństwa przelanej krwi za Polskę, jedynie jako odludki i nieco upstrzeni ludzie. Obok zaś widzimy wzrastającą, sentymentalną, lecz bardzo bezsilną prawdę bohaterstwa, nieco nierozumianego.

Te dwa lata przeżyć najciężej wspominam. Agentura obca i płatna, szukająca obniżenia naszej pracy i z drugiej strony bardzo niejasne i bardzo nieliczne dowody współczucia dla naszej pracy. Jeżeli Panowie wezmą następne czasy, będzie to okres nagłego wyrastania sprawy polskiej, w którym po raz pierwszy zaczynają się sprawą polską zajmować. Dzieje się to dlatego, że państwa, które rzuciły w grę miljony istnień i miljardy złota na szalę wypadków, zatrzymały się w jakiejś dziwnej równowadze sił, bez możliwości wyjścia poza tę równowagę. Jest to koniec roku 1916—17.

Idą lata, gdy zwycięstwo się chwieje, gdy wrażenie ogólne nie daje światu pewności szybkiego zwycięstwa jednej ze stron walczących. Rozpoczyna się poszukiwanie jakiegokolwiek ciężarka, któryby, rzucony na szalę, zaczął przechylać ją na tę, czy inną stronę. Gdy w gabinetach i w dowództwach zaczynają szukać gwałtownie po dwóch latach pracy wojennej, gdy wylano już olbrzymie morze krwi i gdy świat podzielono na to, co jest po jednej i po drugiej stronie drutu kolczastego, gdy wciągnięto w grę świat cały — szukać takiego ciężarka, któryby mógł przechylić choć trochę szalę na stronę zwycięstwa.

W poszukiwaniach tych poszukiwano i Polski.

Moi Panowie! Nie dziwię się, że państwa zaborcze tej kwestji nie chciały dotykać. Długo męczono się nad formułami, nad wymyśleniem takiego jakiegoś znaku na ziemi i niebie, żeby Polska była i nie była, żeby można było po najtańszej cenie wykpić się z potrzeby poszukiwania ciężarka.

Jak powiadam m. in. ciężarkami, które wyciągano z lamusu przeszłości, rzucono się do sprawy polskiej. W ten sposób odtąd zaczyna sprawa polska narastać, zaczyna być czemś, co ma cenę, o czem warto mówić, — zaczyna być wartością to, co stanowi Polskę i to, co stanowi polską siłę. Zarazem, moi państwo, zaczyna się nad nami zwycięstwo absolutne agentur. Nie dla czego innego to zwycięstwo agentury nadchodzi, jak dlatego, żeśmy niedostateczne przez te dwa lata zyskali poparcie i siły ze strony naszego otoczenia, tak, że nad nami, jako konkurentami prawdy, bardzo niewiele narastającemi, bardzo łatwo można było przejść do porządku dziennego.

Tedy jednak agentury wszystkich stron, gdy tylko Polska uzyskała wartość, poczuły żer, poczuły możliwość posiadania atutu Polski w swem ręku tak, by każdy, kto płacił, był z nich zadowolony.

Jakże w ręce warjatów oddać losy narodu? Przecież to jest rzeczą niemożliwą.

To jest to pierwsze, jakby hasło, rzucone w naszą pracę. Gdy tylko ważka polska zaczęła przechodzić z rąk do rąk, z papieru na papier, gdy między komendami najrozmaitszych narodów krążyć zaczęły projekty, związane z wartością Polski, gdy w tych projektach zaczęto mówić o możliwości robienia czegoś z Polską, od tej chwili zaczęliśmy

spotykać nie obserwację agentur, ale otwartą walkę z nami.

Twierdzę, że połączeniu wszystkich agentur nie przeszkodziła wzajemna walka mocarstw, które reprezentowały. Ja, proszę państwa, szczęśliwy jestem z posiadania najrozmaitszych papierów, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego, a które krążyły między dowództwami, między państwami. Na podstawie tych dokumentów twierdzę, że od 1916 r. zaczyna się targ o Polskę podwyższać i że szukanie ważek na szalę zwycięstwa zaznacza się w domysłach wielkich mężów stanu i wielkich generałów, dowodzących wojskami stron walczących.

Do naszej palmy pierwszeństwa przyłącza się palma męczeństwa, gdyż niema wątpliwości, że nasza prawda, którąśmy przeciwstawili prawdzie agentur, została pobita. Zostaliśmy w tem starciu z agenturą pobici i święcimy dziś 10-ciolecie Szczypiorny, 10-lecie Magdeburga, 10-lecie tych czy innych wychodków świata i więzień, do których nas rozsyłano, kończąc w ten sposób życie Legjonów.

Są to lata, w których sprawa polska w ten czy inny sposób się wysuwa, staje się przedmiotem rachunku, mylnej czy słusznej kalkulacji, czego przedtem nie czyniono.

Wytłomaczyłem, dlaczego te kalkulacje dokonywano. Z chwilą, gdy wojna weszła w stan równowagi, świat natrafił na polską ważkę, 3-y czy 4-ro lutową, nie wiem, jak ją rachowano, która mogła jednak przechylić szalę na tę czy inną stronę. Spotykamy wówczas świat agentury, idący przeciwko nam całą parą, pstrzący nas w ten czy inny sposób.

Lecz świat agentur odniósł zwycięstwo. Szedł on drogą zupełnie jednolitą, jednostronną, gdyż

nieraz różni zaborcy względem Polski byli jednem i tem samem. Jeżeli trzeba, żeby coś z Polski było, niech to będzie jak najmniej poważne i znaczne.

Panowie! W całym naszym legjonowem przeżyciu mamy palmę męczeństwa i pierwszeństwa, wziętą przez nas w okresie, gdy niki o Polsce nie chciał myśleć. Palma męczeństwa przychodzi wtedy, gdy zaczynają myśleć o Polsce na świecie. Gdy Polska staje się wartością, która ma jakąś cenę. Ja, jako reprezentant ówczesny Legjonów, powędrowałem w świat do niemieckich więzień, a wielu z Was powędrowało do mniej wygodnych ubikacyj, gdyż ja byłem zawsze generałem i nie chciano mi robić zbyt wielkich przykrości, podczas gdy Was czekały gorsze rzeczy, jak Szczypiorna, Benjaminów i t. d.

Mnie tylko całkowicie izolowano od świata, abym nie mógł wywrzeć żadnego wpływu na nikogo. Sprawa Polski tymczasem urastała coraz bardziej, wyrastała, nie powiem, żeby przez nas Polaków, albowiem nie robiliśmy żadnych usiłowań, a przy tych powodziach krwi, które wylano wówczas na świecie, strumyczek krwi polskiej był znikomo mały.

Proszę państwa! Nadchodzi koniec roku 1917 i cały rok 1918. Każdy z was żywo pamięta, jak sprawa szybkiemi podskokami idzie naprzód, ile pod tym względem papieru zapisano wówczas o sprawie Polski we wszystkich gabinetach walczących państw; wiele ułożono projektów, jak robić Polskę tak, żeby jej nie było i ile najróżnorodniejszych dokonano usiłowań, aby tak postąpić. To przekracza rozmiary bibljoteki wcale przyzwoitej.

Pisano i próbowano najrozmaitszych sposobów. Polska zaczyna być modną, zaczyna być kwestją już dokuczliwą, gdyż trzeba koniecznie zajmować wobec niej stanowisko i trzeba to stanowisko koniecznie określić na całym bożym świecie. Polska narasta, jako pewnik, jako coś, co przychodzi, jako coś, co nadejdzie w tej czy w innej postaci i co do życia ma prawo.

Jest to bardzo wygodne, by w pracy tej pomagała temu czy innemu państwu agentura.

Gdy w roku 1918 po przyjeździe z Magdeburga stanąłem do pracy państwowej polskiej i gdy w tym samym mundurze, w którym tu przemawiam, reprezentowałem Polskę, miałem wtedy wgląd w sprawy świata nieco większy, niż poprzednio. I mogę państwa zapewnić, że agentury państw, które się o Polskę targowały i o Polskę układały według własnej woli, miały głos znacznie silniejszy i pewniejszy, niż wszystko, co agenturą nie było.

Gdy w przyszłości historja będzie mieć dostęp do archiwów tajnych poszczególnych państw, bo takie czasy zawsze nadchodzą, kiedy wejrzeć można będzie do aktów każdego z agentów, którego się określa ceną w zależności od gorliwości i skuteczności służby, w spisach tych znajdziecie nazwiska wielu z waszych znajomych. Mówię jako człowiek, który państwem rządzi i jako człowiek, który wie, co to jest cena i jak się za te rzeczy płaci.

Gdy więc legjoniści zostali usunięci jako czynnik za pomocą brutalnego zwycięstwa więzienia, cała sprawa polska trafiła do rąk agentury, złożonej z Polaków, a która pracowała na rzecz

państw różnych, nieraz odrazu na rzecz kilku państw, gdyż to w końcu wojny zaczęło być w modzie. Ten agent był ceniony, który potrafił pracować na rzecz kilku państw. Agenci tacy nawet dotychczas istnieją i stanowią dla mnie jeden z objektów śmiechu. Świat bowiem doszedł już do przekonania, że agenci ci nie mają żadnej wartości.

Tymczasem wojna doprowadziła do tego, że w rozpędzie poszukiwania sposobów osłabienia państw walczących, płacono agentom szalone sumy, zaoszczędzając w ten sposób krew ludzką. Szukano rozkładu wewnętrznego przeciwnika. Znaczenie płatnych agentur jest silne, bo godzą one w najbardziej bolesne miejsce państw walczących. Rzucano dlatego olbrzymiemi sumami na przekupienie ludzi, jakichś dziennikarzy, jakichś panów, którzyby mogli zaszkodzić własnej Ojczyźnie.

Proszę państwa! W dzikim chaosie, w jaki wpadłem po powrocie z Magdeburga, w zamęcie sądów, myśli, zdań, ugrupowań, rozbieżności były tak wielkie i tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów wielkiego talentu, że mogłem z tego chaosu wyprowadzić państwo na jakąś ścieżkę. Skarżymy się teraz na wielką ilość stronnictw. Cóż dopiero mówić o owych czasach, gdy na stronnictwo składało się 4-ch czy 5-ciu ludzi, znajdujących się w jakiejś knajpie. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, doprawdy zwarjowałbym po wysłuchaniu jednego dnia 50-ciu ludzi, przeświadczonych o swej wartości, nie poczuwających się do żadnej siły, a żądających usłuchania ich recept zbawienia Polski,

których sami nie byli pewni, odstępujących łatwo od każdego słowa, za to bardzo zażarcie zwalczających sąsiadów. Wiem, że wśród panów znajdują się tacy, którzy mają do mnie pretensję, że z nimi za mało obcowałem w czasie ostatniego Zjazdu. Osądźcie jednak sytuację człowieka, który przeżył rok 1918, który wtedy po 20 godzin dziennie rozmawiał z ludźmi, z jednym, z dwoma, dziesięcioma, nie mogąc żadnego pogodzić z drugim, nie mając możności postawić jednego obok drugiego dla współpracy.

Ludzi, wyklinających tak łatwo swych współpracowników, odsądzając ich od czci i wiary, tak swobodnie uniemożliwiających kłótliwością pracę. Dosyć było przeżyć koniec 1918 r., aby zbrzydzić sobie rozmowę z Polakami. Ja zaliczam do cudów pracy swojej, że w tak dzikim chaosie wybrnąć mogłem i postawiłem pierwszy krok Polski, jako państwa.

Moja praca z tamtych czasów polegała na usiłowaniu doprowadzenia jakiejś narady z Polakami do końca. Męcząca to była praca. Zniechęciły mnie rozmowy wspólne z 10 Polakami razem, podczas których wytaczano niesłychane argumenty, by zaraz o nich zapomnieć, aby mówić co innego nazajutrz, gdzie wynajdywano cudowne myśli, aby mnie o tem przekonać, że należy powiesić sąsiada. Musiałem wówczas szukać prawdy, że nasze legjonowe bohaterstwo i męczeństwo musiało być osamotnione dlatego, że na bohaterstwo trzeba było za wiele żądać od przeciętnego człowieka; że jednak teraz, gdy Polska jest państwem, może być wynagrodzi za męczeństwo, za bohaterstwo i kojącym plastrem za-

lepi rany, podobnie do innych państw za bohaterstwo zapłaci bohaterom laurem na czoło, wystawiając ich naprzód, jako wzór. Myślałem, że wraz z materjalnem odrodzeniem Polski i dusza polska odradzać się zacznie, wyzbywać się zacznie tchórzostwa i wyzwalać od pracy służenia dla obcych, jako najpewniejszej pracy dla Polaka.

Gdy kończyła się wojna, a Polska rodziła się wraz z kończeniem się wojny, kiedy cały świat pokój wyzyskiwał dla siebie, a myśmy wojnę musieli o dwa lata przeciągnąć poza granice sześciu lat wojowania w Polsce, przyglądałem się bacznie, szukając ustawicznie stwierdzenia lub osłabienia prawdy, którą dotychczas, t. j. do roku 1918 spotykałem, mianowicie, że naród polski jest słaby wewnętrznie, że z trudem zdobywa się na prawdy mocne i silne, samodzielne i dlatego łatwo służy obcym, dlatego nie widzi wstrętu do służby obcemu, a nie dla siebie jedynie, że zatem jest mniej wartościowy w porównaniu z innemi narodami, u których tego nie znajduje.

Przeżycia moje, jako Naczelnika Państwa, w wielu rzeczach odskakują już od przeżyć moich, jako legjonisty. Nie wątpię bowiem, że legjoniści trzymając palmę pierwszeństwa i palmę męczeństwa Polski, znaleźli bardzo wielu współtowarzyszy, współkolegów, bardzo wielu współpracowników, tak, że zaczęli tonąć, nie będąc dość liczni, w masie, która — zgodnie z mojemi oczekiwaniami — wraz z Państwem Polskiem wyrastała. Uczucie ulgi nieraz znalazłem w moich pracach i myślach, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, myśląc o sile państwa w stosunku do zadań, jakie wojna wysuwa: zadań szuka-

nia zwycięstwa. Jeżeli jednak dotknę tu prawdy służenia obcemu, to ta prawda nie zmalała.

Nigdy nie zapomnę wrażeń moich, jako Naczelnika Państwa, gdy nasz hymn narodowy, nasz sztandar narodowy był jakby śmieciuchem, rzuconym w kąt dla sztandarów obcych i dla hymnów. Widziałem starania ustawiczne i stale idące w tym kierunku, aby agentury obce, płatne, były możliwie na górze państwa. Szły one krok w krok obok mnie, jako Naczelnika Państwa, szukając sposobów wytworzenia kilku rządów w Polsce: obok rządów, stojących przy mnie, rządów agentur, stojących poza mną. Widziałem uśmiechy reprezentantów obcych państw przy mnie, gdy patrząc mi w oczy, mogli powiedzieć, że moje zamiary mogą być zniszczone zupełnie przez polskich agentów. Widziałem to, proszę państwa, i nieraz uciekałem ze swemi zamiarami do odległego pokoju, aby ich nie wydać na rozszarpanie obcym. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz — nie będzie on czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw, niż przez moich podwładnych. Nie byłem nigdy pewny, czy taki lub inny mój zamiar polityczny nie będzie natychmiast skontrolowany przez agentury państw obcych z taką siłą i pewnością, że musiałbym się go wyrzec.

Jeżeli więc, panowie, pod względem tej szarej pracy, która niegdyś szła koło nas, koło Legjonistów, jako sentymentalna prawda niemocy i łezki ronionej, poprawiliśmy się znacznie, to nie poprawiliśmy się pod względem siły agentur obcych, idących krok w krok za naszem państwem. Mówię to śmiało, gdyż jest to moja prawda, jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza podczas wojny, prawda, którą śmiało przekazuję historji, jako

prawdę przezemnie zbadaną aż do dna, a odczutą bardziej boleśnie, niż wszystkie inne.

Mogę panom powiedzieć, że system moich kalkulacyj zawsze rozbijał się nie o co innego, jak o tę siłę agentur obcych, płatnych przez obcych dla szkodzenia Polsce, aby nie była zbyt silna, aby nie miała tej siły, jaką mogłaby mieć w tej czy innej chwili. Nieraz myślałem sobie, że tak wstrętnej prawdy żadne państwo nigdy w swojem życiu nie miało i, gdy szukałem porównań historycznych, znajdowałem zawsze momenty upadku Polski, gdy, proszę panów, ludzie dzielili się pomiędzy sobą tylko tem, od kogo pensje się bierze, czy od protektorki Polski — imperatorowej Katarzyny II, czy od przyjaciela Polski — Fryderyka Wielkiego, czy trzeciej konkurentki — Marji Teresy.

Gdy sobie przypomnę jeden fakt, który żywo stanął mi w oczach, gdy oglądałem olbrzymi pałac, zbudowany przez księcia Sułkowskiego, jednego z najlepiej wykształconych i wychowanych magnatów polskich, który mógł, z własnego skarbca łożąc, wybudować sobie olbrzymi pałac z 250 pokojami, zatem sięgający wielkością Watykanu, że magnat ten majątek swój chciał zostawić Komisji Edukacyjnej, a zatem dążył do krzewienia kultury w Polsce, i gdy wezmę fakt, że ten sam książę Sułkowski wymieniony jest w liście pensjonarjuszy Katarzyny II, jako pobierający rocznie 150 dukatów, on, człowiek, który taką sumę mógł przegrać codziennie w karty, t. zn. że czuł się w obowiązku brania pensji od imperatorowej, jako jej sługa i jej pokorny wielbiciel — to powiem państwu, że ten obrazek prześladował mnie ciągle, gdy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem.

Przypomina mi się niekiedy czas początku Legjonów, gdyśmy, chodząc w oberwanej odzieży, chcieli krew przelewać jedynie dla Polski i gdyśmy w najlepszym razie mogli zyskać za to miano warjatów, albo jakichś wypędków od rozumu i honoru. Przypomina mi się czas Legjonów, gdy agentury obce były silniejsze, niż wszelkie prawdy polskie, gdy służbę dla obcych stawiano, jako dowód rozumu stanu i mądrość stanu Polski.

Jeżeli więc my, legjoniści, mając przeżycia historyczne, pełni bohaterstwa, wyszliśmy na przelanie krwi dla Polski tylko, i natychmiast przez agentury wszystkich trzech zaborów zostaliśmy opstrzeni i splamieni tak, aby nasze bohaterstwo wyglądało jak najbrzydziej, jak najwstrętniej, aby naszej krwi, która oszczędna być musiała, nie było zanadto, aby nie była zbyt znaczna i zanadto widoczna, bo to przeczyło interesom wszystkich zaborców — to mogło się tak stać, ponieważ znaleźliśmy tuż, obok siebie, w pierwszej chwili naszego życia obok agentur bezmoc naszej Ojczyzny.

Przez dwa lata pracy naszej idą krok w krok obok siebie te zjawiska. W następnych dwóch latach państwa, umęczone przez wojnę, szukają ciężarka, aby go na szalę wypadków rzucić i wagę, stojącą dotychczas w równowadze, w tę czy inną stronę przechylić. W poszukiwaniu ciężarków, znaleziono także i sprawę polską, i agentury idą natychmiast wszędzie na zwycięstwo nad nami i nad naszą pracą. Zwyciężają one w roku 1917, kładąc nas bezpowrotnie, rzucając nas w więzienia i dając nam w rękę palmę męczeństwa. Gdy Polska się zaczyna, zaczyna się polepszenie stosunków. My, legjoniści, nie jesteśmy wcale jedynymi Polakami, którzy za Polskę krew otwarcie przele-

wali. Idzie za nami całe mnóstwo ludzi, tak, że w tej masie płyniemy i nie możemy brać na siebie przedstawicielstwa tej krwi, którą Polacy na polach bitwy i w szalonych wysiłkach przelali.

Lecz zwycięstwa nad agenturami nie odnieśliśmy wcale. Agentury, jak jakieś przekleństwo, krok w krok, idą dalej.

Moi Panowie, wziąłem za temat tę prawdę rozmyślnie i nie dla czego innego, jak dla postawienia kropki nad „i“ i aby nie było powiedziane, że my musimy menażować prawdy agentury. Polskę, być może, czekają ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

## W SPRAWIE DEKRETÓW PRASOWYCH

(wrzesień — październik 1927 r.).

*W dniu 19 września r. 1927 Sejm na pierwszem posiedzeniu sesji nadzwyczajnej, zwołanej z jego inicjatywy, uchylił zwykłą uchwałą rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej o prawie prasowem i rozpowszechnianiu nieprawdziwych wiadomości. Następnego dnia marszałek Sejmu Rataj zawiadomił Marszałka Piłsudskiego, jako ówczesnego Prezesa Rady Ministrów, o tej uchwale Sejmu. Ze względu na stanowisko, zajęte wobec tych wypadków przez Marszałka Piłsudskiego, należy ustalić, że kwestja ta w ostatnich tygodniach r. 1926 stała się powodem dość gorącej dyskusji w Sejmie, wydawała się bowiem wielu, m. in. także i marszałkowi Ratajowi, sporną i niejasną. Świadczyć o tem może stenogram z posiedzenia Sejmu w dniu 10-ym grudnia 1926 r., który poniżej przytaczamy in extenso:*

*„Przy obalaniu pierwszego dekretu prasowego referent projektu, poseł Lieberman, na wstępie swego przemówienia oświadczył: „...Komisja prawnicza wnosi o uchylenie dekretu, za pomocą ustawy, w formie ustawy, jakkolwiek według noweli konstytucyjnej wystarcza jednostronny akt, jedno-*

*stronna decyzja sejmu", a zwracając się do marszałka sejmu Rataja, dodał: „Dlatego zastrzegam się wyraźnie i stanowczo, że forma, dziś przez kosję prawniczą zaproponowana, nie może stanowić i nie będzie stanowić precedensu na przyszłość i bardzo proszę pana marszałka, żeby także złożył oświadczenie w tym kierunku Wysokiej Izbie według swego przekonania"...*

*W odpowiedzi marszałek Sejmu Rataj oświadczył:*

*„W odpowiedzi na apel, wystosowany do mnie przez pana posła Liebermana, stwierdzam zgodnie z rzeczywistością, że nawet i w tej izbie są zwolennicy dwóch różnych interpretacyj ostatniego ustępu art. 44 Konstytucji. Rozumiem, iż uchylenie dekretu prasowego w drodze ustawy nie będzie stanowiło precedensu co do tego, żeby art. 44 musiał być interpretowany tylko w tym kierunku, iż uchylenie dekretu wymaga ustawy. Uważam, że sprawa ta wymaga jeszcze wyjaśnienia na terenie sejmu"...*

*W odpowiedzi na wspomniane wyżej pismo marszałka Sejmu Rataja Marszałek Piłsudski wysłał w dniu 23 września 1927 r. list o treści następującej:*

Do Pana Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej
w Warszawie.

Odpowiadając na pismo z dnia 20 września r. b. L. 5109, zawiadamiające, że w dniu 19 września 1927 r. Sejm, zgodnie z art. 44 ustęp ostatni Konstytucji, powziął uchwałę, uchylającą na podstawie tego przepisu rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. o prawie praso-

wem oraz rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r., zamieniające niektóre postanowienia ustaw karnych o rozpowszechnianiu nieprawdziwych wiadomości i o zniewagach (Dz. Ust. Rz. P. Nr. 45, poz. 398 i 399) — mam zaszczyt w porozumieniu z p. Ministrem Sprawiedliwości zakomunikować, co następuje:

Powyższa uchwała Sejmu nie ma podstawy konstytucyjnej, w szczególności nie została powzięta zgodnie z art. 44 ustęp ostatni konstytucji, ponieważ przepis ten nie uprawnia Sejmu do uchylania rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej z mocą ustawy w formie uproszczonej, w drodze zwykłej uchwały sejmowej. Sejm może uchylić rozporządzenie, mające moc ustawy, tylko nowym aktem ustawodawczym z zachowaniem postanowień art. 33 Konstytucji tak samo, jak w wypadkach, określających uprawnienia Sejmu w art. 3 ustęp trzeci i w art. 49 ustęp drugi i jak to już w Sejmie w zakresie art. 44 Konstytucji stosowano, wydając ustawę z dnia 15 grudnia 1926 r. (Dz. Ust. Rz. P. Nr. 128, poz. 735).

Nadmieniam również, że uchylenie ustawy uchwałą jest niedopuszczalne i z tego względu, że na podstawie obowiązujących przepisów prawnych uchwały sejmowe nie mogą być ogłaszane w Dziennikach Ustaw Rzeczypospolitej. W tym stanie prawnym rozporządzenia, wymienione na wstępie, nie utraciły mocy obowiązującej.

Prezes Rady Ministrów

(—) *JÓZEF PIŁSUDSKI.*

*W odpowiedzi na list powyższy marszałek Sejmu Rataj wysłał w dniu 27 września 1927 r. do Marszałka Piłsudskiego pismo następujące:*

*Do Pana Prezesa Rady Ministrów, w miejscu*

*Na pismo Pana Prezesa z dnia 23 września 1927 r. Nr. 15383 mam zaszczyt oświadczyć, co następuje:*

*1. a) Ostatnie zdanie art. 5 ustawy z dnia 2 sierpnia 1926 r., zmieniającej i uzupełniającej Konstytucję z dnia 17 marca 1921 r. (Dziennik Ustaw Nr. 44, poz. 267) brzmi: „Rozporządzenia te tracą moc obowiązującą, jeżeli po złożeniu ich sejmowi zostaną przez sejm uchylone".*

*b) Tekst powyższy, zastrzegający wyraźnie prawo uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej sejmowi, nie jest przypadkowy, a pominięcie senatu nie jest przeoczeniem, któreby można uzupełniać drogą interpretacji. Tekst odpowiada intencji ustawodawczej.*

*Stwierdzają to urzędowe sprawozdania stenograficzne z obrad senatu i sejmu. (Sprawozdania stenograficzne ze 135 i 136 posiedzenia senatu i sprawozdania stenograficzne z 299 posiedzenia sejmu).*

*Świadczą one, iż senat, upatrując w brzmieniu art. 5, uchwalonem przez sejm, ograniczenie swych dotychczasowych praw, starał się wprowadzić do tekstu sejmowego poprawki, zastrzegając senatowi udział z eventualnem uchyleniem rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej. (Poprawka sen. Kasznicy: w ustępie ostatnim zdanie ostatnie winno brzmieć: „Lub jeżeli po złożeniu ich sejmowi zostaną w trybie ustawodawczym uchylone lub zmienione").*

*Jedna z tych poprawek (poprawka większości komisji senackiej: W ustępie ostatnim zdanie ostatnie winno brzmieć: „Rozporządzenia te tracą moc obowiązującą, jeżeli nie zostaną złożone sejmowi i senatowi w ciągu dni 14 po najbliższem posiedze-*

*niu sejmu, lub jeżeli po złożeniu ich sejmowi i senatowi zostaną przez sejm, lub przez senat uchylone"), została przez senat uchwalona, lecz sejm ją odrzucił, stwierdzając w ten sposób raz jeszcze, iż wolą jego jest oddanie możności uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej sejmowi bez senatu. Przeto i tekst i dokumentami ustalona wola ustawodawcy stwiedzają, iż sam sejm ma prawo i możność uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej.*

*Skoro zaś sejm z tego prawa chce skorzystać, nie może tego zrobić inaczej, jak w formie zwykłej uchwały. Podnieść muszę, że rzecz ta była w sejmie gruntownie badana. Jeżeli jakieś wątpliwości były podnoszone, to umilkły one wobec przytoczonych faktów. Tak komisja prawnicza, jak sejm in pleno stanęły jednomyślnie na stanowisku uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej — uchwałą sejmu.*

*II. Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 4-go listopada 1926 r. (Dziennik Ustaw nr. 110, poz. 640) zostało wprawdzie uchylone drogą ustawy, (por. urzędowe sprawozdanie stenograficzne 308 pos. sejmu), uchwalonej przez sejm i senat. Stało się to jednak ze szczególnych powodów, wyłuszczonych przez referenta komisji, a w szczególności z powodu zgłoszenia w sejmie wniosku o uchylenie wspomnianego rozporządzenia, zanim ono jeszcze przez Rząd przedłożone zostało sejmowi. Sejm przez usta urzędującego marszałka zastrzegł się, iż wypadek ten nie może stanowić precedensu i nie przesądza interpretacji odnośnego postanowienia Konstytucji.*

*III. Uchwała tedy z dnia 19 września 1927 r., mocą której sejm uchylił rozporządzenie Prezydenta*

*Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 roku, zmieniające niektóre postanowienia ustaw karnych o rozpowszechnianiu nieprawdziwych wiadomości i o zniewagach, została powzięta przez sejm zgodnie z konstytucją i regulaminem, zgodnie też z przepisami prawa i istniejącym zwyczajem została zakomunikowana rządowi.*

*IV. Dalsze jej losy należą do uprawnień i odpowiedzialności innych władz.*

*Na jeden przeto tylko szczegół mamy zaszczyt zwrócić uwagę ze względu na ostatni ustęp pisma p. Prezesa Rady Ministrów:*

*W „Dzienniku Ustaw" Rzeczypospolitej Polskiej pomieszczone już były uchwały sejmu, nie mające formy ustaw n. p. uchwały z dnia 16 grudnia 1921 roku („Dziennik Ustaw" Nr. 104, poz. 749 i 750) i uchwała z 28 czerwca 1923 r. „Dziennik Ustaw" nr. 67, poz. 520.*

*Niedoszła do skutku wskutek odroczenia sejmu i senatu nowela do ustawy o „Dzienniku Ustaw", miała na celu nie wprowadzenie nowej zasady, lecz prawne uporządkowanie stanu faktycznego.*

*Marszałek Sejmu*

(—) *RATAJ.*

*Odpowiedź Marszałka Piłsudskiego na powyższe pismo marszałka Sejmu, przesłane w dniu 8 października 1927 r., brzmi dosłownie, jak następuje:*

Do Pana Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej

w Warszawie.

Potwierdzając odbiór pisma z dnia 26 września 1927 r. L. 5141, komunikuję w porozumieniu z p. ministrem sprawiedliwości, że nie znajduję w treści

pisma Pana Marszałka podstawy do zmiany stanowiska, uzasadnionego już poprzednio w piśmie mojem z dnia 23 września 1927 r., wyłuszczającem powody, dla których Rząd uznaje rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. (Dz. U. R. P. Nr. 45, poz. 398, 399) za nadal obowiązujące.

Prezes Rady Ministrów

(—) *JÓZEF PIŁSUDSKI.*

## LIST DO WDOWY PO Ś. P. GUSTAWIE DANIŁOWSKIM.

(22.X.1927 r.).

*W nocy 21 października 1927 r. zmarł poeta Gustaw Daniłowski, który słowem i czynem wytrwale służył sprawie niepodległości narodu. W związku z jego śmiercią Marszałek Piłsudski przesłał do wdowy list następujący:*

Szanowna Pani! Jestem głęboko wzruszony zgonem ś. p. Gustawa Daniłowskiego. Pragnę wyrazić cały żal mój i współczucie. Odchodzi od nas bojownik wolności niestrudzony, pisarz, czujący sercem i krwią, żołnierz sprawy ojczystej, człowiek czystości charakteru nieskazitelnej. Ból tej ciężkiej straty, który Panią dotyka, niech umniejszy żałoba, okrywająca myślącą część społeczeństwa i dawnych towarzyszy broni.

Warszawa, 22.X.1927 r.

(—) *JÓZEF PIŁSUDSKI.*

## POŻEGNANIE GEN. ŻELIGOWSKIEGO.

*(27.X.1927 r.)*

*W końcu października 1927 r. jeden z najbardziej zasłużonych generałów polskich, Lucjan Żeligowski, przeszedł na własną prośbę w stan spoczynku. W związku z tem Marszałek Piłsudski podejmował go w dniu 27 października w kasynie garnizonowem w Warszawie śniadaniem, na którem był obecny cały rząd z wicepremjerem Bartlem na czele, — wszyscy przebywający w tym czasie w stolicy inspektorowie armji, wiceministrowie gen. Konarzewski i gen. Fabrycy, szef sztabu gen. Piskor z zastępcą swym gen. Kutrzebą, prezes sądu wojskowego gen. Krzemiński, kilku dowódców korpusów, dalej ppłk. Prystor, mjr. Wenda i inni.*

*W trakcie śniadania Marszałek Piłsudski wygłosił przemówienie pożegnalne, które według relacji „Głosu Prawdy" miało brzmienie następujące:*

„Żegnam Cię, Panie Generale, w imieniu rządu i armji. Życzę Ci, byś na tej nowej dla się drodze życia zaznał spokoju i ukojenia po wzruszeniach, jakie przeżywałeś razem z nami. Nie chcę tu podnosić Twej pracy i Twych zasług w poszczególnych wypadkach, bo wszystko to jest zapisane w historji. Podkreślam jednak, że zawsze, zarówno na sta-

nowisku Naczelnika Państwa, jak i Naczelnego Wodza, ceniłem wysoko Twoje zalety: szczerość i uczciwość żołnierską. Honor służby, który cechował Cię, cenię wyżej ponad honor osobisty, bo ten honor jest tak niezwykle trudny do utrzymania, że wobec niego wszystkie prawdy bledną, blednie wobec niego nawet honor osobisty.

We wspomnieniach moich zostałeś na zawsze, jako rycerska prawda służby honoru, jako prawda człowieka, który włożył czysty mundur i takim go nosi. Zarówno w służbie państwowej, jak i w wojsku, umiałeś, Generale, zyskać szacunek nie tylko dla siebie, ale i dla służby. Należysz do tych postaci, dla których w historji szacunek nie zaginie. Dziś, żegnając Cię, w imieniu rządu i wojska, chcę Ci powiedzieć, że jesteś i będziesz niezapomnianym wśród nas — swoich przyjaciół".

## PRZEMÓWIENIE W AMBASADZIE FRANCUSKIEJ.

(19.XI.1927 r.).

*17 listopada r. 1927 przybył do Warszawy marszałek Francji, Franchet d'Esperey celem wręczenia Marszałkowi Piłsudskiemu dowodu uznania Rzeczypospolitej Francuskiej w postaci najwyższego odznaczenia wojskowego — „Medal Wojskowy". — Dekoracja Marszałka Piłsudskiego odbyła się dnia 18 listopada na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie. Następnego dnia Pan Prezydent Rzeczypospolitej, prof. dr. Ignacy Mościcki, udekorował na audjencji pożegnalnej marszałka Franchet d'Esperey'a wielką wstęgą orderu „Polonia Restituta". Tegoż dnia ambasador Francji Laroche wydał obiad na cześć Pierwszego Marszałka Polski oraz Marszałka Francji Franchet d'Esperey'a. Podczas obiadu ambasador Laroche wygłosił przemówienie, w którem dał wyraz radości, że „z okazji udekorowania najwyższym orderem wojskowym francuskim Pierwszego Marszałka Polski, bojownika o wolność, zwycięskiego Wodza z wojny roku 1920 i bohatera narodowego, Józefa Piłsudskiego, przez Marszałka Francji Franchet d'Esperey'a, zwycięskiego wodza armji z nad Dunaju, Bosforu*

*i Adrjatyku", — może łącznie ich gościć w swym domu. „W osobach dwu tych wodzów najlepiej usymbolizowana jest solidarność i braterstwo broni narodów polskiego i francuskiego. Na cześć tej solidarności i przymierza Polski i Francji wznoszę swój toast".*

*Marszałek Francji Franchet d'Esperey powiedział m. in.*

*„Dziesięć lat czekałem na chwilę dzisiejszą. Walcząc na froncie południowym, pragnąłem, jako głównodowodzący tego frontu, uwolnić całą część Europy, znajdującą się jeszcze pod obcą przemocą, od jarzma obcego. Myślałem wówczas o połączeniu się z legjonami polskiemi i oswobodzeniu Polski. Zawieszenie broni przeszkodziło mi w uskutecznieniu zamiaru. Polska wyzwoliła się własnym wysiłkiem, na który złożyły się dwa elementy: energja narodowa i Twoje, Panie Marszałku, genjalne dowództwo. Pan, Panie Marszałku, walcząc w r. 1920 i przełamując ofensywę wroga pod Siedlcami, był szczęśliwszy od armji francuskiej, która odniósłszy świetne zwycięstwo nad Marną, utrwalać je musiała licznemi jeszcze zwycięskiemi walkami, gdy Ty, Panie Marszałku, odrazu złamałeś napór wroga. Wznoszę więc okrzyk: Niech żyje Polska, armja polska i jej pierwszy Marszałek Józef Piłsudski!"*

*W odpowiedzi na toasty ambasadora Laroche'a i marszałka Franchet d'Esperey'a, Marszałek Piłsudski wygłosił następujące przemówienie:*

Panie Ambasadorze, Panie Marszałku!

Żywo poruszony tak serdecznemi słowami, z jakiemi Panowie zwrócili się do mnie, pragnę podziękować Panom gorąco i powiedzieć Panu, Panie

Marszałku, raz jeszcze, jak głęboko odczuwam wyróżnienie ze strony Jego Ekscelencji Pana Prezydenta Republiki, który w celu nadania mi najwyższego francuskiego odznaczenia wojskowego, polecił Panu, Panie Marszałku, doręczyć mi jego insygnja.

Dumny z tego, że będę nosił medal wojskowy, który symbolizuje w mych oczach nieśmiertelną chwałę armji francuskiej, witam w Pana osobie jednego z najznakomitszych i najbardziej bohaterskich jej wodzów, przypominając tak czynną rolę, jaką Pan odegrał w charakterze generalissimusa na jednym z najważniejszych frontów i przyczynił się do zwycięskiego końca wojny światowej.

W imieniu armji polskiej wyrażam naszą szczerą radość, że widzimy Pana pośród nas i że możemy okazać Panu całą przyjaźń i te wszystkie uczucia braterskie, jakie żywimy względem pełnej chwały armji sprzymierzonej, której jest Pan tak godnym i tak znakomitym przedstawicielem.

Wysokie zalety, jakie wyróżniają tę armję, są zarazem zaletami całego narodu francuskiego. Podobnie węzły tak serdeczne i tak przyjacielskie, jakie istnieją pomiędzy armją francuską i polską, łączą również całe nasze kraje.

Wznosząc puhar na zdrowie Pana, Panie Ambasadorze, Pana, który reprezentuje tutaj Francję, i przyjmuje nas z tak niezwykłą gościnnością, oraz za zdrowie Pana, Panie Marszałku, wyrażam me bardzo gorące życzenia chwały i szczęścia dla Waszej Wielkiej Ojczyzny".

# O STOSUNKACH POLSKO-LITEWSKICH I OPINJA O WALDEMARASIE.

(30.XI.1927 r.)

*Dokonany w Kownie w ostatnich dniach grudnia r. 1926 zamach wojskowy, aczkolwiek zrodził się z troski o dobro i rozwój Litwy, nie pociągnął za sobą zmian w ustosunkowaniu się polityków kowieńskich do Polski. Mianowany po zamachu premjerem Antoni Waldemaras szedł drogą, wytyczoną i utartą przez jego poprzedników, utrzymując z nami „stan wojny bez wojny i pokoju". Na przestrogi i nadzieje Polski, których wyrazem był wywiad, udzielony przez Marszałka Piłsudskiego „Głosowi Prawdy" w ostatnich dniach grudnia 1926 r., premjer litewski odpowiedział projektem zmiany konstytucji, w którem Wilno, stanowiące integralną część Polski, uznane zostało za stolicę Litwy oraz zdławieniem szkolnictwa polskiego na Kowieńszczyźnie z jednoczesnem uwięzieniem w obozach koncentracyjnych nauczycieli polskich za to, że — jak czytamy w apelu ich, skierowanym do Polski — „dzieci polskie uczyli w języku polskim, że wpajali w nie tradycję przyjaźni i świetnej przeszłości polsko-litewskiej". Te wystąpienia rządu kowieńskiego*

*odbiły się silnem echem w całej Polsce — fala głębokiego oburzenia i gorącego patrjotyzmu ogarnęła społeczeństwo polskie. Rząd polski, jak to słusznie w swoim czasie podnoszono — „wykazał wiele dobrej woli i wykonał znaczny wysiłek, by oburzenie swego społeczeństwa utrzymać w granicach protestu przeciw prowokacjom Kowna". Ograniczył się tylko do represyj w formie aresztowania pewnej ilości działaczy litewskich, działających stale i systematycznie na szkodę Polski oraz chwilowego zamknięcia seminarjum nauczycielskiego w Wilnie i czterdziestu kilku szkół litewskich na Wileńszczyźnie. Te łagodne zarządzenia władz polskich posłużyły Waldemarasowi za pretekst do oskarżenia Polski przed Ligą Narodów. W skardze swej, przesłanej do Ligi Narodów w pierwszej połowie listopada 1927 r., dowodził premjer litewski, że podane przez prasę polską wiadomości o zdławieniu szkolnictwa polskiego na Litwie i uwięzieniu nauczycieli polskich są zmyślone, protestował przeciwko znanym już nam represjom rządu polskiego i powołując się na artykuł 11 paktu Ligi Narodów, przez co wskazywał, że Litwa zagrożona jest ze strony Polski wojną, prosił o interwencję w wynikłym konflikcie. I prawie jednocześnie z wysłaniem tej skargi, pod pozorem, że ktoś gdzieś przygotowuje zbrojny marsz na Kowno, wydał szereg zarządzeń, które wytworzoną sytuację zaostrzyły jeszcze bardziej: zarządził mianowicie ostre pogotowie szaulisów i zmilitaryzowanie policji, trochę później — „powołał na ćwiczenia" oficerów rezerwy, wreszcie nakazał mobilizację kilku roczników. Mobilizacja ta skierowana była najwyraźniej przeciwko Polsce — bez żadnego, najmniejszego nawet z jej strony powodu. A w parze z temi*

*zarządzeniami szły liczne wyroki śmierci i masowe nakazy aresztowania osób, przebywających w Kownie, a nie mogących się zgodzić na taką politykę.*

*W związku z sytuacją, wytworzoną przez Waldemarasa, poseł Związku S. S. R. w Warszawie, p. Bogomołow, doręczył w dniu 24 listopada 1927 r. ministrowi spraw zagranicznych p. Zaleskiemu notę, w której z polecenia swego rządu „podał do wiadomości rządu polskiego, iż rząd sowiecki zaniepokojony jest tym stanem naprężenia, jaki wytworzył się w ostatnim czasie pomiędzy Polską a Litwą, a który zagraża pokojowi", oraz uważa „za niezbędne zaznaczyć, że zachowanie pokoju w daleko większym stopniu zależy od Polski, aniżeli od Litwy, państwa zbyt słabego, aby móc być zainteresowanem w poszukiwaniu decyzji w zakresie swych pretensyj drogą zbrojnego konfliktu z Polską". W dalszym ciągu tej noty rząd sowiecki wyrażał przekonanie, że wynikły spór rozstrzygnięty być może drogą wyłącznie pokojową oraz, że „rząd polski, który niedawno w sposób uroczysty deklarował swoją pokojowość, potrafi usunąć grożące niebezpieczeństwo wojny i zrozumie wystąpienie rządu sowieckiego, jako podyktowane wyłącznem dążeniem związku sowieckiego do utrzymania pokoju wogóle, a w szczególe do rozwoju pokojowych i przyjaznych stosunków z Polską". Nota sowiecka wywołała rezonans w Berlinie w postaci koferencji komisarza Litwinowa z niemieckim ministrem spraw zagranicznych Stresemannem. Były to, naturalnie, zrozumiałe próby uderzenia w Polskę drogą okrężną przez Litwę, próby stworzenia dla nas niekorzystnej sytuacji w związku z wyznaczoną na grudzień sesją Rady Ligi Narodów. To też rząd polski w dniu 29 listopada 1927 r.*

*przesłał rządom państw, gdzie jesteśmy reprezentowani, notę, w której stwierdził, że nie żywi względem Litwy żadnych agresywnych zamiarów i że „jedynem jego pragnieniem jest nawiązanie z rządem litewskim w duchu najbardziej pokojowym normalnych stosunków sąsiedzkich". W dalszym ciągu noty rząd polski stwierdził, że te pragnienia jego „spotykały się z kategoryczną odmową wszystkich rządów Litwy, które dziś tak, jak i dawniej, twierdzą, że ich kraj znajduje się w stanie wojny z Polską. Zdaniem rządu polskiego taki stan rzeczy, brzemienny w niebezpieczeństwa dla współpracy pokojowej narodów, nie da się dłużej utrzymać. Dlatego też rząd polski jest przekonany, że wszystkie rządy i oświecona opinja całego świata zrozumieją jego stanowisko i użyją wszystkich środków, będących w ich mocy, aby przez zakończenie głoszonego z takim uporem stanu wojny spełnione zostało jedyne pragnienie rządu polskiego".*

*Tyle, jeśli chodzi o przebieg konfliktu i okoliczności, towarzyszące skardze litewskiej, skutkiem której sprawa stosunków polsko-litewskich znalazła się na porządku dziennym obrad wyznaczonego na pierwsze dni grudnia posiedzenia Rady Ligi Narodów.*

*Dodać należy, że w czasie trwania konfliktu Marszałek Piłsudski dwukrotnie wyjeżdżał z Warszawy do Wilna: po raz pierwszy 8.X.1927 r., kiedy wziął udział w uroczystościach, związanych z siódmą rocznicą wyzwolenia Wilna (akcja gen. Żeligowskiego), — po raz drugi 23 listopada, kiedy to odwiedził chorą na grypę siostrę, przeprowadził — w związku z zarządzeniami Waldemarasa — inspekcję kilku oddziałów wojskowych i odbył szereg konferencyj, których celem było zebranie materja-*

*łów do odparcia skargi Waldemarasa, wniesionej do Ligi Narodów.*

*W związku z omówionym konfliktem Marszałek Piłsudski w dniu 30 listopada r. 1927 upoważnił Polską Agencję Telegraficzną do opublikowania następującego oświadczenia:*

Nota nasza, rozesłana do wszystkich państw, gdzie jesteśmy reprezentowani, zwraca się do tych państw z prośbą o pomoc w pracy naszej nad zniesieniem stanu wojny na naszych granicach.

Stan wojny, utrzymywany w stosunku do nas przez Litwę, jest jedynym istniejącym w chwili obecnej na świecie; jest anomalją i stanem chorobliwym tego zakątka kuli ziemskiej.

Granice nasze z Litwą są z tego powodu całkiem niepodobne do innych na świecie. Stanowią one tu przedmiot stałej trwogi i niepokoju, gdyż tu żadna praca normalnie prowadzona być nie może, gdzie, jak dawniej na dzikich stepach naszych kresów, praca idzie jedynie pod osłoną broni, gdzie brat nie może latami widzieć brata, matka umierająca nie może pożegnać na łożu śmierci dzieci, gdzie nie można mieć żadnego, drobnego nawet interesu, gdzie wieść potrzebna, czy pilna, od swoich bliskich dochodzi, pomimo małej przestrzeni, dopiero po tygodniach czy miesięcach.

My, Polacy, pomimo to wszystko, utrzymywaliśmy stale stan pokoju, spodziewając się wytrwałem i spokojnem zachowaniem się przyzwyczaić przeciwników do pokoju, ustalić ten stan i przetrwać w nim, szukając lekarstwa na błędy stanu wojny w czasie. Gdy nie z naszego powodu i nie z naszego zażalenia sprawa ta przeszła do Ligi Narodów, stan rządu p. Waldemarasa stał się nerwowym

i podnieconym tak dalece, że rozpoczęto zarządzenia mobilizacyjne. Gdym się o tem dowiedział, spędziłem noc całą na szukaniu decyzji. Nie mogłem nie widzieć skutków opóźnienia naszej mobilizacji. Mimo, iż wiedziałem, że w prędkim czasie zwycięstwo będzie moje, drżeć musiałem, że groza wojny wisi nad temi częściami kraju, które staną w pożodze, gdy nie zdążę na czas biegnąć tam z pomocą. Rozum i logika wojny każe śpieszyć z odpowiedzią na mobilizację przyśpieszoną pracą, by się nie dać wyprzedzić przeciwnikowi, — każda godzina bowiem opóźnienia grozi gdzieś komuś śmiercią czy ruiną bytu. Przy stanie wojny, który nam rząd litewski narzuca od tak dawna, miałem przemyślaną tę chwilę, gdy wypadnie mi decydować o naszej odpowiedzi.

Tym razem sprawa stanu wojny oddana jest na forum międzynarodowe, gdzie prawa pokoju, a nie wojny są prawdą wyznawaną.

Zdecydowałem pójść za wyższą racją stanu i za wyższą logiką i już nazajutrz zadeklarowałem panu ambasadorowi Francji, że zdecydowałem nie mobilizować, czekając decyzji Rady Ligi Narodów w odpowiedzi na naszą notę.

Uważam za swój obowiązek wyjaśnić te względy, które sytuację czyniły najcięższą, gdym ważył motywy, które przemogły prostą decyzję o mobilizacji.

Prezes rządu litewskiego p. Waldemaras wzbudza we mnie obawę z powodu stanu swego umysłu, jest, zdaniem mojem, niepoczytalnym. W wymuszonych na nim pertraktacjach z nami uznał, że jest z nami w stanie wojny i żądał, by Polska za zmienienie stanu wojny czemkolwiek mu zapłaciła, tak,

jak gdybyśmy tę wojnę już przegrali. Powiedzieć można, że jest tylko bezczelny.

Teraz w jednej ze skarg na nas dowodzi, że Piłsudski swoim wyjazdem do Wilna, skąd pochodzi i ma swą rodzinę, zagraża bytowi państwa litewskiego. Bardzo wdzięczny byłbym za ten komplement, świadczący o potędze mojej osoby, lecz każdy przyzna, że to argument, zaczerpnięty z bogactw rozumu ludzi, przebywających w szpitalu warjatów. Oto, dalej jeden z argumentów jednej z not dyplomatycznych tego pana: za stan pokoju Polska ma zapłacić pomocą niedołężnej gospodarce tego pana w Kłajpedzie, dając gwarancję wywozu pewnego quantum swych towarów przez Kłajpedę. Lecz wobec tego, że większość towarów będzie pochodzić z Wileńszczyzny, pan Waldemaras oświadcza, że właściwie prawnie należą one do Litwy, więc można je skonfiskować po drodze, nim przyjdą do Kłajpedy, której byt ma być podtrzymany wywozem z Polski. Gdy dodam, że ten superpatrjota litewski był długi czas Rosjaninem, potem Niemcem i wreszcie Litwinem — to każdy mi przyzna, że mamy do czynienia ze zjawiskiem niemal szpitalnem.

Gdy więc pomyślałem, że w stanie nerwowego podniecenia mogą być czynione niepoczytalne kroki, które łatwo wywołać mogą decyzje, prowokujące gwałtem Polskę, z wielkim ciężarem na duszy ulegałem wyższej racji stanu i wyższej nad wojnę i jej prawdami prawdzie pokoju. Uważam więc w obecnej chwili za swój obowiązek zwrócić się z apelem do swych współobywateli, by ze spokojem, umiarem i z należytą powagą zechcieli zachować się wobec groźby, do nas skierowanej, gdy miecz się znajduje w ręku szaleńca. Proszę wszyst-

kich o spokój i spokojny stosunek do wieści i plotek, które w takich czasach krążą.

A przy zachowaniu takiego spokoju, ufam, że po przejściu kryzysu, w co chcę wierzyć, będziemy dumni, iż wbrew oczekiwaniom wszystkich wrogów naszych, wykażemy tę prawdę siły, którą daje opanowanie siebie, tak potrzebne we wszystkich ciężkich chwilach.

Wreszcie jeszcze jedno. Przy okrutnych prześladowaniach, jakie teraz panują na Litwie w stosunku do przeciwników rządu, wielu z Litwinów szuka ucieczki i przytułku na naszej ziemi. Jeżeli żałować można, że dzięki stanowi wojny nie mogliśmy współżyć ze swymi, tak drogimi sercu wielu współrodaków, sąsiadami, to gdy wreszcie z powodu nieszczęść w ich kraju przybyło do nas liczne ich grono, wzywam wszystkich do okazania im gościnności i pomocy w ich biedzie.

Polska zna z tak niedawnej przeszłości, co znaczy dola emigranta, niepewnego swej przyszłości i przebywającego w bólu tęsknoty za swym zagonem. Najpiękniejsze porywy naszej poezji, które duszę naszą rzeźwiły, powstały z pracy takich emigrantów. Niech nie zaznają, gdy są u nas, gorzkiego chleba pogardy i niechęci.

## PRZEMÓWIENIA W GENEWIE.

(10.XII.1927 r.)

*7 grudnia 1927 r. Marszałek Piłsduski udał się do Genewy na sesję Rady Ligi Narodów, by osobiście oświadczyć, iż rząd polski „ani nie zamierza bynajmniej uzyskiwać jakichś nowych gwarancyj co do Wilna, ani też żądać od Waldemarasa nawiązania natychmiast stosunków dyplomatycznych, natomiast nalega energicznie na to, ażeby stan wojny został zniesiony jak najprędzej oraz ażeby Rada Ligi złożyła dowód, iż Liga Narodów jest zdolna istotnie wypełniać swoje zadanie pacyfikacji".*

*Na dworcu w Warszawie żegnali odjeżdżającego Marszałka wszyscy ministrowie z wicepremjerem Bartlem na czele, generalicja, korpus dyplomatyczny, attaches wojskowi i szereg innych osobistości. „W doskonałym humorze — czytamy w „Głosie Prawdy" — Marszałek niemal do odjazdu pociągu prowadził ożywioną rozmowę z ambasadorem Laroche, posłem niemieckim Rauscherem i posłem finlandzkim Procope. Na parę chwil przed ruszeniem pociągu Marszałek wsiadł do wagonu i stanął w otwartych drzwiach. Głośne, ze wszystkich ust wyrzucone: „...Niech żyje Marszałek Piłsudski!" — rozległo się po całym peronie. Ktoś z obecnych do-*

*rzucił: „...i niech rychło wraca!" W odpowiedzi na to Marszałek powiedział:*

„Bardzo prędko powrócę, tego się nie obawiajcie!"

*Poczem wesołym tonem rozmawiał jeszcze z posłami i ministrami i na jedno z wielu rzuconych pytań odpowiedział:*

„Jadę przez Drezno, gdzie zatrzymam się tylko sześć minut, w Genewie zabawię prawdopodobnie dwa dni. Wracać będę na Wiedeń, gdzie dają dobrą kawę i jest najlepsze pieczywo".

„Będę spał dwie noce, — *zwracając się w stronę rządu, powiedział Marszałek,* — bez was, bez dyplomacji i bez pracy", — *a potem, zwracając się do dyplomatów, powtórzył te słowa po francusku. Wszyscy byli szczerze roześmiani.*

*Sygnał... Pociąg rusza... Marszałek zdejmuje kapelusz i żegna się z obecnymi na dworcu".*

*Do Genewy przybył Marszałek w południe 9-go grudnia i bezpośrednio po przyjeździe odbył kilka konferencyj (z Chamberlainem, Briandem, Stresemannem, tudzież z sprawozdawcą konfliktu polsko-litewskiego Beelaertsem), podkreślając konieczność powzięcia szybkiej i jasnej decyzji.*

*W dniu 10 grudnia odbyło się poufne posiedzenie Rady Ligi Narodów, w którem wziął udział i Marszałek Piłsudski. Początkowo, według relacji „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", poszczególni mówcy zastanawiali się nad skargami litewskiemi, dotyczącemi mniejszości narodowych. Po czterdziestu minutach zabrał głos Marszałek Piłsudski, oświadczając kategorycznie:*

„Proszę Panów, ja tu przyjechałem, aby usłyszeć słowo „pokój", a tymczasem słyszę rozważa-

nia, może bardzo ważne, ale mnie w tej chwili nic a nic nie obchodzące. Te szczegóły mnie tu nie sprowadziły, ja chcę wiedzieć, czy jest pokój i czy Liga zdolna jest doń się przyczynić?"

*Tu zwrócił się Marszałek wprost do Waldemarasa, mówiąc:*

„Panie Waldemaras, ja chcę wiedzieć i usłyszeć, czego pan chce i czy jest pokój, czy wojna?"

*Nastąpiła chwila naprężonego milczenia, poczem Waldemaras, poruszony, wstrząśnięty i zaskoczony tem lapidarnem pytaniem, odezwał się cichym głosem:*

*„Ja chcę pokoju. Jest pokój".*

„W takim razie — *odpowiedział Marszałek* — nie mam nic do dodania. Rola moja już spełniona. Dziękuję Panom. Jest pokój, każę w Polsce bić w dzwony na „Te Deum", że jest pokój z Litwą. Wracam dziś wieczór do kraju".

*Słowa te wywarły olbrzymie wrażenie, moment był wysoce doniosły. Zaraz potem zakończono też obrady".*

*Tegoż dnia o godz. 9.30 wieczorem odbyło się otwarte posiedzenie Rady Ligi Narodów, na którem uznano, że stan wojny między Polską a Litwą jest zniesiony i polecono rządom polskiemu i litewskiemu podjęcie bezpośrednich rokowań celem wznowienia stosunków pokojowych. Opuszczając salę posiedzeń, Marszałek Piłsudski, na prośbę dziennikarzy polskich o parę słów dla prasy polskiej, oświadczył:*

„Trzeba było sprawę załatwić. Nagliłem, przyśpieszałem, tłumaczyłem, że przeciągać nie można. Dlatego teraz w nocy zwołali posiedzenie".

*A na pytanie dziennikarzy, czy jest zadowolony z przyjazdu do Genewy, odparł:*

„Pewnie, przecież sprawa była ważna".

*Przed wyjazdem z Genewy nadmienił Marszałek w rozmowie z korespondentem francuskiego dziennika „Matin":*

„Nie przybyłem tutaj dla studjów społeczno-politycznych. Chciałem usłyszeć wyraz „pokój", gdyż niezawodnie mieliśmy do wyboru wojnę lub pokój. Pokój ten był rzeczą, której pragnąłem z całych sił, całą duszą. Powiedziałem też „panowie, róbcie pokój, a głównie nie traćcie czasu, gdyż mi bardzo śpieszno". A było mi nietylko śpieszno wrócić do Warszawy, lecz śpieszyłem się, gdyż istniejący stan rzeczy nie mógł dalej trwać. Cała robota została doskonale przygotowana przez Ministra Spraw Zagranicznych Zaleskiego. Wszystko poszło doskonale. Muszę również oświadczyć, że Francja była mi bardzo pomocną, jak zresztą tego od niej oczekiwałem. Powinniśmy wszyscy gorąco podziękować Briandowi".

*W drodze powrotnej do kraju zatrzymał się Marszałek Piłsudski na kilka godzin w Wiedniu. Na pytanie redaktora „Wiener Allgemeine Zeitung", dlaczego odmawia dziennikarzom wywiadu, odrzekł, że sprawy prasowe pozostawia ministrowi Zaleskiemu.*

„Ja sam nie udzieliłem w Genewie ani jednego wywiadu.

*Na pytanie, dlaczego mało czasu poświęca tak pięknemu miastu, jak Wiedeń, Marszałek odpowiedział:*

„Mój czas nie pozwala mi gonić za przyjemnościami. W Warszawie oczekują z naprężeniem mego sprawozdania o Genewie".

*Na pytanie, czy był już w Wiedniu, Marszałek odpowiedział:*

„Byłem dość często, ostatnio w r. 1916. Jestem Wiedniem zachwycony".

*Dziennikarze wspomnieli następnie o wystawieniu w Wiedniu „Halki", a w odpowiedzi wyraził Marszałek swą radość, że muzyka polska znalazła dostęp do Wiednia.*

*Na ostatnie pytanie dziennikarzy, czy jest zadowolony z wyników, osiągniętych w Genewie, Marszałek odpowiedział:*

„Tak, w zupełności".

## PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA „ROKU 1920".

(Koniec roku 1927).

*W r. 1927 wyszło drugie wydanie wielkiej pracy Marszałka Piłsudskiego p. t. „Rok 1920". Wydanie to poprzedził Autor następującą przedmową:*

Kiedym trzy lata temu pisał swoją książkę, nieraz przy pisaniu zastanawiałem się nad specjalną jej konstrukcją, która mnie ustawicznie krępowała. Związałem się bowiem względnie niewielką broszurką p. Tuchaczewskiego, któremu w ten sposób pozostawiłem inicjatywę w konstrukcji swojej własnej pracy. Gdy teraz już minęły trzy lata, ten zasadniczy błąd — na który rozmyślnie zresztą szedłem — wywołuje we mnie jakgdyby coś w rodzaju żalu. Z powodu bowiem przyjęcia tej właśnie konstrukcji zrobiłem ze swojej książki przyczynek jedynie historyczny, a nie właściwą historję. Opuszczałem więc całe mnóstwo i swoich własnych przeżyć, i czynności dowodzonego przeze mnie wojska, i mnóstwo danych, związanych z przeżyciami historycznemi mego narodu, które nieraz stanowiły decydujące motywy mojego postępowania jako naczelnego wodza, dlatego jedynie, by nie zadać kłamu kon-

strukcji małej broszury, związanej z przeżyciami i państwowemi i wojennemi nie naszej strony, lecz strony nieprzyjacielskiej. Pomimo jednak żalu, który odczuwam, muszę się pogodzić z faktem tak, jak on się stał w realności życia.

Przy drugiem wydaniu nie jestem w stanie osobiście naprawić tego błędu tak jak nieraz marzyłem, że to kiedyś zrobię. Zbyt zajęty jestem bowiem sprawami państwowemi i nie zdołałbym nigdy przepracować ogromnego materjału, który z taką pracą jest związany. Nie potrafiłem nawet wymusić na sobie przestudjowania zwiększonego w ilości materjału historycznego ściśle wojennego, który od czasu wydania mojej książki w druku się ukazał. Zastąpił mnie w tej właśnie części pracy historycznej przyjaciel mój generał Stachiewicz, któremu niezmiernie wdzięczny jestem, że zechciał się tego podjąć, dając mi swoją współpracę równie chętnie, jak dawał ją przy pierwszem wydaniu, jako szef naszego Wojskowego Biura Historycznego. Zestawienia literatury historycznej, uczynione przez niego i jego współpracowników, znajdzie czytelnik w przypisach. Naturalnie ten system i ta konstrukcja szkodzić musi samej książce, gdyż nie jest to przepracowanie podane w tekście i związane organicznie z samą książką. Lecz innego wyjścia wraz z p. generałem Stachiewiczem nie znalazłem.

Materjał historyczny, który był do przepracowania, wyrósł przez tych kilka lat do znacznych rozmiarów i wyświetlił dość wielką ilość zjawisk, które przy pisaniu książki mogły być czy wątpliwemi, czy niejasnemi. Niestety, nasz ówcze-

sny nieprzyjaciel prześcignął nas w tej sprawie bardzo znacznie. Nietylko bowiem praca historyczna rosyjska prześciga nas pod względem ilości roboty w historję włożonej, ale różni się także od naszych prac swoją jakością. Już przy wstępie, napisanym przezemnie w roku 1924, zakończyłem swoją przedmowę słowami: „Kończę wstęp wyrażeniem żalu, że niektóre nasze publikacje historyczne stoją niestety tak nisko, że ani dobrem źródłem być nie mogą, ani zasługiwać nie są w stanie na porównanie z pracą w tej dziedzinie naszych byłych przeciwników, a często, zbyt często, robią wrażenie prac żaka szkolnego, który, wiedząc, że zawinił, blagą i nadrabianiem miny oszukać się stara surowego nauczyciela — historję". Nie mógłbym cofnąć swego określenia niestety i teraz, gdyż na publikacjach „historycznych" naszych nie radziłbym nikomu z poważnych historyków opierać swoje sądy, ani też wyrabiać swe zdanie, nawet gdy chodzi o publikacje oficjalne.

Przeglądając jedną z książek, wydanych w Rosji, a mianowicie książkę p. Witolda Putny, który podczas operacji warszawskiej dowodził 27-ą dywizją sowiecką, należącą do 16-ej armji i zwycięską przy szturmie na Radzymin, znalazłem bardzo ciekawy i rzadki w historji wojny ustęp, opisujący fakt zerwania istotnej łączności wszystkich dywizyj tejże 16-ej armji z dowódcą armji już dnia 18 sierpnia. Zerwanie tej łączności nastąpiło w tak gruntowny sposób, iż od dnia tego, aż do wieczora dnia 25 sierpnia, dowództwo 16-ej armji, odchodząc ku wschodowi aż za Wołkowysk, nie dowodziło właściwie swojemi wojska-

mi, gdyż przez cały ten czas moje prawo-flankowe dywizje — 1-a z kawalerją a potem i 21-a (górska) — stały i poruszały się pomiędzy dowództwem armji 16-ej a cofającemi się w bezładzie dywizjami tejże 16-ej armji ku północowschodowi w stronę Białegostoku. Nie przeszkodziło to jednak, jak stwierdza p. Witold Putna, dowódcy i sztabowi 16-ej armji wydawać codziene rozkazy do każdej z dywizyj przez cały ten czas, pomimo, iż ani raporty od dywizyj do armji, ani rozkazy od armji do dywizyj nie dochodziły nigdy. To znaczy, iż historja istotna i realna szła swoją drogą realności zjawisk, swoją zaś zupełnie odrębną drogą biegło fikcyjne rozkazodawstwo zapisane w dokumentach.

Polskie publikacje historyczne oficjalne, specjalnie praca nad bitwą warszawską szefa do niedawna naszego Biura Historycznego, są pisane w ten właśnie sposób, jakgdyby kto chciał opisać działanie 16-ej armji na podstawie dokumentów dowództwa tejże armji wtedy, gdy pisało ono rozkazy bez związku z wojskami i realnością zjawisk wojennych, gdy 16-a armja była odłączona i żadnych stosunków z armją swoją, t. j. żołnierzami i dowódcami dywizyj nie miała. Ten oryginalny sposób pisania historji bez związku z realnością zjawisk wojennych był niestety, jak dotąd, charakterystyką literatury historycznej polskiej. Muszę więc niestety żal swój, który w przemowiedmowie do „Roku 1920“ wyrażałem — wyrażać i teraz.

# OTWARCIE SEJMU.
## (27.III.1928 r.).

*We wtorek 27 marca 1928 r. Marszałek Piłsudski w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej dokonał otwarcia nowowybranego Sejmu. Poniżej podajemy przebieg tej uroczystości według sejmowego sprawozdania stenograficznego:*

*(Na salę wchodzi p. Prezes Rady Ministrów Marszałek Piłsudski. Z foteli posłów komunistycznych padają okrzyki, zwrócone przeciw Rządowi. Inni posłowie odpowiadają: „Ile pieniędzy panowie dostali z Moskwy za te okrzyki? Jeden z posłów komunistycznych woła: „A ile pieniędzy dostała jedynka na wybory"?).*

*Prezes Rady Ministrów:*

Panowie będą wyrzuceni z sali. *(Okrzyki ponawiają się. Głos: Macie na sumieniu oszustwa wyborcze).*

*Prezes Rady Ministrów:*

Panowie będą wyrzuceni z sali *(Po chwili, gdy okrzyki się powtarzają).* Panowie będą wyrzuceni z sali. *(Wchodzi policja od strony foteli, zajętych przez komunistów i usuwa kilku posłów. Wrzawa. P. Wyrzykowski: Policja na sali? Długotrwałe oklaski na sali i galerji. P. Woźnicki: Ładny początek! P. Wyrzykowski: Hańba!).*

*Prezes Rady Ministrów:*

Uprzedzam Panów, że ja nie będę urzędował przy krzykach i wtedy Sejmu nie otworzę. *(P. Wyrzykowski: Urzędować, ale nie z policją. P. Polakiewicz: Urzęduje nie z policją, tylko z obywatelami).* Cicho tam, proszę nie przerywać. W imieniu p. Prezydenta Rzeczypospolitej!

Po raz trzeci od chwili odzyskania wolności zbiera się Sejm Rzeczypospolitej, a po raz drugi Jej Senat. Pierwszy Sejm zaczynał obradować wtedy, gdy losy naszego Państwa były jeszcze bardzo niepewne, gdy o mury tego gmachu biły echa wojny, prowadzonej o nasze granice i odgłosy krwawych zmagań się naszych żołnierzy o prawo Polski do samodzielnego życia. U kolebki drugiego Sejmu stała blada jeszcze jutrzenka pokoju, ciężka troska o stan skarbu Państwa, a chmury coraz to czarniejsze i coraz bardziej groźne zbierały się wówczas nad naszem życiem gospodarczem.

Panowie macie rozpocząć swą pracę w momencie powielokroć szczęśliwszym. Pierwszy Sejm obradował podczas wojny, drugi rozpoczynał swą działalność wtedy, gdy nasza praca pokojowa była dopiero w zarodku. Dziś bardzo znacznie i skutecznie praca ta została naprzód posunięta.

Przez ogólną opinję została należycie oceniona nasza gorliwa współpraca w utrwaleniu i wzmocnieniu dzieła powszechnego pokoju. Przyjaźń specjalna, która łączy Polskę z Francją i Rumunją, daje nam tem większą pewność w naszej pracy pokojowej, że nikomu ona nie zagraża, a daje rękojmię dłuższej, wspólnej pracy w zawiłych i ciężkich zagadnieniach.

Rząd nasz za swe specjalne zadanie postanowił sobie biec z wysiłkiem pokojowego i zgodnego

współżycia tam, gdzie o to ułożenie stosunków najtrudniej, gdyż prawem było dotąd, że najwięcej jest sporów nie gdzieindziej, jak między sąsiadami. Utrwalenie się stosunków międzynarodowych, zniknięcie tak jeszcze do niedawna usprawiedliwionych obaw o stan Skarbu Państwa, usunięcie grozy ciążącej jeszcze przed 2 laty nad naszem życiem gospodarczem, stwarzają pomyślne warunki dla rozważnej i spokojnej pracy Panów. Tem łatwiej będzie więc Panom zużyć swe siły dla podniesienia moralnej i materjalnej kultury, tak silnie u nas zaniedbanej, nie z naszej, lecz z obcej winy.

Życzę Panom, byście czas umieli wyzyskać dla poprawienia powszechnie odczuwanych wad naszego ustroju państwowego, bez którego siły z żadnemi trudnościami uporać się nie będziemy w stanie.

Życzę Panom, byście z najlepszą wolą, licząc się z realnemi potrzebami życia, szukali rozwiązania wielkiego zagadnienia harmonijnego współdziałania władz Państwa i to zarówno przez położenie nowych podstaw prawnych w tej dziedzinie, jak i przez zdrowe obyczaje codziennego życia. Wreszcie życzę Panom w Waszej pracy owocności, którą osiągnąć można, jak w każdej zresztą ludzkiej działalności, tylko wtedy, gdy wysiłki swoje i uwagę kieruje się na rzeczy istotne.

Podpisane przez p. Prezydenta.

W imieniu p. Prezydenta ogłaszam Sejm za otwarty.

Według ustanowienia p. Prezydenta porządek dzienny dzisiejszego posiedzenia ma być:

1) przeprowadzenie ślubowania posłów,

2) wybór Marszałka Sejmu.

Według woli i mniemania p. Prezydenta przewodniczyć zebraniu będzie p. poseł Bojko. Proszę pana posła o zajęcie miejsca.

Jako prezes Gabinetu zaświadczam, że p. poseł Bojko złożył i podpisał ślubowanie poselskie na ręce p. Prezydenta w mojej obecności dzisiaj na Zamku.

## O PRZYCZYNACH REZYGNACJI ZE STANOWISKA SZEFA RZĄDU.

(30.VI.1928 r.)

*W ostatnim tygodniu czerwca r. 1928, po zamknięciu przez Prezydenta Rzeczypospolitej w dniu 22.VI. tegoż roku zwyczajnej i budżetowej sesji Sejmu i Senatu, Marszałek Piłsudski w ciągu kilku dni rozważał sprawę rekonstrukcji gabinetu, omawiając ją z Prezydenttem Rzeczypospolitej, wicepremjerem Bartlem, tudzież na posiedzeniach Rady Ministrów. W wyniku tych narad Marszałek Piłsudski postanowił zrezygnować ze stanowiska szefa rządu. Prezydent Rzeczypospolitej przychylił się do przedstawionej Mu prośby i udzielił dymisji Marszałkowi oraz wszystkim członkom Jego gabinetu, podpisując w tymże dniu dekrety, mianujące nowy gabinet. Na czele nowego rządu stanął dotychczasowy wicepremjer prof. dr. K. Bartel. Zmiany personalne dotknęły tylko dwóch tek: komunikacji (do gabinetu wszedł inż. Alfons Kühn) i oświaty (do gabinetu wszedł dr. K. Świtalski), — poza temi nominacjami wszyscy ministrowie z poprzedniego gabinetu pozostali na dawnych stanowiskach (Marszałek Piłsudski zachował tekę M. S. Wojsk.).*

*W związku z tą rekonstrukcją gabinetu Marszałek Piłsudski w dniu 30 czerwca 1928 roku udzielił prasie wywiadu, w którym mówił o przyczynach rezygnacji ze stanowiska szefa Rządu. Właściwy wywiad poprzedziła krótka rozmowa z przedstawicielem prasy o powodach, które skłoniły Marszałka do publicznego wypowiedzenia się.*

*„Marszałek — pisze „Głos Prawdy" — pełen swego kapitalnego humoru, tryskający dowcipem i salwami śmiechu, gestykulując żywo i z olbrzymią ekspresją, pełen młodzieńczej werwy — jest czarujący. Przedstawiciela prasy przyjmuje srogo. Co za radość bije od tej srogości.*

— Chce pan wywiadu? Oho!... to nie taka łatwa sprawa.

*„Niestety, wiemy, że niełatwa. Ostatni wywiad uzyskał „Głos Prawdy" od Marszałka 23 grudnia 1926 roku w sprawie Litwy. Wówczas to rozpoczął się szał Waldemarasa. Marszałek ostrzegał. „Głos Prawdy" drukował to ostrzeżenie w numerze świątecznym dnia 24 grudnia 1926. Od tego czasu Marszałek nie wypowiadał się publicznie. Jak będzie teraz?*

*Marszałek przygląda się osobie „przedstawiciela prasy" przymrużonemi oczyma. Z pod gęstych rzęs błyszczy ognik figlarny. Długą chwilę milczy i uśmiecha się pod wąsem sumiastym.*

*Wreszcie energicznym gestem przerywa milczenie.*

— Dobrze, dam wywiad. Ale...

*Od takich „ale" bieleje włos — możnaby powiedzieć, trawestując słowa rewolucyjnej pieśni. Jednak obecne „ale" okazuje się nie groźne.*

— Po pierwsze: wszystko, co powiem, musi być wydrukowane bez żadnych zmian i opuszczeń. Wolno wam pisać komentarze, jakie chcecie, ale zmieniać moich słów nie wolno. To warunek pierwszy.

— *A drugi? — pytamy pośpiesznie.*

— Drugi jest następujący. Widzicie, ja umyśliłem sobie uczynić mały luksusik, na który termin już mi zapadł. Na ten luksusik muszę koniecznie zapracować specjalnie pieniądze. Otóż postanowiłem, że pracą tą będzie wywiad dla prasy.

— *Oczywiście z radością przyjmujemy te srogie warunki Marszałka. Ale duch niedyskrecji unosi się w powietrzu. Ryzykujemy tedy pytanie:*

— *Czy mógłby Pan Marszałek zdradzić tajemnicę tego luksusiku?*

— Oho!... No, ale dobrze. Nie wiem tylko, czy pan będzie zadowolony z tego, co powiem, ale... niech będzie. Już przed trzema laty spotkałem dwoje istot, które mnie niezmiernie rozbawiły. Dążyły one do bardzo skromnego, lecz zupełnie wspólnego im celu. Celu, który, sądziłem, rozmawiając z nimi, jest dla nich i miłym, i nawet jakgdyby czyniącym życie bardziej radosnem. Na drodze do realizacji wspólnych usiłowań stały jedynie słowa i pojęcia, inaczej formułowane. Ile razy byłem przy rozmowach tych istot, tyle razy pękałem ze śmiechu, gdyż oboje zaczynali rozmowę tak, że prowadziła ona do kłótni, nigdy do zgody. Wobec tego, że w Polsce spotykam to zjawisko bardzo często, wziąłem ich sobie za typ, za coś, co jest zupełnie stylowem dla stosunków polskich. I dlatego rok rocznie parę razy sprawdzałem, jakżeż ta wspólna praca życiowa tych istot wygląda. Przy jednem takiem sprawdzaniu usłyszałem najbardziej okrutne odezwanie się

jej do niego: „Jeżeli pan znowu zaczyna w ten sposób, jak zwykle, to ja z panem przestaję mówić i nigdy widzieć się nie będę". Dlatego też, gdy w tym roku przy sprawdzaniu dowiedziałem się, że te istoty, w jakiś niewytłumaczony dla mnie sposób, podały sobie ręce do zgody i zdecydowały się, w daleko gorszych, niż dawniej, warunkach, na wspólną życiową pracę, postanowiłem sobie zarobić zupełnie specjalnie, poza budżetem domowym, parę tysięcy złotych, aby nieco ulżyć tym istotom i choć trochę zmienić niesprzyjające im być może warunki. Nazwisk naturalnie nie wymienię, gdyż nie chcę przeszkadzać tak zbożnemu porozumieniu przez „gazeciarzy", a może i interpelację w Sejmie.

*Jakże bezosobisty jest Komendant, nawet w swoich luksusikach. Jakże wielkie ma serce ten mocny, groźny dla przeciwników człowiek. Tem sercem zdobył wolność dla Polski i Polskę dla siebie. Tem sercem uczy ją, piastuje, strofuje i gromi. Gniewa się czasem, bo kocha; gryzie, ale sercem gryzie.*

*Lecz zmierzamy do tematu: dlaczego porzucił Marszałek urząd szefa gabinetu?*

*Chwila zadumy, papieros nieodłączny, choć przez lekarzy znienawidzony, i Marszałek rozpoczyna swoje energiczne, a zarazem i spokojne wyjaśnienia:*

Jeżeli ktokolwiek gdziekolwiek myśli czy sądzi, iż przyczyną mego podania się do dymisji ze stanowiska szefa gabinetu polskiego był stan mego zdrowia, — grubo się myli. Panowie lekarze, których zwołałem, na moje pytanie, postawione zupełnie oficjalnie i brzmiące:

— Czy Marszałek Piłsudski jest zdolny do peł-

nienia tych obowiązków, które dotąd pełnił, czy też nie? —

jednozgodnie odpowiedzieli, że o zdolności nie mogą w żaden sposób wątpić i nie mogą mi nie powiedzieć, iż wszystkie badania, nawet najbardziej sztuczne, wykazują zdolność niezmniejszoną. Coprawda, dodali, iż skłonni są przypuszczać, że ten nadzwyczajny wydatek energji i siły, który czyniłem, pełniąc kilka urzędów jednocześnie, należy do przekroczeń, nadwyrężających niechybnie zdrowie człowieka, który to czyni. Lecz zdolność nie została w żaden sposób nadwyrężona.

Dlatego też, będąc człowiekiem, który sam jedynie rozporządza swojem zdrowiem i życiem, mogę zachować wszystkie urzędy, które dotąd miałem, kosztem nadwyrężania mego zdrowia, które zresztą całe życie tak samo nadwyrężałem.

Mógłbym był także, za zgodą p. Prezydenta, a przypuszczam i za zgodą kolegów - ministrów, z którymi tak długo pracowałem i u których — jak sądzę — cieszę się wielką sympatją, wziąć dłuższy urlop, któryby dał mi możność postawić moją maszynę na nowo na szyny, by znowu zdrowie sobie nadwyrężała.

Jeżeli jednak tego nie uczyniłem i wniosłem p. Prezydentowi podanie o zwolnienie mnie ze stanowiska szefa gabinetu, to uczyniłem tak z innych motywów i z innych powodów, które tu wyłuszczę, gdyż postanowiłem publicznie je wyjaśnić tak, jak wyjaśniłem na posiedzeniu rady gabinetowej w obecności P. Prezydenta na Zamku.

Pierwszym motywem jest fakt, iż nie znoszę organicznie urzędu szefa gabinetu, tak, jak on jest u nas postanowiony konstytucyjnie. I dla-

tego przez cały czas pełnienia tego urzędu przestrzegałem p. Prezydenta, nż nie będę w stanie długo tego urzędu znosić i ciągle Mu doradzałem, by przygotował sobie w myśli conajmniej trzech czy czterech ludzi, którzyby kolejno mogli pełnić ten urząd tak, by spocząć mogli od pełnienia urzędu, tak nonsensownie postawionego przez naszą konstytucję, jak to jest teraz.

Dla wyjaśnienia tej sprawy muszę porównać— co stale przy pełnieniu tego urzędu czyniłem — urząd prezesa gabinetu z urzędem Prezydenta.

Prezydent, w naszej konstytucji, jest postawiony w sytuację najbardziej fałszywą, jaka dla człowieka stworzoną być może. Gdy z jednej strony jest reprezentantem Rzplitej Polskiej wszędzie i ciągle, to z drugiej strony niema żadnego prawa, aby mógł w jakimkolwiekbądź stopniu reprezentować siebie, swoje myśli, lub swoją pracę. Gdy więc jest najspecjalniej ze wszystkich wybrany na to, by był jeden, sam i stał najwyżej, to odebrano mu konstytucyjnie nawet cień jakiejkolwiek władzy, jakiejkolwiek możności ulżenia sobie w sytuacji i zrobienia z tak wyjątkowej pracy — na którą, dodam, wyjątkowo najzupełniej przysięga — czegokolwiek, by mógł czuć się, jako człowiek, a nie jak jakiś podrzutek, rzucony na łaskę i niełaskę wszystkich.

Dość panom powiedzieć, że niema on prawa stworzyć sobie najbliższego otoczenia, nawet jeśli chodzi o lokajów czy pokojówki, bez innego człowieka, który może się na jego wybór nie zgodzić i narzucić mu osoby, dla niego niechętne. To znaczy, że naród przez swą konstytucję postępuje z człowiekiem wybranym, który moralnie bę-

dąc jedynym i stojąc najwyżej — odpowiada przed historją, postępuje tak nikczemnie i tak bezecnie, jak nie postępuje nikt w świecie nawet ze swoją utrzymanką, lub z osobą najzupełniej od siebie zależną.

Nie mogę przytem nie dodać, że męczy mnie w tym wypadku stale wspomnienie mojej osobistej historji, gdy byłem Naczelnikiem Państwa, i gdy po wojnnie, zwycięsko przeze mnie przeprowadzonej, jako Naczelny Wódz, zdecydowałem po długich wahaniach nie robić nic i pozostawić Polskę samą sobie. Wahania zaś moje tyczyły się rozstrzygnięcia pytania: Czy mam sejm, tak zwany suwerenny, sejm ladacznic — że nie użyję słowa, którem ówczesny Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w swoich rozumowaniach stale sejm określał i które z powodu ludowego i jaskrawego brzmienia doskonale i ściśle charakteryzuje sejm suwerenny — rozpędzić i nacisnąć go nogą zwycięzcy tak, jak na to zasługiwał — czy też wybrać tę drogę, którą istotnie historycznie wybrałem — pozostawić Polskę samą sobie. Może, gdybym był stanął na pierwszej drodze, nie potrzebowałaby Polska przeżywać później wypadków, tak zwanych majowych.

Sejm ladacznic, pracujący w owe czasy nad konstytucją, w swoich obliczeniach co do wyboru przyszłego Prezydenta Rzplitej nigdy nie wahał się co do swoich przypuszczań, iż na to stanowisko wybrany będzie nie kto inny, jak popularny nadzwyczajnie w całym Narodzie, nigdy nie umiejący się shańbić chciwością pieniężną człowiek, który swoją zwycięsko przeprowadzoną wojną i siłą charakteru wyprowadził Polskę

z chaosu i dał Jej znacznie większe granice, niż te, które dla niej zakreślano wszędzie. Dlatego też praca konstytucyjna poszła w kierunku zrobienia przyszłemu Prezydentowi tylu przykrości i tyle — powiem — hańby życia, ile tylko zdziczałe i potwornie głupie umysły mogły wymyślić.

Chciano w ten sposób, jak ja to określam, konkurenta suwerenności posłów zasunąć gdzieś w kąt i zasypać możliwie śmieciem. Jeżeli ten niecny zamiar nie dotknął mnie, zaszło to jedynie dlatego, żem spsocił im historję i najspokojniej od pełnienia tego urzędu się usunął. Wtedy, jak wiadomo — Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej naprzód shańbiono bezecnemi manifestacjami, a potem zabito — był to mój serdeczny przyjaciel, — aby konkurent suwerenności posłów wiedział i rozumiał, czem grozi walka z suwerenami.

Przy pozostawieniu Prezydenta bez władzy, przy stworzeniu mu wszelkich możliwych świństw i wszystkich niecności, jakie są możliwe do pomyślenia, przeciwstawiono jemu, jako mającego te świństwa i niecności robić, nie kogo innego, jak szefa gabinetu.

Szef gabinetu w naszej konstytucji, w naszych zwyczajach i obyczajach wygląda jak omnipotens, czyli wszechpotężny. Względnie niedawno, przy przeszłym sejmie, spróbowałem wykorzystać tę omnipotencję w kierunku odwrotnym, niż to myśli konstytucja, t. zn. w kierunku odwrotnym, niż Prezydenta, odmówieniem zapłacenia pensji posłom, suwerenom, żeby i ich przekonać o omnipotencji pana szefa gabinetu.

Jednak ta omnipotencja, czy wszechpotęga ma swoje duże i liczne Schattenseite, czyli ciemne strony.

Zgodnie z mojem pojęciem o pracy ludzkiej „wszystko“ łączy się zawsze znakiem równania ze słowem „nic“. Gdy szef gabinetu ma opinjować wszystko i do wszystkiego swój palec przyłożyć, to jeśli sumiennie ten obowiązek wypełnia, napewno nie robi nic i czyni pracę swoją nieproduktywną, nieefektywną. Być może, iż mądry sejm ladacznic suwerennych miał i to na myśli, ażeby możliwie dużo suwerenności specjalnie do kas skarbowych — zachować dla siebie, dla posłów do sejmu.

Jeżeli w przeciągu mego prawie dwuletniego urzędowania, jako prezes gabinetu, mogłem uczynić względnie dużo i wiele, to wyznaję, że stało się to możliwem jedynie dlatego, że dużą część swojej jakoby omnipotencji zrzuciłem na pomocnika swego, p. prof. Kazimierza Bartla i w ten sposób oswobodziłem sobie czas na myśli i na wynalezienie metod do przeprowadzenia choć małej części tego, com zamierzał, stanąwszy na urzędzie szefa gabinetu polskiego. Rozumiem jednak dobrze, że gdybym sumiennie wypełniał wszystkie obowiązki szefa gabinetu, to nie zrobiłbym nic i to absolutnie nic w Polsce.

Na radzie gabinetowej u p. Prezydenta na Zamku, stwierdziłem, że urząd szefa gabinetu jest dlatego tak uciążliwym, iż całem zajęciem takiego pana jest niańczenie wszystkich podrzutków, które wszyscy mu podrzucają. A że pochodząc z pod Wilna, słyszałem nieraz przekleństwo,

brzmiące: „kat by twoje dzieci niańczył", z trwogą myślałem o doli takiego nieszczęśnika.

Więc idą naprzód wszyscy panowie ministrowie, mili moi koledzy gabinetowi, którzy ciągle i ustawicznie, czy to przy przeszkodach w swojej pracy, czy to chcąc coś uczynić extra, czy to zgodnie z polskim charakterem, prowadząc spory między sobą, podrzucają szefowi gabinetu kochane, pieszczone, a niekiedy zamorusane i niekochane dziatki do niańczenia. Sam proces tak zwanego „uzgadniania", który w procesie urzędniczym u nas zajmuje tak wygodne i tak wściekle rozłożyste miejsce, trwa zwykle tak nieznośnie długo i tyle zużywa papieru, iż wyznam otwarcie, że pomimo, iż proces ten jest nakazany maszynie państwowej, ani razu nie ośmieliłem się dotknąć stosu arkuszów, zapisanych maszynowem pismem, ze strachu, bym nie poszedł do szpitala warjatów. A jednak było to moim bezpośrednim obowiązkiem.

Wynalazłem sposób najodpowiedniejszy — zdaniem mojem — uzgadniać samych panów ministrów, a nie ich urzędników, pozostawiając ministrom samym czytanie elukubracji ich urzędników, potrzebnych jakoby do procesu uzgadniania.

Namiętność do centralizacji, istniejąca w sposób śmieszny i głupi w naszym narodzie, czyni pracę tak zabawną pod względem prawnym, że prawie trzy ćwierci porządku dziennego każdej rady minitrów, wypełniają kwestje, jak: zmiany granic gmin w poszczególnych częściach państwa; pozwolenia na kupno nieruchomości cudzoziemcom; pozwolenia dla poszczególnych obywateli Polski na wstąpienie do Legji Cudzoziemskiej we Francji, zmiany na stanowiskach

urzędowych względnie bardzo niskiej klasy, wszystkie odznaczenia z jakiemkolwiekbądź odznaczeniem naszem czy cudzoziemskiem, no i podobne jeszcze pięknotki naszych urządzeń państwowych. Do wszystkich tych rzeczy pan prezes gabinetu musi rączkę przyłożyć i paluszkiem wycisnąć swoje placet. Przy sumiennem — powtarzam — spełnianiu swych obowiązków, omnipotencja zniknąć musi gdzieś w powodzi papierów i to mnóstwo podrzuteczków tak maleńkich i tak drobniutkich, zajmujących chociażby po trzy minuty czasu, zalewa swą liczbą tak szalenie prawdę o omnipotencji, że znika ona zupełnie, pozostawiając biednemu człowiekowi „ino sznur". Do liczby tych podrzutków dodać należy namiętność protekcyjną Polaków i Polek, którzy i które z podziwu godną uporczywością chcą ustawicznie i ciągle tylko pięciu lub trzech minut dla tego, aby z szefa gabinetu zrobić albo pokątnego doradcę w ich prywatnych interesach, albo sędziego i eksperta w wynalazkach, to zwykle zajmuje pół godziny czasu, w pięciu minutach nie da się załatwić — albo uczynić go wykonawcą ich chęci usunięcia jakiegoś funkcjonarjusza państwa lub odwrotnie, wyznaczania na nieistniejące etaty nadzwyczajnie godnych młodzieńców, lub też zwolnienia od odpowiedzialności za nadużycia skarbowe całego mnóstwa niezwykle miłych i niezwykle serdecznych ludzi, którzy tylko przez namowy i jakieś dziwne machinacje sięgnęli palcami do worka skorbowego; albo wreszcie przy wysokiej znajomości jurysprudencji wśród Polaków i Polek — zatrzymania lub nawet skasowania procesów cywilnych.

Liczba więc podrzutków w ten sposób wzrasta bezmiernie, tak, że nie można nie znienawidzieć tego urzędu. Panowie zaś lekarze w swojem orzeczeniu stwierdzili, iż jedynym jeszcze ratunkiem przy pełnieniu tych urzędów jest dla mnie zaniechanie jakiejkolwiek walki ze sobą, gdyż ta najwięcej kosztuje i najwięcej może zdrowie nadwyręża. Gdy ten wyrok usłyszałem, byłem najzupełniej zdecydowany prosić p. Prezydenta o dymisję, gdyż przy mnóstwie podrzutków, które szef gabinetu ma do pilnowania, można się wściekać, lecz można też nie walczyć ze sobą. Natomiast, gdy pomyślałem o jednym obowiązku szefa gabinetu, zgóry sobie powiedziałem, iż spokojnie pełnić go nie mogę — mówię tu o smutnej konieczności dla szefa gabinetu — współpracowania z sejmem. Gdybym nie walczył z sobą, tobym nic innego nie czynił, jak bił i kopał panów posłów bezustanku, gdyż mają metodę pracy taką, która zgóry przeczy wszelkiej efektywności i produktywności tej pracy.

Gdy z uśmiechem patrzę na to, jak małe dzieci uroczyście i z nadzwyczajną powagą rozmawiają z lalką, jako z żywą zupełnie istotą, gdy nakazują jej różne czynności i same za nią tę czynność wypełniają, gdy — jak to u córek zauważyłem — posadziwszy przy sobie lalkę podczas obiadu, przysuwają do porcelanowej buzi łyżkę zupełnie poważnie, to mogę się uśmiechać, lecz, wyznaję, brać udziału w tej pracy nie jestem w stanie.

Lecz gdy panowie, tak szczerze i nienawistnie konkurujący w suwerenności z Panem Prezydentem i zazdrośnie strzegący swoich niczem nie za-

służonych przywilejów, używają w pracy tych metod najzupełniej nonsensownych, jak małe dzieci, podsuwające łyżkę strawy do porcelanowej buzi, to ja nie jestem w stanie ani tego słuchać, ani na to patrzeć. Sam proces pracy, polegający na pracy mówienia, należy do pomysłów najbardziej potwornych, jakie kiedykolwiek ktokolwiek wymyślił.

Sam należę do mówców, którzy, jak to widziałem na salach, umieją wzruszyć, umieją znaleźć formę, umieją powiedzieć tak, iż sala jest przykuta do ust mówcy. Lecz gdyby mnie kazano w przeciągu paru tygodni codzień przemawiać publicznie, tobym sam siebie uważał za publiczną szmatę.

Tymczasem panowie posłowie mogą to czynić w sali sejmowej w przeciągu nie paru tygodni, lecz paru miesięcy. I trzeba widzieć tę salę, wysłuchającą tych przemówień w sposób, najbardziej ubliżający powadze i porządkowi i panów posłów, zachowujących się tak, jakby ta sala była szynkiem. Gdy jeden mówi, piętnastu panów chodzi po sali, załatwiając jakieś prywatne interesiki — czterdziestu panów głośno między sobą rozmawia, pokazując mówcy plecy — stu panów opowiada sobie anegdotki mniej lub więcej nieprzyzwoite i tylko panowie ministrowie muszą jakoby zachowywać się w takiem miejscu przyzwoicie. Każdy z posłów ma prawo wrzeszczeć, krzyczeć, ma prawo rzucać obelgi, ma prawo oszczercze pisać interpelacje, dotykające honoru innych, ma prawo i przywilej zachowywać się, jak świnia i łajdak, natomiast ci, co tak ciężko pracują, jak to jest z ministrami, pobierając za sza-

loną pracę jakieś głupie grosze, muszą zewnętrznie udawać nadzwyczajny dla tej sali szacunek.

Wszystkim panom posłom wolno mówić od rzeczy, nie przystępując ani jednym słowem do sprawy, która jest na porządku i mówić to często tak nudno, tak piekielnie nużącym językiem i formą, że można dostać boleści żołądkowych.

Ładnieby wyglądała ta sala, gdybym, słuchając zaleceń doktorów, nie zechciał walczyć ze sobą.

Stwierdzam stanowczo, że tych piekielnych nudów, które z sali sejmowej wieją, nie mógłbym wytrzymać nawet pół godziny. Przy przeszłym sejmie, który zawsze nazywałem sejmem korupcji, nieraz musiałem się przygotowywać do przemówienia, jako szef rządu, zgóry będąc przygotowany, gdy przemówię publicznie z tej sali, będzie to ostatni dzień posiedzenia sejmu. Miałem wtedy przygotowanych parę określeń metod pracy sejmowej, które tu powtórzę. Gdy byłem przygotowany mówić o metodzie pracy za pomocą stałych i ustawicznych przemówień, chciałem stwierdzić, że atmosfera w kraju przesiąka stopniowo nudą bardzo silnie i do tego stopnia, że staje się trującą. „Nawet lotne muchy nie wytrzymują waszego, panowie posłowie, gadania, do tego stopnia, iż żadna na inną muchę już nie skacze, a gdy która leniwie to uczyni, to tamta nawet skrzydełek nie podnosi, napół już zdechła z nudów".

Chciałem przytoczyć jedno miłe bardzo dla mnie porównanie ,które uczynił — mówiąc o pracy parlamentarnej — jeden z wybitnych parlamentarzystów francuskich. Twierdził on, iż gdy myśli o pracy parlamentarnej, w której żywy

brał udział, widzi na szynach ciężką lokomotywę, pracującą pełną parą; widzi palaczy, podrzucających pod kocioł olbrzymiemi łopatami węgiel; maszynę, ślizgającą się po szynach z powodu ciężaru, który za sobą wlecze i... zaprzężoną nie do czego innego, jak szpilki, jako produktu ciężkiej pracy maszyny, przeciąganego na niewielką przestrzeń.

Osobiście znalazłem i inne porównanie, mianowicie: w kryminalistyce angielskiej był okres czasu, gdy pod naciskiem t. zw. czartystów, czyli związków zawodowych, postanowiono zaniechać konkurencji taniej pracy więźniów, skazanych na ciężkie roboty (Hard labour). Zdecydowano wtedy zająć więźniów ciężką pracą bez żadnego efektu. Zbudowano mianowicie na strychach więzień duże miechy, poruszane siłą mięśni ludzkich i wydmuchujące powietrze do powietrza. Zmuszano więc więźniów do katorżnej pracy w pocie czoła bez żadnego efektu i ujrzenia celu tej dziwnej pracy. Musiano jednak ze względów humanitarnych zaniechać tego systemu po pewnym czasie, gdyż jedna trzecia więźniów przeszła do szpitali warjatów. Ileż to razy, gdy przyglądałem się systemowi pracy sejmu, który w pocie czoła, nudnie i przewlekle próbuje przekonać świat, że najlepszą metodą technicznej pracy jest wygłoszona od rzeczy mowa, przypominałem sobie tę trzecią część biednych katorżników angielskich, co od głupich miechów, dmuchających powietrze w powietrze, zmieniali swój pobyt w domu dla Hard Labour na hałasy, krzyki i nonsensowne działania mieszkańców szpitala warjatów.

Dodam, dla uniknięcia jakiegokolwiek nieporozumienia, że sam osobiście, jako dyktator Polski, sejm zwołałem, że mogąc zgnieść, jak robactwo, sejm ladacznic, po zakończonej zwycięsko wojnie, tego nie uczyniłem, że cały czas, jako szef gabinetu, postępowałem bardziej konstytucyjnie, niż sam sejm i że zatem nikt oskarżyć mnie nie może o braki demokratycznych pojęć, będących w mojej głowie. I bardzobym życzył, aby panowie posłowie nie identyfikowali swojej metody pracy z demokratyzmem. Zaszczytu swą pracą demokratyzmowi nie przynoszą.

Gdy więc trzeci Sejm Rzplitej rozpoczął swą pracę i ja miałem możność, jako szef gabinetu, widzieć nowe triumfy metody pracy sejmu, tak sprzeczne z moją duszą, która nie znosi pracować bez efektu widocznego i tak sprzecznie z moim organizmem, który kwadransu jednego nie może siebie upodabniać do owej małej, nędznej, napół zdechłej muchy, zdecydowałem, że mam do wyboru raz jeszcze: zaniechać wszelkiej współpracy z sejmem i stanąć do dyspozycji Pana Prezydenta, aby oktrojować nowe prawa w Polsce, albo ustąpić ze stanowiska szefa gabinetu polskiego, który musi z sejmem współpracować.

Wybrałem to drugie i dlatego przestałem być szefem gabinetu polskiego. Powtórzyłem przytem Panu Prezydentowi raz jeszcze moją radę, by szukał pozamną i p. Kazimierzem Bartlem jeszcze kilku ludzi, którzyby Hard labour pracy szefa gabinetu wytrzymywać czas pewien mogli. Z drugiej strony dodałem, że przy każdym cięższym kryzysie staję do dyspozycji Pana Prezy-

denta, jako szef gabinetu, biorący śmiało decyzję na siebie i wyciągający równie śmiało konsekwencje ze swoich decyzyj. Dodam, że za obopólną zgodą Pana Prezydenta i szefa gabinetu, p. Bartla, dyrektywy szefa gabinetu w stosunku do polityki międzynarodowej polskiej, jak dawniej, pozostają w moim ręku.

## PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W WILNIE.

(12.VIII.1928 r.).

*W sierpniu r. 1928 odbył się w Wilnie 7-my z kolei zjazd Legjonistów. Marszałek Piłsudski wziął w tym zjeździe osobisty udział, wygłaszając, jak i w latach poprzednich, dłuższe przemówienie. Według doniesienia Polskiej Agencji Telegraficznej, — „już na długo przed godziną 17.45, na którą zapowiedziane było przemówienie Marszałka Piłsudskiego, przed gmachem „Reduty" zaczęły się gromadzić tłumy publiczności. Władze bezpieczeństwa z trudem utrzymywały porządek wśród zebranych tłumów. Sala wypełniona była szczelnie, tak, że nie tylko były zajęte wszystkie miejsca siedzące, lecz również i wszystkie przejścia. Scenę udekorowano kwiatami. Na tylnej ścianie umieszczono dużych rozmiarów medaljon Marszałka Piłsudskiego z bronzu na marmurze, przeznaczony do sali Senatu. Na tle sztandarów zasiedli na scenie pp. ministrowie, generalicja, wojewodowie, książęta kościoła, posłowie, senatorowie i wielu innych dostojnych gości, którzy zajęli również pierwsze rzędy na widowni. Pomiędzy sceną a widownią zasiedli najwybitniejsi dziennikarze zagraniczni oraz re-*

*daktorowie i korespondenci pism, przybyli z całego kraju. Wśród dziennikarzy zagranicznych obecni byli również dziennikarze literoscy", którzy w przededniu uroczystości przyjechali z Kowna do Wilna. Przemówienie Marszałka, — „wielokrotnie przerywane huraganowemi oklaskami i entuzjastycznemi okrzykami" — brzmiało dosłownie, jak następuje:*

„Szanowne Panie i Kochani Koledzy!

Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni goryczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach. Do szkoły tu chodziłem i do miasta. Uczyłem się tu przywiązywać, uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać. Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam goryczy, nie wołam zgrzytów.

Gdy nad tematem mowy swej namyślałem się, szukałem zwykłych, najzwyklejszych tematów, znalazłem jeden, być może nieudolny, lecz o nim mówić będę, mówić o lingwistyce — do klasycznej szkoły tu chodziłem. W lingwistyce nigdym nie był mocny, przeciwnie dość wielki wstręt do języków odczuwałem, lecz w przebiegu mego żywota siedziałem w tylu więzieniach i tyle lat życia swego w samotności spędziłem, żem czuł pociąg do zastanawiania się nad słowami i nad pojęciami, które te słowa oznaczają. Będę mówił o jednem słowie tak, jak nieraz w samotności nad tem słowem myślałem. Słowo to w języku polskim brzmi „miły". Słowo, które się na inne języki ledwo daje tłumaczyć. Gdy szukałem w innych językach odpowiednika, nigdziem go nie znalazł. Słowo „miły" synonimowo nie da się oznaczyć. Jeżeli słowo przybliżone, jakiem jest

„piękny“, nawet „ładny“ — weźmiemy, to „miły“ niekiedy jest przeciwstawne do tego, co piękne, do tego, co ładne. Mówimy: „miły wyraz twarzy“, mówimy: „miły uśmiech“, mówimy: „miłe przeżycia“. A pojęcie piękna w tem nie istnieje. Miła rzecz nie jest piękna. Inna prawda duszę przykuwa. Inna myśl przyciąga. „Miły“, gdy dobrze pomyśleć, jest miłym i basta. Nie znajdziemy żadnego odpowiednika, któryby temu słowu odpowiadał, lub go jako tako tłumaczył. Jest w tem czar i urok. Urok i czar, który jest silniejszy nad moce i piękniejszy nad piękno, który daje chwilę przyciągającą i duszę skuwającą ku sobie, tak że niebo wprowadza na ziemi. I gdy myślę znowu o pojęciu „miły“, sądzę, że najłatwiej to sobie wytłómaczyć, gdy miłe przeżycia ku sobie przywołam, gdy zacznę tłumaczyć słowo „miłe“ tem, co dla ludzi wszystkich jest miłe, co mówi o miłem. I pierwszą rzeczą, którą wezmę, są prawa matczyne. Ileż to dzieci próbowałem przekonać, że matka ich jest brzydka. Pomimo, że niełądna była, każde dziecko zacięcie się broniło. Nie spotkałem dziecka, któreby mogło stwierdzić, że matka jest brzydka i gdy nie mogło słowa „piękna“ wykrztusić, odrazu zgadzało się ze mną, że matka jest miła. Matczyne łono, matczyne pieszczoty, pieściwe pieszczoty dziecka, które serce matki wyczuwa i z siebie wyrzuca; gdy dziecko w trwodze się budzi, pierwsze spojrzenie widzi nad sobą matki schylonej, by pieszczotą gładzić dziecko, by je uspokoić. Gdy dziecko silniej zaszlocha, matka dziecko zawoła, by je uspokoić, ku sobie przywiązać i szloch w piersi zdusić. I ileż wspomnień! Gdy mówię o matkach, ileż miłych

wspomnień i miłych przeżyć ciągnie się ku temu, co matczyne i miłe.

Przyjdę do drugiego przeżycia, tak ciężkiego u nas, co dziećmi jesteśmy. Każdy z nas przeżywał okresy, gdy był złamany, gdy pierś ciężko oddychała, a poranek, gdy budził człowieka, budził go z uczuciem ciężaru. Każdy to przeżywał, a gdy w ciężkiej prawdzie życia i gdy w ciężkich prawdach przeżycia pieszczota zgryzotę dusi, gdy oddech powraca do piersi i zmarszczki na czole wygładza, gdy pomoc człowieka znajduje, by nie być szmatką zmarniałą, niezdatną do życia, to wtedy te przeżycia są miłe, zostają w pamięci, nie znikają.

Jeszcze jedna, może najbardziej jaskrawa prawda „miłego". Jest nią dziecko. Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bat i człowiek się z sobą mocować musi, aby wytrzymać, i wtedy — ramię małego dziecka — dziecka, prawda bezsilnego, co myśleć nie umie, lecz czarownie się uśmiecha, dłońmi pieści tak, jak jedwab, zmarszczki wygładza i troski zwalczać każe. Bezsilność dziecka jest jego potęgą. Niewprawny język, niewprawne członki ciała, ruszając się niezgrabnie, nosek, jak kartofelek, czoło łysawe, ani to piękne, ani siła. Patrzcie, dziecko słabe, ledwo słowo wymówi, a w domu to słabe słowo, jak silne języka słowa, powtarzają. Język dziecka staje się językiem dorosłych. Nowe słowa dziecko tworzy, które zostają u ludzi w pamięci wieki całe. Bezsilność, połączona z siłą, brzydota z pięknem, to jest miłe. To czar — to urok, co serca zniewala, co przykuwa do siebie i mocno ku sobie pociąga.

Jeżeli nie wszyscy panowie tak z dziećmi obcują, jak ja, to jednak dobra połowa ludzkości, matki z dziećmi mając do czynienia, ma te przeżycia miłego tak silne i tak niezłomne, że niosą swe przeżycia z dziećmi aż do grobu.

Gdym myślał, Panowie, o słowie „miłe" i o wszystkich uczuciach, które czarem, urokiem ku sobie skłaniają, zawszem przypuszczał, że człowiek, gdy do grobu idzie, poduszkę wspomnień ze wszystkich swoich miłych przeżyć uplata, tak, by to, co miłe, szeptało strudzonej głowie o tem, co miłe pamięta, i we wszystkiem znajdziemy jedną wielką prawdę. Siłę pieszczoty, co pieściwe dzieła tworzy, co pieściwemi dziełami zmarszczki wygładza, młodość nową daje i daje przeżycia tak silne i trwałe, że wszystkie inne zgładza, a z „miłemi" idzie człowiek do grobu.

Kochani Koledzy, gdy o wszystkich zjazdach myślę, którem widział, przeżywał i które ze sobą porównywałem, zawszem znajdował jedną wielką prawdę dla nas, że zjazdy nasze są bardziej dziecinne, gdy nawet koledzy i koleżanki zwinności nóg nie próbują i niezgrabnych lub zgrabnych podskoków figlarnych nie robią, kiedy w życiu udają dorosłych — a nie dzieci. A gdy Wy, Panowie, się zbieracie, to najczęściej udajecie dzieci, dzieci! Gdy się znajdziecie w jakiem mieście, mury pękają od Was, od waszych krzyków i hałasów, święto z sobą niesiecie, musowe dla innych, święto jakieś, które macie w duszy, gdy się spotkacie. Bezwiednie ku sobie idą ręce, bezwiednie z uśmiechem uśmiech się spotka. Bezwiednie uściskiem się łączą dłonie i usta. Nie-

chętni ku sobie ludzie zapominają o niechęci. I to miasto, które swym zjazdem zaszczycacie, musi mieć święto, gdyż zmuszacie je świętować. Noc zmienia się na dzień. Dzień zmienia się w jakieś okrzyki i hałasy. Ludzie znajdują w sobie powagę życia gdzieindziej, lecz nie na naszych zjazdach i gdym się, Panowie, zastanawiał nad tem, dlaczego te nasze zjazdy do innych zjazdów nie są podobne, dlaczego w nich tyle szczerości i tyle jakiegoś odmłodzenia i dziecinnady, tom szukał długo i badał, nie chcąc uczuciom swoim pozwolić się unieść, subjektywnym wrażeniom, lub subjektywnym sądom.

Moi Panowie! Gdy palec Boży ziemi dotyka, stuletnie dęby ku ziemi gną szyję, a gdy grzmoty i błyskawice po ziemi idą, ptaszyny i ludzie chowają się do schronisk i domów. Gdy palec Boży ziemi dotyka, gdy idzie taka wielka wojna, jaką myśmy przeżyli, to ziemia jęczy i woła, a wyroki gdzieś w niebie wysoko się piszą: dla jednych zatracenie, dla innych odrodzenie. I gdy czasy tak wielkie idą, co świat na inny zmieniają, to, proszę Panów, czasy te nie są na miarę piersi tchórzyków, piersi łotrzyków. Muszą gdzieś iść czasy odrodzenia.

Moi Panowie! Gdyśmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich żołnierzy dokoła i niczem innem myśmy się nie różnili, jak że pierś bujnie czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi. I gdy teraz po tylu latach się spotykacie, tę pieśń odrodzenia, którą ongiś śpiewały piersi, dotąd ją czujecie, bo odrodzenie i wiosna to jedno i gdy wiosna na ziemi idzie, suche badyle się zielenią, suche wierzby

kwitną i zwierzę każde i każdy człowiek pierś ma rozszerzoną. I pieśń miłości, gdy trele słowicze, gdy ryki tygrysów po ziemi idą z potęgą wiosny, gdy idzie odrodzenie, to wszystkie fibry duszy, wszystkie fibry ciała inaczej biją, inaczej śpiewają. I gdyśmy ongiś po naszej ziemi szli w bojach, gdy smutek, gdy boje na ziemi naszej panowały, to myśmy szli do boju, jak do tańca, jak do tańca na równych posadzkach, myśmy szli po drodze do pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc. Większość z was, panowie, młodzi wówczas byli, nie mieli tłuszczu na różnych częściach ciała, nie mieli siwizny na skroniach i z młodą duszą szliście naprzód. I teraz, gdy o was myślę, gdy dzieje wasze badam i gdy się przyglądam wszystkiemu, coście przeszli, zawsze przypominam sobie Słowackiego wierszyk, który wam tu przytoczę: „Młodość miał bardzo piękną, niespokojną, ach, tylko taką młodość nazwać piękną, która wzburzy pierś jeszcze niezbrojną, od której nerwy w człowieku nie zmiękną, ale się staną niby harfą strojną; dopóki piersi z zapału nie pękną; przez całą młodość legjonista bujnie za trzech ludzi czuł, więc żył potrójnie".

Naturalnie, strawestowałem tu trochę Słowackiego, gdyż Słowacki legjonistów nie znał *(oklaski)*.

Gdy w Wilnie mówię, zgrzytów nie wołam, goryczy nie proszę i do pamięci sobie wołam te moje z wami przeżycia, których wiązankę całą mam w pamięci. I nie badam, lecz poprostu wspominam to, co mile, wspominam to, co było mi pieszczotą.

Wśród kilku wiosen, któreśmy razem przeżyli,

pamiętam jedną, co bojem silnym pod Kostiuchnówką była zakończona. Szła wiosna, wiosna polska. Stałem wtedy na kwaterze w zbudowanym i pozostawionym dla mnie szałasie. Szałas był duży. Szałasem go nazwę, gdyż dach miał papierem, tekturą, słomą pokryty i cały domek z desek się składał. Dla elegancji wprawiono nawet szyby. I tych szyb w moim pokoju było kilka. Otwarto wszystkie okna i przez okna wiosna się wdzierała, wiosna polska, jakaś inna od innych wiosen na świecie. Upojny silny zapach sosen z upojnym zapachem bagien; bagna poleskie, bagna siwym mchem pokryte, kwitły i jaśniały wiosną. Upojny las poważnie szumiał, dając żywiczne ciepło i żywiczną gorycz, gdzieś kaczory tęskno nawoływały kaczki, gdzieś na reducie Piłsudskiego strzały brzmiały, wrywając się w wonną wiosnę i wiosnę głuszyły te strzały. A było w nich coś zniewalającego, mnie śmiercią grożąc.

Wiosna szła na mnie, tak, jak na ludzi idzie. Wspominałem wszystkie wiosny, które przeżywałem jedną za drugą. Wiosna w nerwy mi wchodziła. Maj uroczy, z całem nowem ciepłem i nowem życiem w przyrodę wchodzący. Gdzieś przez okno wdzierał się pogwar z daleka, wesołe okrzyki mego sztabu, który pod wieczór zbierał się do anegdot. Byłem sam w pokoju i zwyczajem swoim namiętnie po pokoju chodziłem. Mierzyłem krokami swą małą chatkę. Raz po raz, chwila za chwilą, minuta za minutą, godzina za godziną. Zapominałem się, jak w wiośnie, i pierś chciała głęboko odetchnąć, w przestrzeni głębiej odczuwać wiosnę życia. Wyszedłem. Księżyc srebrzysty kładł swe cienie wesołe i smutne w lesie. Obejrzałem się

dokoła i nagle szloch człowieka usłyszałem. Zwróciłem oczy w tamtę stronę. Księżyc błyskał na karabinie mojej warty, warty dowódcy, co na straży swego odcinka stała. Spojrzałem, szary żołnierzyk skulony na płocie, płakał. Wstyd mi się zrobiło. Podszedłem ku niemu zobaczyć i spytać, czemu płacze — może mu pomóc potrafię. Miłe chłopię, oparte piersią na płocie, ręką spoczywało na karabinie i szlochało. Podniosłem jego twarz i ujrzałem: — twarz małego chłopca, dziecinna, stał na warcie i płakał, jak dziecko: łzy mu z oczu się lały, tak jak u dzieci. Twarz młodociana i karabin przy nim. Pierś rozrywał mu szloch, tak, jak rozrywa szloch pierś mężczyzny. Pogładziłem go po twarzy i spytałem: Chłopcze, co ci jest? Myślałem, może mu w rodzinie ktoś umarł, może biedak płacze po objęciach zdradliwej kochanki, może urlopu ci trzeba (dam ci urlop). Przylgnął ustami do mej ręki i szlochał jeszcze silniej. Uspakajałem go, jak mogłem. „Komendancie — ryczał chłopiec — ja nie mogę już patrzeć, jak Komendant się męczy i jak pomóc w niczem Komendantowi nie mogę". I zaczął mówić takie brednie, niesłychane jakieś rzeczy o tem, jakby się zakradł do Komendanta, jakby chciał mu całą czekoladę rzucić pod nogi, bo Komendant tak ją lubi. Ot brednie dziecka - żołnierza, nie umiałem go nawet pocieszyć. Cóż zrobić z takim malcem, który płacze, na warcie stojąc, na karabinie się opierając, i płacze nad męką Komendanta, chcąc mu coś z siebie ofiarować, coś dać poprostu człowiekowi, co się za nich męczy. Chłopak mi nieznany, z twarzy niewidziany, jako chłopię małe stał zawsze w tylnych szeregach — drągali zawsze naprzód stawiali. Pieścił wodza, płacząc nad jego męką.

Biegnę do innego wspomnienia. Pamiętam dzień moich imienin we Lwowie. W r. 1916, po ciężkiej chorobie, której na Polesiu się nabawiłem. W teatrze szła wielka zabawa, jak zwykle, walce, śpiewanie, bicie mi brawa, krzyki: Niech żyje Piłsudski!

A potem szły inne czasy nieco. W Austrji zostałem zaproszony na obiad do komendy miasta. Jestem na tym obiedzie. Koło mnie dla grzeczności usadowiono oficerów, którzy mówią po polsku, chcą ze mną po polsku rozmawiać. Rozmawiamy przy czarnej kawie. Opowiada mi major zdarzenie, które miał z żołnierzami Pierwszej Brygady. Powiedział mi on: Szedłem po ulicy i widzę: żołnierze idą w czasie niedozwolonym, bo koło godz. 10 wiecz. Idą legjoniści. Dwóch nieco się zataczających żołnierzy, którzy, przechodząc, nawet mnie szturchnęli. No, wie pan, Panie Brygadjerze, to są rzeczy zupełnie niedozwolone. Zatrzymałem ich stanowczo. Patrzyli na mnie, honorów mi nie oddali. Spytałem: Co wy za żołnierze? My z Pierwszej Brygady. Dobrze, z Pierwszej Brygady, ale zachowujecie się tak, jak nie żołnierze, mówiłem. Ja ich skarcić chciałem. Ależ to z nimi wytrzymać nie można. My z Pierwszej Brygady, powiedzieli, a pan był na froncie? Biedny majorzyna, trochę mu się zimno zrobiło. Jeden z nich sięgnął do kieszeni, długo w niej dłubał i gdzieś z tyłu wyjął order Virtuti Militari, ale order austrjacki, tak tylko nazwany i powiedział: Masz. Potem gdzieś z tyłu wyciągnął pruski order: Masz. Oni mają te same. Zawrócili i poszli. Te ordery obce, na tyłach noszone, a na piersiach dumne odznaki z memi literami. To jest moja brygada.

I znów pieszczoty, pieściwe dzieło, co sięgnąć może do dumnego czoła, co dumne oczy przed

śmiercią nie mrużąc, zapieści, zaczaruje. Dumnym sam i umiałem to chować i pracować nad moimi żołnierzami i w ojczyźnie, co dumy nie znała, dumni być potrafili. To wspomnienie zawsze mnie pieści. Baciary lwowskie, na tyłach noszące obce ordery.

Jeszcze jedno wspomnienie. Brygada w owe czasy dostała Państwo, a ich Komendant dostał Naczelnika. W tym samym mundurze, w którym pośród innych chodziłem, reprezentowałem Państwo Polskie, przyjmując posłów z całego świata. Byłem Naczelnikiem i żywo sobie przypominam śmieszne określenie, które jeden z przybyłych z Rosji generałów powiedział, patrząc na mnie: „Ni to Kościuszko, ni to Korsikan". Był to czas, moi Panowie, dość zabawny, gdy hymny obcych państw śpiewano bardziej ochoczo, niż polski. Był to czas ten, gdy Polska ubogim kopciuszkiem słynęła... I wtedy, proszę państwa, w Warszawie było jakieś święto żołnierskie, nie powiem jakie i nie powiem kiedy. Przyjechałem na to święto. Święto to ubierano, wedle mody warszawskiej, w jakieś śpiewy, muzyki, deklamacje i innego rodzaju artystyczne utwory. Słuchałem, siedząc na pierwszem miejscu. Dość się nudziłem i tęskno wyglądałem, gdy przerwa nastąpi. Nareszcie przyszła. Wstałem, aby obejrzeć lokal. Obchodząc lokal, zabłądziłem do bufetu. W bufecie było dość dużo ludzi. Obejrzałem się i poszedłem do bufetu. Podskoczyło do mnie kilku podoficerów. „A kolega z którego pułku?" — „Z piątego. Komendant, jak do nas przyszedł, to my tu zaraz wstawiamy. Dać wódki. My płacimy. Komendant nie płaci".

A dokoła attaches wojskowi obcych mocarstw z przerażeniem spoglądali na bratanie się Naczelnego Wodza z podoficerami. I szła wódeczność za

likierem, likier za wódecznością. Ja mam głowę mocną, przepiję nawet podoficera *(oklaski)*. Wydobyłem świeżo otrzymaną w prezencie od oficerów belwederskich papierośnicę. „Ho, ho, ho, to ci Komendant fajną papierośnicę wyfasował! A wie Komendant, że Komendant mnie papierosa dłużny". „Zwracam dług". Wziął, obejrzał, powąchał: „Dawniejsze austrjackie pewno były lepsze".

Gdy tłum dokoła mnie stanął, dokoła Naczelnika Państwa, panowie podoficerowie rozporządzali się w bufecie, sięgając od kiełbas do tortów, od tortów do jakichś innych smakołyków. „My płacimy za Komendanta. Komendant nic tu nie płaci". Ogłosiwszy to, jeden z nich mówił: „A ja na Komendanta jestem obrażony" — „Dlaczego?" „Bo widzę, że Komendant mnie nie poznaje". — „Nie poznaję istotnie" — „A do kogo to Komendant w Dynaburgu w szpitalu najpierw podszedł?" Powiadam, że na sali w Dynaburgu, gdzie leżało mnóstwo chorych, mających palce u rąk i nóg odmrożone wskutek mrozów, które panowały, spojrzałem i zobaczyłem odrazu roześmianą szeroko twarz. To mnie pociągnęło i podszedłem. „A pamięta Komendant, co ja wtedy powiedziałem? Ja wiedziałem już z góry, że Komendant zapomniał. Byłem ranny". „Jakaż to rana?" „W koalicję byłem ranny". „Ja wiem, rana w koalicję bardzo szybko przechodzi".

To miłe wspomnienia po pamiątkach szczerych. Co to znaczy? Co to znaczy? Co to jest? Attaches wojskowi zapisywali dokładnie zdarzenia, jakie się wydarzyło w Warszawie, w różnych językach, na świat cały. Wszystko było mi bardzo miłe. Ni to Kościuszko, ni to Korsykan. O Korsykańcu marzyła młoda głowa, gdym biegał po tem mieście. O Kor-

sykańcu naczytałem się tyle anegdot, tyle baśni. Gdym wrócił do Belwederu, przypomniało mi się natychmiast, że Napoleon źle jeździł konno i często z konia spadał. Jechał gdzieś w bój i wówczas jeden z gwardjaków spadł z konia, a Napoleon mu powiedział: „Niezgraba!“ Lecz Pan Bóg go ukarał, bo po ujechaniu 60 kroków, Napoleon spadł z konia, a wtedy mija go w pełnym galopie gwardjak i pyta: „A teraz, kto niezgraba?“

Niechno panowie pozwolą. Ostatni fakt miły. Jeden z najmilszych, które przypomnę. Gdym siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową kat. Nie byłem nigdy pewien życia. Był to jak grób zamknięty. Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłem, co, jak poduszka, do trumny z człowiekiem idzie. Jedno z najmilszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne. I nieraz tam w Magdeburgu o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem biegną mury, pagórki, otoczone zielenią, pieszczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszczą do góry wieżyce, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, niewiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tylu, tylu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastja Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała. Wilno Stefana Batorego, co uniewersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał. Wielcy poeci i wieszcze, co naród pieścili słowem i w czar zakuwane-

mi słowami życie narodowi dawali. Nie gdzieindziej jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś, w przeklętej rosyjskiej szkole.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czem dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie. I biegłem ku Wilnu pieszczotliwą myślą, tworząc sam dla siebie pieściwe pieszczoty dziecka. Jedna z moich książek tam właśnie powstała w murach Magdeburga. Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdyś. Wszystko to razem składało się na marzenia człowieka, co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. *(Głos: Tak jest, Panie Komendancie).* Minęło lat parę i byłem znowu z wami i gdym marzył i myślał o Wilnie, w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was i gdym w bój zawołał, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem, marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czem dusza marzyła. Wilno musi być moje. *(Długotrwałe oklaski).* I jak wyście mi na to odpowiedzieli: żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć poczynała, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas brzmiały, gdy tam spokoju już doznali, Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie było od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać

musi. Was powołałem. Szła wielkanocna pora, gdy bataljon za bataljonem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyli. I szła pogwarka wśród wiary: Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie Mu damy. Prezent wspaniały. I gdy myślę, że nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieszczota dla serca Komendanta, wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy mogiłka za mogiłką leżą, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, ci, co życie dali, by Komendanta serce pieścić, to mówię, że miłem to być musi i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu. I miłe to musi być wrażenie przeżyć życiowych w legjonach, miłe wrażenie i teraz, gdy z Wami się żegnam, gdy kończę i kończę w Wilnie, życzę Wam, byście dzień dzisiejszy, dzień naszego święta, spędzili istotnie tak, jak było to niegdyś, byście miastu spokój zakłócili, by miasto zadrżało w waszych objęciach, tak, jak drżało ongiś, gdyście tu marszem zwycięskim wchodzili.

## PRZEMÓWIENIE W BUKARESZCIE.

(1.X.1928 r.).

*W drugiej połowie sierpnia r. 1928 Marszałek Piłsudski udał się na 6-tygodniowy wypoczynek do Rumunji. Przed odjazdem do kraju, w dniu 1 października, przybył Marszałek do Bukaresztu, celem złożenia wizyt o charakterze kurtuazyjnym. W dniu tym rumuński minister spraw zagranicznych Argetoiano z małżonką wydali wielki obiad na cześć Marszałka Polski. W obiedzie tym wzięli udział, — poza członkami rządu rumuńskiego — przewodniczący Izby i Senatu, poseł polski w Bukareszcie, minister pełnomocny Rumunji w Warszawie p. Davilla oraz liczni goście.*

*W czasie tego obiadu minister Argetoiano wzniósł toast, witając Gościa w imieniu rządu i wyrażając Mu wdzięczność Rumunji za to, że ją właśnie obrał za miejsce wypoczynku.*

*„Z okazji obecności Pańskiej, Panie Marszałku, — mówił minister Argetoiano — mieliśmy możność raz jeszcze stwierdzić siłę węzłów, łączących nasze dwa narody. Złączone bolesnemi wspomnieniami przeszłości i identycznemi aspiracjami na przyszłość, narody polski i rumuński są dzisiaj najpewniejszymi obrońcami oraz gwarantami pokoju*

*i cywilizacji na wschodzie Europy. Wszystkie nasze wysiłki idą wyłącznie w kierunku utrzymania i ugruntowania tego sprawiedliwego pokoju, opartego na istniejących traktatach, a współpraca Polski i Rumunji w tej dziedzinie nie zostanie niczem zamącona".*

*Przemówienie swe zakończył minister Argetoiano toastem za pomyślność zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej z Rumunją Polski oraz za zdrowie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Marszałka Piłsudskiego.*

*Odpowiedź Marszałka na powyższe przemówienie brzmiała, jak następuje:*

„Pobyt mój w Rumunji wzmocnił uczucie sympatji i głębokiego szacunku, jakie żywiłem zawsze dla Waszej pięknej Ojczyzny i narodu rumuńskiego, którego szlachetną gościnność miałem ponownie sposobność ocenić.

Jestem szczęśliwy, mogąc stwierdzić, że węzły serdecznej przyjaźni, które łączyły zawsze nasze narody, zacieśniają się w dalszym ciągu ku pożytkowi cywilizacji i ku uspokojeniu Europy. Wypowiadając życzenie, aby nasze połączone wysiłki powiodły nas ku szczęśliwym przeznaczeniom, wznoszę toast za pomyślność zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej z nami Rumunji, za zdrowie króla Michała, rodziny królewskiej, Wysokiej Regencji oraz rządu".

## O POBYCIE W RUMUNJI.

(3.X.1928 r.).

*W dniu 3 października r. 1928 przejeżdżał Marszałek Piłsudski przez Lwów w drodze powrotnej z Rumunji do kraju. W rozmowie z przedstawicielami władz cywilnych i wojskowych, zgromadzonymi na peronie dworca lwowskiego przed wagonem salonowym, powiedział Marszałek m. in.:*

„W Rumunji sporo czasu spędziłem, badając pamiątki po Stefanie Batorym, — szukałem, przeglądałem stare kroniki, zapiski i foljały. W jednym klasztorze znalazłem całą gablotkę z pamiątkami po Stefanie Batorym. Porównywałem jego podpisy na listach i aktach, skromne i powściągliwe w okresie palatyńskim, — bujne, szerokie, fantazyjne z okresu królestwa".

## Z PRZEMYŚLEŃ NACZELNIKA PAŃSTWA.

(Częste przemyślenia).

(5.XI.1928 r.).

*W dniu 11 listopada 1928 r., w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, Marszałek Piłsudski ogłosił w prasie pod powyższym tytułem artykuł o treści następującej:*

Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra. To wczoraj — było, lecz mieszkał tam wstyd. Wstyd nie mały, wstyd duży. Gdzieś ktoś kupował, gdzieś ktoś się sprzedawał, gdzieś ktoś zrzucał dolne ubranie, gdzieś ktoś nieprzyzwoicie całował. I we wczoraj mieszka wstyd. Lepiej go nie mieć, lepiej o niem zapomnieć, lepiej przykryć je kłamstwem i blichtrem słowa, lepiej nie być we wczoraj, gdzie mieszka wstyd. Ludzie bez wczoraj.

Ludzie bez jutra. Czy jutro, co spotka nas — gdy myślimy o niem dzisiaj — czy słońcem rumianem, czy schmurzonem nieba obliczem, to jutro, co je codziennie inną nazwą dnia w tygodniu chrzcimy, jest podobne w czemkolwiek do tego jutra, które spotykać będą nasze dzieci czy prawnuki? Czy można te jutra, tak odległe od siebie w czasie, zbliżać i utożsamiać? Wątpię i nie mogę się zgo-

dzić, by nie odróżniać prawdy od metafory. I oto gdzieś ktoś buduje kanały, któremi morskie olbrzymie okręty i statki do Warszawy przez Wisłę sprowadzi i wyrzuca na to realne — nie metaforyczne — pieniądze; ktoś gdzieś armję w projekty i pomysły uzbraja, gdy żołnierz nie ma butów i zwykłego karabinu — i na te projekty łoży nie metaforyczne, lecz realne pieniądze; ktoś gdzieś obowiązkowe nauczanie wprowadza, nie myśląc ani o budynkach szkolnych, ani o nauczycielach. Gdzieś zamki na lodzie — i to wiosną — budują, gdzieś gwałtem z piasku bicze kręcą, licząc, że bić niemi będą, aż ziemia zadudni. Ludzie bez jutra!

Ludzie bez wczoraj i ludzie bez jutra — ludzie bez cienia. Jeden cień wstecz się cofa tam, gdzie wtyd mieszka, od innych cieni zmyka w dal, tam, gdzie śmiech zamieszkuje. Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra! Czyż może dzisiaj należeć do tych, co cienia nie mają?!

*

Czy widział kto kiedy efemerydy? Gdym czytał niegdyś dzieckiem, że są potworki jakieś, co żyją zaledwie pół dnia i mniej, to znaczy — po urodzeniu się zaraz umierają, sądziłem, że to jakieś zupełnie małe pajączki czy robaczki, zatem prawie nic nie widzą i nic nie słyszą. Z tem dziecinnem wyobrażeniem jakiegoś dziwactwa przyrody żyłem spokojnie do wieku dojrzałego. I wreszcie raz je ujrzałem. Pamiętam, było to w Wilnie, w czerwcowy, upalny i nieco duszny dzień. Szedłem od wspaniałej katedry po Prospekcie Świętojerskim, co go dzisiaj Adama Mickiewicza ulicą nazwali, szedłem, jak bezdomny tułacz, śpiesząc wieczorem

na przygotowany nocleg, gdzieś za mostem Zwierzynieckim, by bezdomną głowę w bezpiecznem miejscu na poduszce skłonić. Wydawało mi się, że czas idzie na burzę. Gdym się do mostu zbliżał, spostrzegłem wysokie łukowe latarnie jakgdyby przyćmione od oparów i grupki ludzi stłoczonych i żywo rozmawiających tak, jakby wypadek jaki zdarzył się na ulicy. Zwolniłem kroku i nagle poczułem na sobie dotknięcie jakiegoś owadu, trwało to chwilę tylko i owad już był na murze, by zaraz potem znaleźć się na chodniku i za chwilę znowu — w rynsztoku. Gdym ruszył dalej, znalazłem się w jakiejś gęstwie tych owadów, które czyniły ruchy, nie zatrzymując się ani na chwilę, ruchy z tak wyraźną i tak jaskrawą bezcelowością i bezmyślnością czynione, że nie można było z niczem dotąd widzianem tego bezmyślnego stanu porównać. Koło łukowych lamp owadów było mnóstwo — jakaś gęstwa istot, które poruszały się wszędzie z tą samą bezmyślnością i jakąś tępą prawdą głupoty w różne strony: na dół, na górę, na bok, na lewo, na prawo. Jakieś ćwierć życia, ćwierć chęci, ćwierć myśli i ćwierć istnienia. Gdym mijał most, spojrzałem w wartkie nurty Wilji, tam w cieniu działo się to samo — co wysoko przy lampie elektrycznej, rzucającej jaskrawe, blado-niebieskie światło w przestrzeń.

Kiedy nazajutrz z rana wracałem ze Zwierzyńca do miasta, stróże kamieniczni zmiatali dużemi miotłami gęstwę efemeryd do kloaki.

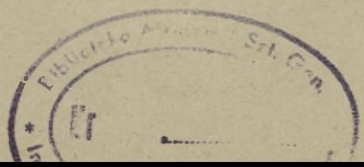
Patrzyłem na tę bezmyślną zielonkawą masę i myślałem — a jednak, a jednak i to jest życie. I może pomiędzy bezmyślnemi ruchami, czynionemi przez efemerydy, — może przez chwilę jedną taka istota upajała się myślą, że zaraz zmieni się

w człowieka i siłą swoją zmusi człowieka stać się efemerydą. Może zamarzona myślała, że zamieszka w ludzkiem mieszkaniu, a człowieka wyśle latać bezmyślnie nad rzeką czy przy lampie łukowej. Kto wie!? Dostatecznie bezmyślne są takie istoty.

## PRZEMÓWIENIE W KOMISJI BUDŻETOWEJ SENATU.

(28.II.1929 r.).

*W dniu 28 lutego 1929 r. o godzinie 1-ej w południe Marszałek Piłsudski przybył do Senatu, by na jego komisji budżetowej dać wyjaśnienia, dotyczące budżetu Ministerstwa Spraw Wojskowych na rok 1929—1930. Zaznaczyć tu należy, że w odbytem w dniu 15 stycznia tegoż roku posiedzeniu komisji budżetowej Sejmu Marszałek Piłsudski udziału nie wziął, a nawet — wbrew panującym dotychczas zwyczajom — nie przysłał na to posiedzenie przedstawiciela M. S. Wojsk. Ta decyzja Marszałka zaskoczyła członków komisji budżetowej Sejmu. Pierwszy z kolei mówca, poseł Czapiński (P.P.S.), postawił wniosek następujący: „Dowiedzieliśmy się, a fakty to potwierdzają, że rząd nie wysłał swych reprezentantów do komisji na czas debat nad budżetem M. S. Wojsk. Musimy jednak spełnić swój obowiązek i sądzę, że należałoby wyjaśnić, czy istotnie rząd nie zamierza przysłać tu swoich przedstawicieli, a jeżeli tak jest, to dlaczego. Stawiam wniosek o odroczenie obrad na pół godziny, dopóki prezes komisji nie wyjaśni tej sprawy". W odpowiedzi na to przewodniczący komisji poseł*



*Byrka oświadczył, że mandatu takiego przyjąć ze względów zasadniczych nie może, zaś poseł Rataj (Piast) sprzeciwił się wnioskowi, gdyż rząd „nie ma obowiązku, lecz tylko prawo przychodzenia na posiedzenia komisji". Wobec powyższego poseł Czapiński wniosek swój cofnął. Zkolei zabrał głos poseł Kościałkowski, referent budżetu M. S. Wojsk.: „Marszałek Piłsudski, minister spraw wojskowych, udzielił mi, jako referentowi, wszystkich potrzebnych danych, dotyczących mego referatu. Jednocześnie polecił, aby ministerstwo jak najszczegółowiej poinformowało mnie o swoich zamierzeniach i pracach, jednakże wyjaśnił mi jednocześnie, że jeżeli sam nie będzie na komisji budżetowej i jeżeli nie przyśle swoich przedstawicieli, to tylko dlatego, że obawia się, że na posiedzeniu komisji mogłyby zajść przykre incydenty obraźliwego ustosunkowania się do oficera, jako takiego, i nie chcąc wywoływać konfliktu przez ostre reagowanie, tak, jakby tego honor oficerski wymagał, sam nie przybędzie, jak również nie przyśle swych przedstawicieli na komisję".*

*Oświadczenie posła Kościałkowskiego wywołało gorącą dyskusję, w trakcie której poseł Woźnicki przedstawił wniosek następujący:*

*„Zważywszy na to, że obrady komisji budżetowej nie dały powodu do twierdzenia, jakoby na komisji mogła nastąpić obraza munduru, komisja nie przyjmuje do wiadomości motywów, podanych przez referenta, i w interesie obrony Państwa przystępuje do obrad nad budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych".*

*Po krótkiej, a gorącej wymianie zdań, wniosek posła Woźnickiego podano pod głosowanie. Przed głosowaniem jednak poseł Polakiewicz (klub B. B.)*

*poprosił o rozbicie tego wniosku na trzy części, gdyż przedstawiciele B.B. nie mogli głosować za wstępem do wniosku, — „jakoby na komisji nigdy nie padały żadne inwektywy przeciw wojsku, faktycznie bowiem one padały".*

*W głosowaniu przyjęto pierwszą część wniosku posła Woźnickiego 12 głos. przeciw 11, — część drugą przyjęto 13 gł. przeciw 8, część trzecią zaś (w interesie obrony państwa i t. d.) — 14 głosami.*

*Po głosowaniu zarządzono krótką przerwę, w czasie której posłowie z klubu B.B. (Kleszczyński, Polakiewicz, Sanojca), złożyli do protokołu obrad następujące oświadczenie:*

*„Oświadczamy, że na komisji budżetowej były wystąpienia, a w szczególności napastliwe ataki p. Trąmpczyńskiego, obrażające armję oraz mundur oficerski".*

*Budżet na rok 1929—1930 uchwalony został przez Sejm po długich debatach w dniu 11 lutego 1929 r. Jeśli chodzi o budżet M. S. Wojsk. — to zrobiono w nim kilka poprawek in minus w działach, którym Marszałek Piłsudski w przytoczonem niżej przemówieniu poświęcił sporo uwagi i czasu.*

*Do Senatu w dniu 28.II.1929 r. przybył Marszałek w mundurze marszałkowskim. W chwili wejścia Jego na salę posiedzeń senatorowie powstali ze swych miejsc z okrzykiem: "niech żyje", poczem marszałek Senatu Szymański wygłosił następujące przemówienie:*

*„Pradziadowie nasi powstawali, kiedy na salę obrad wchodził Tadeusz Kościuszko. Członkowie wysokiej izby senackiej powitali Pana Marszałka powstaniem, czując, że na salę wszedł nie tylko zwykły minister, lecz że w tym mundurze ministerjalnym wszedł Józef Piłsudski. Bądź pozdrowiony*

*Dostojny Pierwszy Marszałku Polski w imieniu senatorów tu obecnych".*

*Bezpośrednio po tem powitaniu Marszałek Piłsudski wygłosił następujące przemówienie:*

„Szanowni Panowie! Przedewszystkiem wyjaśnić muszę, dlaczego przemawiam w senacie, nie w sejmie. Stało się to nie z mojej winy. Już przed przyjściem pod obrady sejmu budżetu, przygotowanego przez rząd, uprzedziłem p. szefa gabinetu, że nie będę się mógł zgodzić z tym rodzajem pracy sejmu, który stawia ministra nie jako referenta swego budżetu przed sejmem, gdyż system ten daje, zdaniem mojem, pracę lichą i marną. Jest to, zdaniem mojem, jeden z tych zwyczajów i obyczajów sejmowych, które należą do przeżytków i które dają w rezultacie głupotę prowadzenia pracy. Referent, gdyby był nawet najlepszym, nie daje gwarancji znajomości ani przedmiotu, ani też wzajemnego układu różnych części budżetu ze sobą, ani też nie daje systemu pracy nad wykonaniem budżetu.

Kiedy się nieraz zastanawiałem, jeszcze przed przyjściem na świat sejmu w Polsce, nad różnemi pracami sejmów, dziwiłem się, jak dużo tam jest nonsensów i jakgdyby rozmyślnego prowadzenia pracy tak, aby praca była marna i licha. Do tych zwyczajów i obyczajów należy nie co innego, jak wystawianie swego referenta do spraw, których on nie może znać dobrze. Dlatego też powiedziałem p. Bartlowi, że nie jestem w stanie podlegać temu nonsensowi i dlatego, jeżeli moi koledzy ministrowie się z tem zgodzą, żądam, aby mój budżet był rozpatrywany ostatni. P. Bartel na to się zgodził i dlatego przyszedłem ostatni do dania

mego budżetu. Również lojalnie postąpiłem i z referentem, p. majorem Kościałkowskim, którego poprosiłem do siebie i stwierdziłem, że nie zwracając się przeciw niemu osobiście i uważając, że z tych możliwych referentów, jakich może sejm wystawić, on jest najlepszy, — stwierdziłem mu, że tak jednak postępuję i że nie będę referował nic, w razie jeżeli nie będę jedynym referentem budżetu mego w sejmie. Wreszcie uczyniłem to i w stosunku do p. Daszyńskiego, powiedziawszy mu to samo, co mówię tutaj.

Nie mogę nie stwierdzić, że występując starannie i stale przeciwko mnóstwu przeżytków z życia parlamentarnego, a jest ich wielka ilość, — widzę, że ciągle stają one w sprzeczności czy to z życiem, czy to z pracą, czy to z czasem, czy to wreszcie z prawem. Nie mogę nie podkreślić jak najstaranniej, że uczyniłem brak mojej pracy w sejmie jedynie z tego powodu. Powód był i drugi, chociaż mniej ważny, lecz nadzwyczajnie dotkliwy dla wszystkich tych, którzy noszą mundur wojskowy. Powód ten jest związany z honorem.

Honor jest jednem z silnych ogniw, wiążących każdą grupę wojskową. Jest to konieczne dla wojska, gdyż, będąc w otoczeniu rozchełstanej prawdy życia, rozchełstanej i rozwydrzonej, trudno jest mieć wojsko, nie mieszające się do polityki, w razie, jeżeli się nie wynajdzie ogniw, które ludzi od tego powstrzymują. Jednem z tych ogniw, wspólnem dla ludzi w mundurze, w porównaniu do ludzi bez munduru, jest poczucie honoru. Dlatego też prawda honoru jest nadzwyczaj silnie zaopatrzona prawem i regulaminem właśnie

w wojsku. Nie wolno oficerowi przestąpić prawa zwykłego, przeciętnego honoru pod grozą wykluczenia go z armji za czyn niehonorowy. I dlatego określenia muszą być bardziej rozważne i bardziej powściągliwe. Honor ten nie pozwala na słuchanie słów w stosunku do siebie obraźliwych i oficer musi wystąpić czynnie i to natychmiast, w razie, jeżeli nie ma być zdyskwalifikowany.

Wobec rozchełstanej prawdy pp. posłów, którzy o to nie dbają, jest tak trudna dla oficerów praca jakakolwiek w sejmie. Obciąża się ta sytuacja jeszcze bardziej, gdy wezmę pod uwagę to, co jest honorem służby. Honor służby w wojsku, tak ostro dowodzonem i indywidualnie dowodzonem, prowadzi nieraz do konfliktów, kończących się śmiercią. Być może, że jest to źle, ale tak jest. Honor służby bowiem nakazuje obronę przełożonego i dlatego jest tak ciężką prawda służby wojskowej. I wobec tego, że przełożonym jestem ja, nie mogę się zdobyć nigdy łatwo na wysyłanie kogokolwiek do sejmu, oprócz mnie samego. Zawsze się obawiam tych konfliktów wewnętrznych u moich podwładnych, którzyby byli postawieni w sytuacji możliwej dyskwalifikacji dla siebie, jako oficerów. Nadto ciężka jest ta męka służby w tych warunkach, które dają niepowściągliwe języki i łatwość niepowściągliwych określeń u pp. posłów.

Dlatego też nie mówiłem w sejmie, dlatego też, moi panowie, nie jestem w stanie i tutaj mówić tak, jakbym mówił o całości budżetu wojskowego, gdyż wtedy musiałbym pominąć główne moje zadanie, zadanie, związane z odparciem tych poprawek, które zostały zrobione przez sejm na moim budżecie.

Biorę tylko stamtąd, z przygotowanych przezemnie prac na sejm -- biorę jedną rzecz, rzecz porównawczą, związaną z budżetami przeszłości. Na sejm bowiem przygotowałem, jako wstęp, historję budżetów wojskowych. Jeżeli, proszę państwa, weźmiemy porównanie r. 1924 i preliminowanego budżetu na r. 1925 w przeszłości i porównamy go z obecnym, to przy przewartościowaniu złotego, wobec zniżki waluty przy jej stabilizacji, znajdziemy porównania następujące:

W r. 1924 budżet wynosił 701 milj. dawnych złotych, co przy przewartościowaniu daje 1.206.500 tys. zł. Budżet preliminowany na r. 1925 wynosił 725 milj. zł., co przy przewartościowaniu daje 1.247 milj. zł. wtedy, gdy obecny mój budżet wynosi 814 milj., t. zn. że w stosunku do 1924 i 1925 r. jest mniejszy o 400 i coś milj. czyli o 1/3 zmniejszony. Jeżeli zaś wezmę punkty, zaczepiane przez sejm, to znajdę przy przewartościowaniu następujące różnice:

W dziale 1 § 8 w r. 1925, bo przedtem tego działu nie było i on był przenoszony do innych działów, to jest reprezentacja — wynosił preliminowany budżet 465 tys., gdy mój obecnie wynosi 236 tys. Dział 2 § 3 wynosił 29 milj. zł. w r. 1925, 21 milj. zł. w r. 1924, mój budżet wynosi 11.496 tys. zł. Dział 2 § 12 wynosił w 1924 r. 21 milj., w 1925 r. wynosił 12 milj., w moim budżecie wynosi 7.300 tys. Dział 1 § 8, to jest dział reprezentacji, dział 2 § 5 to są podróże służbowe i przesiedlenia, dział 2 §12 to są wydatki uboczne przy wyżywieniu. W tych trzech działach zatem zmniejszenie budżetu mego w stosunku do tego, który był, jest bardzo jaskrawe i widoczne. Jest jeszcze § 4, po-

dobny, który nosił tytuł „Różne"; w ustawie z 1925 roku wynosił 2.700 tys., w naszym budżecie wynosił 240 tys.

Inne zaś wymagają nieco ściślejszej analizy dlatego, że one są bardzo zabawnie zatytułowane. O tem będę mówił później. Budżety dawniejsze przy ich rozpatrzeniu i przy ich stwierdzeniu istotnej wartości noszą u mnie zawsze miano „wesołych budżetów", albowiem smutna historja naszych budżetów wojskowych polega nie na czem innem, jak na kradzieży wyraźnej budżetów wojskowych i na defraudacji, możliwie daleko posuniętej. Są to „wesołe budżety", gdyż znam wypadki wydawania z budżetów wojskowych na sute libacje z dziewczynami z publicznych domów, robionemi dla pp. posłów przez pp. ministrów. „Wesołe budżety" były złotemi czasami dla pp. posłów sejmu. Z budżetu utrzymywano nietylko ich kochanki, ale i utrzymywano również i partje, z budżetu kradziono najbezczelniej w świecie, i dlatego ja zawsze nazywam te budżety „wesołemi budżetami".

Jeśli pójdę dalej w analizie, to wykażę, że system tej pracy wesołego zużytkowywania budżetu nie mógł nie zaczepić właśnie tych części, które teraz są zaczepione przez pp. posłów z sejmu. Z tych właśnie części, jako najbardziej możliwych, zużytkowano pieniądze nie na wojsko, lecz na wesołe spędzanie czasu budżetowo-sejmowo, no i ministrowo.

Przechodzimy, proszę panów, do tych punktów, zaczepionych przez sejm. Jest ich w całości sześć, proszę panów, jeżeli przeczytam ich tytuły, to one muszą zwrócić bezwiednie uwagę. Więc:

1) inne wydatki, 2) podróże służbowe i przesiedlenia, 3) wydatki uboczne przy wyżywieniu, 4) szkoły i kursy żeglugi powietrznej, 5) fundusz dyspozycyjny, 6) różne. Już same nazwy zaczepionych części budżetu wywołać tu muszą pewne zdziwienie, gdyż jasnem jest, że zaczepiają one nie samą istotną prawdę budżetu wojskowego, lecz jakoś bezwiednie czepiają się tego, co jest bardzo uboczne; nawet jeden z tytułów nosi nazwę: wydatki uboczne przy wyżywieniu. Jeżeli teraz zechcemy analizować ściślej i dalej, to znajdziemy, naprzykład, że te wydatki uboczne przy wyżywieniu, które tak śmiesznie są zatytułowane, rozkładają się według naszego preliminarza na rzeczy następujące :

Zakup urządzeń laboratoryjnych, modeli dla instytutu technicznego, doświadczenia z dziedziny piekarstwa — 4.000 zł.; zakup urządzeń — 6.500 zł.; badania nad konserwacją mięsa i innych środków żywności pochodzenia zwierzęcego — 10.000 zł.; studja i doświadczenia nad wprowadzeniem nowoczesnych urządzeń technicznych w dziale żywnościowym — 4.500 zł.; modele sprzętu żywnościowego — 1.000 zł.; model polowego pieca piekarskiego składanego — 5.000 zł.; model kuchni samochodowej — 25.000 zł.; analizy żywnościowe — 17.000 zł.; dezynfekcja magazynów żywnościowych — 25.000 zł.; drobne wydatki, jak opłaty stemplowe, karty rejestracyjne, przesyłki żywnościowe — 5.000 zł. Suma cała wynosi 103.000 zł. Jak panowie widzicie, można to spokojnie nazwać grochem z kapustą, czego bowiem tu niema? Modele pomieszane z urządzeniami laboratoryjnemi, doświadczenia piekar-

stwa z dezynfekcją magazynów żywnościowych, studja i doświadczenia nad wprowadzeniem nowoczesnych urządzeń z badaniami nad zwalczaniem szkodników zbożowych i t. d. i t. d. Jest to czysty groch i kapusta.

Jeśli weźmiemy specjalną pozycję, związaną ze szkołami i kursami żeglugi powietrznej, to zaczepiona suma wynosi rzeczy następujące: uzupełnienie i konserwacja sprzętu sportowo-gimnastycznego, uzupełnienie bibljoteki wypożyczanych filmów, zawodów szkolnych, materjały tarczowe komisji celowniczej, stypendyści na politechnice warszawskiej i zaokrąglenie jeszcze tej sumy w postaci 1.760 zł.

Jeżeli ja przejdę do tytułu „Różne", to znajduję: doradców technicznych i specjalistów, angażowanych z poza wojska, udział w instytucie naukowej organizacji pracy, badanie stanu i rozwoju przemysłu wojennego zagranicą, opłata prywatnych biur informacyjnych, normalizacja. Przeważają tu wszędzie sumy, nie przewyższające albo 10, albo 20, albo 30 tys. zł. W tych trzech przeczytanych przezemnie i analizowanych „grochu i kapusty", znajdujemy jedną sumę przewyższającą sto tys. zł., t. j. 174 tys. na doradców technicznych i specjalistów, angażowanych z poza wojska dla różnych prac przemysłowych. Mamy więc pomiędzy 6 punktami zaczepionemi 3 punkty zaczepione, złożone z grochu i kapusty. Ja nie będę, proszę panów, stwierdzał, czy jest dobrze robić w budżecie ten groch z kapustą, a że groch i kapusta są konieczne przy wszelkich pracach wydatkowych i wszelkich pracach administracyjnych, to prawda.

Tedy niepodobna pakować takich drobnych wydatków na jakiekolwiek wyraźne działy poprzednie i jeżeli się przepakowywa temi drobnemi wydatkami działy większe, to z tego wypada nonsens i nie pozostaje wtedy nic innego, jak te wydatki t. zw. „różne", t. zw. „inne" i t. zw. wydatki „uboczne" pakować w jakąś osobną rubrykę, ryzykując poprostu robienie z tego grochu z kapustą.

Pośród panów, naturalnie, jest wielu ludzi, którzy mają mus wydatkowania większych sum w tym czy innym interesie, który prowadzą, i ci wszyscy wiedzą doskonale, ile grochu z kapustą przy każdym interesie być musi, a cóż dopiero przy interesie tak złożonym i skomplikowanym, jak praca wojskowa, rozłożona na tyle specjalności i licząca w swoim budżecie aż 800 milj. zł.

Ja nie tyle jestem stronnikiem grochu i kapusty, ile jestem pełen podziwu, dlaczego to panowie posłowie tak są zamiłowani w grochu i kapuście. Skąd ta nagła, tak perwersyjna miłość do grochu i kapusty?

Z 6 punktów zaczepionych, mam akurat 3 groch i kapustę. Taki grochowo-kapuściany pomysł, taki właśnie punkt zaczepienia jest tak oryginalny, że kiedy pracowałem wczoraj wieczorem nad tym interesem, który tu załatwiam, to zdumiony myślałem o tendencji ludzi, umiejących znaleźć zamiłowanie grochu i kapusty. Panowie posłowie z sejmu poszli jeszcze dalej, gdyż co do wszystkich tych punktów sejm, gdy skreślił tyle a tyle, tyle a tyle, tyle a tyle bez podania pozycji, które właśnie chce skreślić, — to znaczy, że przeszedł do porządku nawet nad grochem i kapustą, to znaczy,

że czyniąc nonsens, skrócił go nawet o głowę, jako objekt nieprzyjemny dla siebie, pozostawiając problem skreślenia poszczególnych pozycyj już nie sobie.

Jedyny wyjątek, któremu głowę oszczędzono, to podróże służbowe i przesiedlenia. Jeżeli rozpatrzymy ten dział, który w sumie ma 11.496 tys. zł., a w poprzednim budżecie miał 29 milj., to znajdziemy podział podróży i przesiedleń na następujące działy i paragrafy: djety przy podróżach służbowych o charakterze ogólnym, djety przy podróżach służbowych inspektorów armji przy głównym inspektoracie sił zbrojnych i inspektorów terytorjalnych; djety przy podróżach służbowych w celach szkolenia wojska; djety z tytułu uczestnictwa absolwentów wyższych szkół oficerskich w wycieczkach taktycznych i krajoznawczych i podróże wyższej szkoły wojennej; djety i koszta przejazdów w czasie podróży zagranicą; djety członków komisyj poborowych i rozpoznawczych; djety członków komisyj kontrolnych; dodatki przy przeniesieniach oficerów i podoficerów do szkół i na kursa celem specjalizacji i doskonalenia; dodatki przy przeniesieniach służbowych ze względu na przejściowy przydział do formacyj i oddziałów. Wreszcie przesiedlenia i koszta użycia podwód i pobranych koni podczas ćwiczeń międzydywizyjnych.

Mamy więc masę podziałów i w tym wypadku pp. posłowie nie skracali nonsensu o całą głowę, lecz wyraźnie wybrali te punkty, które mają być zmniejszone. Jedynym z tych punktów jest pozycja z tytułu uczestnictwa szkół oficerskich w wycieczkach taktycznych i krajoznawczych

podróży wyższej szkoły wojennej oraz djet i kosztów przejazdu w czasie wyjazdu zagranicę. Jest to praca szkolenia, praca kształcenia. To zostało obcięte o 1,041.436 z..

Wreszcie wydatki przy przeniesienach służbowych oficerów i podoficerów do szkół i na kursa, celem specjalizacji i doskonalenia. Idzie tu, proszę panów, o pewne musy, związane z awansem oficerów, gdyż awanse nie mogą iść, zgodnie z naszemi urządzeniami, jeżeli oficer nie przesłucha kursu, przygotowującego do wyższej służby. Nie można dać oficerowi młodszemu kompanji dopóki nie wysłucha on kursu dowodzenia kompanją, nie można dać dowództwa bataljonu lub baterji, dopóki oficer nie wysłucha kursu dowodzenia baterją, szwadronem albo bataljonem, i nie można objąć pułku, nie mając również poprzednio odpowiedniego kursu, a kursa te trwają nieraz długo i pozbawiają panów oficerów możności mieszkania w jednym domu z rodziną, to znaczy, że gdzieś te kursa muszą być urządzone poza tem miastem. Żaden awans nie jest możliwy, dopóki niema pewności, że oficer przeszedł odpowiedni kurs.

Dziwnym więc zbiegiem okoliczności tam, gdzie nadarzała się, tak jak przy grochu z kapustą, sposobność skrócenia nonsensu nawet o głowę, nie zrobiono tego, a tam, gdzie chodzi o naukę i szkołę, to tam znaleziono miejsce do skracania i wskazano wyraźnie, że te właśnie punkty mają być zmniejszone, że o miljon ma być mniej nauki w wojsku.

Są to poza tem skrócenia, które tu określiłem, a pozostaje mi jeszcze do powiedzenia jedno: wy-

datek, związany z funduszem dyspozycyjnym ministra spraw wojskowych i drugie: fundusz dyspozycyjny t. zw. sztabu. Streszczam więc to, co mówiłem w stosunku do tych skreśleń, które rozpatrzyłem. Wszędzie, przy każdej wielkiej gospodarce musi był dział, tytułowany „inne wydatki", „różne", „uboczne" i t. d. I przy administracji wojskowej, zdaniem mojem, to, co jest tu napisane, jest wogóle za małą sumą przy liczeniu na 800 miljonów zł. i polega to tylko na tem, że niektóre wydatki udało się wstawić w całość działów i dlatego pozostałość jest względnie niewielka. To znaczy, że wynosi bardzo niewielką sumę 103 tys. zł., 61 tys. zł., 240 tys. zł., to znaczy nic prawie przy liczeniu miljonami.

Te właśnie skreślenia nie tyle szkodzą wojsku, ile szkodzą autorom pomysłów grochowo-kapuścianych i mógłbym nawet nie bronić tej sprawy, bo te zmniejszenia nic dla mnie nie stanowią. Dodam do tego, wobec porównywania z dawnemi budżetami, że te właśnie działy były poprzednio suto zaopatrzone, dlatego, że „Różne" i „Inne" najwięcej się nadają do wesołego potraktowania. Więc gdy namyślałem się nad tendencjami tego, to nie wiem, czy tendencja miłości dla grochu i kapusty i pomysłów grochowo-kapuścianych działała w sejmie, czy też dziwna tęsknota do złotych, dobrych i wesołych czasów, które były dawniej.

Przechodzę teraz do funduszów dyspozycyjnych. Fundusze dyspozycyjne są to te fundusze, z których rachunków się nie składa. Tak określa fundusz dyspozycyjny prawo. Ale fundusz dyspozycyjny musi istnieć, jako fundusz z jednej strony reprezentacji, składającej się niekiedy z kie-

liszka wódki, a niekiedy i z bardzo bogatej prawdy reprezentacji, to jedno, a drugie — fundusz dyspozycyjny jest najczęściej funduszem, w którym wydatki nie znoszą jawności dlatego, że wtedy straci się istotę i sens pracy. Dlatego, że wtedy straci się istotę i sens prawdy. Fundusz dyspozycyjny, reprezentacyjny ministra spraw wojskowych, jak panowie widzą, zmniejszył się. Z jednej strony zawdzięcza to wojsko mojej osobie, która wogóle nie znosi ciężaru reprezentacji i cofa się od reprezentacji jak najchętniej. Natomiast nie mogę nie powiedzieć, że wojsko musi być reprezentowane w państwie w ten czy inny sposób, dlatego, że tak żyje świat. My nie potrafimy wyrwać się z tych zwyczajów i narzucić światu inny zwyczaj.

Dążenie do reprezentacji wojska jest bardzo silne. Dlatego jest to krzywdą dla wojska, odczuwaną bardzo głęboko, gdy ta reprezentacja jest zmniejszona. Specjalnie ciężką prawdą naszą jest prawda reprezentacji lokalnej pułków, które mają jedno jedyne święto, święto pułków, gdzie się łączą one z przeszłością swoją i gdzie mnóstwo osób, które w pułku służyły, przyjeżdżają na święto swego pułku. My mamy bardzo wielki ciężar nie z innego powodu, jak z tego, że pułki wysadzają się zanadto i oficerowie wchodzą natychmiast w długi na pokrycie reprezentacji swego pułku.

Jest to jeden z wielkich kłopotów zarządów wojskowych, jaki zawsze istniał. Staranie się i naciskanie na to, ażeby reprezentacja nie szła za wysoko, jest stałe i ciągłe, ażeby nie mieć skutków z długami oficerskiemi.

Musimy jednak często dopomóc pułkom, specjalnie wtedy, gdy reprezentacja nabiera charakteru nie ściśle rodzinnego, wojskowego, i gdy nie jest to tylko familijne zebranie pułku, lecz przychodzi mus reprezentacji wojska i na zewnątrz. Takiemi, naprzykład, są wszystkie pułki warszawskie, gdzie natychmiast miesza się do fet pułkowych cały świat zagraniczny, uważając to za zrobienie, że tak powiem, komplementu wojsku i wtedy jest mus podniesienia tego. Jest mus podniesienia wszystkich świąt sztandarowych, gdy sztandar daje się pułkowi: sztandar jest dawany zawsze przez p. Prezydenta, który przyjeżdża ze świtą i znów jest podniesienie, że tak powiem, wydatku normalnego, który pułk znieść musi i który trzeba wyciągnąć do góry.

Reprezentacja wreszcie naszego wojska jest, że tak powiem, licha, to znaczy się niewysoka i ogranicza się tylko do świąt. Otóż pieniędzy na wszelkie reprezentacje my nie dajemy i dlatego ta cała praca reprezentacyjna wojska jest właściwie za mało wyciągnięta, jeżeli chodzi o samo wojsko. I powtarzam, ciąży na małości tej sumy nie co innego, jak moja osoba, która, stojąc na czele w wojsku, nie znosi sama reprezentacji i nie chce brać udziału w wielkich reprezentacjach wojskowych. Dlatego też to zaczepienie jeszcze o kwotę 65 tys. zł. mogę uważać, jako tendencję personalną w stosunku do zarządu wojskiem i nic więcej.

Wobec tego zaś, że jestem przekonany, iż rząd mnie tę sumę zwróci, nawet gdyby sejm zechciał to uchwalić, więc wobec tego ja jej nie bronię. A mógłbym od rządu zażądać, żeby mi cztery razy więcej dano i zawsze rząd mi to wyda. Więc tych 65 tys. nawet nie bronię.

Inaczej jest z funduszem dyspozycyjnym sztabu. Fundusz dyspozycyjny sztabu jest jakoby tajemnicą. Wszystkie sztaby muszą mieć fundusz dyspozycyjny na najrozmaitsze potrzeby, z trudem dające się rachować. Pierwsze to są prace wszystkich attaches wojskowych, których liczbę zmniejszałem stale, związane nie z reprezentacją naszej armji gdzie indziej, ale z poznaniem armij innych, nie naszej; tam jest mnóstwo pracy, wyjazdów, objazdów, mnóstwo pracy zaznajomienia się z armją i jej metodami życia i metodami pracy, co wymaga ruchu, a to znów wymaga rewanżu reprezentacyjnego przy przyjęciach. I dlatego ta praca daje nam niekiedy dość dużo, skoro porównamy siebie z innemi armjami, ale jest bardzo kosztowna. Wobec tego, że ministerstwo spraw zagranicznych tego pokryć także nie może, musi to pokryć sztab ze swego reprezentacyjnego funduszu. Jest to bardzo duża część wydatków, a to z tego względu, że, jak powiadam, wszędzie wojsko wyciąga do góry reprezentację i wtedy, gdy idzie o rewanż on nie może być traktowany lada jako, inaczej pracuje się bezcelowo. To są zwyczaje i obyczaje wojska, jak są zwyczaje i obyczaje sejmu.

Wreszcie druga część funduszu dyspozycyjnego jest skierowana na obronę od szpiegostwa Polski. Ja, proszę panów, w Polsce pracuję na obronę od szpiegostwa od czasu, kiedy Polska istnieje. Jako Naczelnik Państwa i jako Naczelny Wódz i późniejszy minister, śmiem stwierdzić ze smutkiem, że niema chwili w życiu mojem, kiedy nie byłem szpiegowany osobiście i, zgodnie z moją dawną wyrobioną pracą oczu, odczuwam to doskonale.

Niema zatem ani jednej chwili przez życie moje, pomimo tego, że jestem w wolnej, niepodległej Polsce, ażeby życie moje wyglądało inaczej, niż tak, jak wyglądało za dawnych czasów, kiedym był ścigany przez różne psy gończe, jak zając. Szpiegostwo jest tak gęste i tak silne w Polsce, że ja nazywam Polskę rajem dla szpiegów.

Nigdzie bowiem tak łatwo i tak dokładnie nie rozpracowano pracy szpiegowskiej w całym świecie, jak w Polsce. Ja z tem stale i ciągle muszę mieć do czynienia, nietylko dla zdrowia personalnego, ale też dla pracy obrony państwa od szpiegostwa do zarazy szpiegostwa. Ja świat znam dobrze i stwierdzam, że zaraza szpiegowska jest najbardziej rozpowszechniona nie gdzieindziej — jak w Polsce. Dlatego też te 2 milj., skreślone z funduszu dyspozycyjnego, uważać muszę wobec tego, że to nie jest tajnem, na co fundusz dyspozycyjny się wydaje, lecz jako chęć ułatwiania szpiegostwa w Polsce.

Ja, proszę panów, przeszedłem swoich 6 paragrafów zaczepionych i tem niestety zakończyć swoją pracę nad budżetem muszę, gdyż to jest jedynem zadaniem mojem w senacie.

Rozumiem, że wyszedłem poza normy zwykłych określeń, związanych z krytyką działania sejmu, że w moich określeniach przekroczyłem normy, używane dotąd; czynię to zupełnie rozmyślnie, czynię to zupełnie spokojnie, gdyż jeżeli ja mam wysłuchiwać, sądzić i mieć jako sprawę groch i kapustę, to muszę mieć z tego powodu i niestrawność. To też tę niestrawność konstatuję". *(Wesołość).*

*Po tych słowach Marszałka Piłsudskiego przewod-*

*niczący komisji wicemarszałek Gliwic złożył następujące podziękowanie:*

*„Wysoka komisjo, panie Marszałku, panie marszałku Senatu! Senat, gdzie krystalizuje się dojrzała rozwaga narodu, Senat ten zawsze miał jak największe zrozumienie dla potrzeb armji, która jest naszą dumą, naszem umiłowaniem i która jest kością z kości naszej.*

*Wysłuchaliśmy z wielką uwagą tych wyjaśnień cennych, które nam tu dał minister spraw wojskowych p. Marszałek Piłsudski i które dobrze rozumiemy. Ja osobiście pozwolę sobie dać wyraz kompletnej pewności, że te wszystkie sumy i te wszystkie pozycje, które zostały niesłusznie skreślone w innem miejscu, tu napewno będą restytuowane".*

*W odpowiedzi na to Marszałek Piłsudski oświadczył:*

Będę panom bardzo wdzięczny. Przy dyskusji nie będę, zostawiam gen. Konarzewskiego i mego szefa gabinetu, płk. Becka, dla pewnych wyjaśnień, jeżeli poszczególne punkty będą niejasne, bo trzymałem się tylko tych punktów, które są zaczepione, i nic więcej.

*Sen. Gaszyński: A zmniejszenie żołdu?*

*Marszałek Piłsudski:* Ja mogę złożyć tylko takie oświadczenie: Przeciwko powiększeniu budżetu wojskowego występować nie mogę i nie będę, jest to rzecz ministra skarbu i mego szefa gabinetu, p. premjera Bartla; ja przeciw nim także występować nie będę. *(Wesołość).*

*Po tych słowach Marszałek Piłsudski w towarzystwie marszałka Senatu prof. Szymańskiego opuścił salę posiedzeń senatu.*

# DNO OKA

czyli wrażenia człowieka chorego z sesji budżetowej w Sejmie.

(7.IV.1929 r.).

*W lutym r. 1929 z inicjatywy klubu sejmowego „Wyzwolenie" wystąpiono w sejmie z wnioskiem postawienia ówczesnego ministra skarbu, Gabrjela Czechowicza, przed Trybunał Stanu. Za pretekst posłużyły tu przekroczenia budżetu, przekroczenia — bezstronnie rzecz biorąc — nieuniknione i mające miejsce za wszystkich poprzednich rządów. Wniosek „Wyzwolenia" poparty został przez pozostającą w opozycji większość sejmową i odesłany do komisji budżetowej, która stwierdzić miała, czy istnieje podstawa do postawienia ministra Czechowicza przed Trybunał Stanu, czy też podstawy takiej niema. W dniu 14 marca komisja budżetowa przyjęła następujący, postawiony w imieniu oskarżycieli przez posła Liebermana, wniosek (18 gł. przeciw 9. Przeciw wnioskowi głosował klub B. B. i Frakcja rewolucyjna. Koło Żydowskie wstrzymało się od głosowania):*

*„Sejm Rzeczypospolitej Polskiej przyjmuje do wiadomości sprawozdanie swojej komisji budżetowej, której przekazano do rozpatrzenia wniosek*

*o pociągnięciu ministra skarbu, Gabrjela Czechowicza, do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu i na podstawie wniosku tejże komisji oraz w myśl artykułów 56 i 59 ustawy konstytucyjnej, wreszcie art. 7 ustawy o Trybunale Stanu, uchwala b. ministra skarbu, p. Gabrjela Czechowicza, postawić w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu z powodu umyślnego naruszenia przezeń postanowień ustawy skarbowej z dnia 22 marca 1927 r.". Dalszy ciąg wniosku uzasadnia, w jaki sposób „czynu tego dopuścił się minister Czechowicz". Sejm na posiedzeniu w dniu 20 marca 1929 r. uchwalił powyższy wniosek Komisji Budżetowej. Zaznaczyć należy, że w akcji tej na plan pierwszy wysunęlil się posłowie Woźnicki z „Wyzwolenia" i Lieberman z P. P. S.*

*W związku z tą akcją stronnictw opozycyjnych Marszałek Piłsudski ogłosił w prasie dn. 7 kwietnia 1929 r. artykuł pod przytoczonym wyżej tytułem:*

W zeszłym roku, gdy zapadłem na niewyjaśnioną chorobę i gdy grupa lekarzy badała mnie ze wszystkich stron, zaglądając w tajemnicę choroby, która mnie dręczyła, nagle jeden z nich tonem zupełnie zwyczajnym zawołał do swoich kolegów:

„Oto zapomnieliśmy, trzeba jeszcze panu Marszałkowi zbadać dno oka, zrobimy to jutro".

Wyznam, że struchlałem, powiedzmy otwarcie stchórzyłem, nie wiedziałem, że oko ma jakieś dno. Lecz gdy pomyślałem, że moje biedne oko gdzieś w swojem dnie będzie dotykane czy rękami czy instrumentami, bałem się wprost panicznie takiej operacji. I chociaż pan doktór mówił o tem

zupełnie obojętnym tonem, to mnie nie uspokajało. Bo o czem ci panowie lekarze zupełnie obojętnie nie mówią, — należy to do ich fachu. Odczucie mego tchórzostwa, do którego otwarcie się przyznaję, było mi niezmiernie przykre i wstydziłem się tego, jak jakieś głupie dziecko. A wiedziałem, że w tej chwili pobiegły już jakieś telefony, zamawiające jakieś nieznane mi maszyny czy instrumenty, umawiające się o czas, kiedy moje nieszczęsne oko ma być w jakiś dziwaczny sposób może wyjmowane z orbity, dotykane jakiemiś instrumentami czy rękami. Powtarzam: byłem i przerażony i zawstydzony tem, że mogę tak stchórzyć. Wstydziłem się pytać dokładnie o tę sprawę, gdyż czułem, że obudzi się we mnie dziki bunt w obronie mego nieszczęsnego oka. Było to może dziecinne i śmieszne, lecz niestety tak było. Nazajutrz już rano miałem to badanie. Przyszedłem na to badanie cały spotniały, spotkałem zaś tak miłego doktora w wojskowym mundurze, gdyż badanie odbywało się w szpitalu Ujazdowskim, że to nieco mnie uspokoiło, gdy sobie powiedziałem, że wreszcie w ostateczności strachu mogę tego doktora postawić na baczność i nie pozwolę mego oka ruszyć.

Nadzwyczajnie miłe i serdeczne ujęcie sprawy przez doktora i brak jakichkolwiek ostrych instrumentów, co odrazu sobie zanotowałem po obejrzeniu gabinetu, zaczęło mnie uspokajać do tego stopnia, że już bardziej odważnie siadłem na wskazanym mi fotelu, a z zupełnem już odetchnięciem i ulgą usłyszałem wyjaśnienie, że zostawia mnie w zupełnej ciemności z jedynym obowiązkiem nacelowania oka w jednym kierunku i patrzenia przez pewien czas w jakieś śmieszne aparaty, przypominające aparat fotograficzny. „To, to potrafię“ po-

myślałem już z zupełnym spokojem i po kilku chwilach patrzenia w jakieś światełka operacja została zakończona. I po co używać takich strasznych nazw dla prostej zupełnie operacji, i poco niepotrzebnie straszyć ludzi taką okropnością, jak badanie dna oka? Czyż nie można tego zrobić rozumniej bez narażania na strach ludzi!!

Jeżeli tę całą śmieszną, należącą do historji personalnej, anegdotę opowiedziałem, to dlatego, iż w czynnościach większości Sejmu istnieje także to straszne dno oka w postaci Trybunału Stanu. Nigdy dotąd w Polsce pomimo i wielkich nadużyć, nawet powiedzmy łajdactw, żaden minister nie był zaczepiony groźbą Trybunału Stanu oprócz znanych wielkich brudów, związanych z Ministerjum Finansów Kucharskiego, które zresztą nie zostały odesłane do prania w Trybunale Stanu, gdyż większość sejmowa z tem się nie zgodziła. Jedynie zacięty poseł Moraczewski, który sprawę przeciwko Kucharskiemu prowadził, został i wyśmiany i zlekceważony za chęć dotknięcia jakiegokolwiek ministra Trybunałem Stanu. Zdarzyło się to jednak po raz drugi w naszej historji w stosunku do kolegi mego Pana Ministra Finansów Czechowicza, człowieka, który pracą swą uporządkował otrzymany w zupełnym nieporządku system podatków i doprowadził swą pracą państwo do tego, że przykładem świecić może wszystkim innym państwom, gdy Polska przy jego zarządzie skarbem dotąd bilansuje swój budżet nie deficytem, lecz przewyżką dochodów nad wydatkami.

Czyżby więc obecny Sejm, sięgając do tak wyjątkowych praw, jak Trybunały Stanu, chciał w ten sposób powiedzieć, iż woli brudy i nadużycia, niż uczciwą pracę?

Nie mogę nie powiedzieć także, że ta próba Sejmu ma jedną stronę, która zaprzecza wszelkiemu poczuciu najzwyklejszej, najprostszej sprawiedliwości.

Byłem wtedy na nieszczęście ciężko chory, tak, iż przypuszczałem, iż jedną nogą stoję po tamtej stronie życia, i dlatego byłem mocno zobojętniały na wszystkie zjawiska tego świata. Pamiętam jednak dobrze, że przyjechał do mnie Pan Bartel, Szef naszego Gabinetu, stwierdzając mi początek owej operacji, straszącej Trybunałem Stanu, pytając mnie o moje zdanie w tej sprawie. Odpowiedziałem, że uważam siebie osobiście, jako Szefa byłego Gabinetu, za odpowiedzialnego za te przekroczenia tak zwanej Ustawy Skarbowej, które są związane z budżetem inwestycyjnym. Pamiętałem bowiem dokładnie, iż całe moje staranie, bardzo usilne, kierowałem zawsze dla zgwałcenia pana Czechowicza, aby wszystko to, co jest inwestycją, nie szło pod obrady sejmowe. Zawsze bowiem obawiałem się, że wtedy będzie nie inwestycja, ale, zgodnie z tradycją Sejmu, lekkomyślne trwonienie pieniędzy podatkowych. Pan Bartel mi odpowiedział, że on to dobrze rozumie i że nie może także, jako Szef obecnego Gabinetu, pozwolić na oskarżanie jednego z ministrów bez swojej za niego odpowiedzialności. Dodał przytem, że będąc głównym czynnikiem pracy gospodarczo - finansowej, nie mógł także często nie gwałcić pana Czechowicza, który u nas w Gabinecie należał do najostrożniejszych ministrów pod względem funduszów skarbowych. Zakończył zaś krótką wizytę u mnie stwierdzeniem, że zgłosi natychmiast swoją solidarność z oskarżonym ministrem i że będzie żądał ra-

czej Trybunału Stanu dla siebie, niż dla ministra Czechowicza.

Gdy ja myślę o sądach, jako o próbie wymiaru sprawiedliwości, to odrazu stwierdzę, że niema na świecie takiego sądu, któryby się ośmielił znegliżować oświadczenia czyjegokolwiek, że oskarżony nie jest winien, a winien jest oświadczający. Jest to tak zgodne z wymiarem jakiejkolwiek sprawiedliwości, że gdyby znalazł się sąd, któryby tej prostej prawdzie sprawiedliwości zaprzeczył, to-by otrzymał nazwę nikczemnego sądu, i gdyby w ucieczce od skutków nikczemności schował się w mysią dziurę, to tam jeszcze nadeptać go nogą trzeba, ażeby znikł i zdechł, jako próba wymiaru sprawiedliwości. I czy wezmę najwyżej rozwinięte sądy, jak w anglosaskiej rasie, czy w dzikiem i krwiożerczem plemieniu jakichś Zulusów czy Botokudów, wszędzie sąd taki byłby nikczemny. Nawet przy krwawych rozprawach sądów wojennych podczas wojen i walk bratobójczych, walk domowych, taka nikczemność nie jest i nie była dopuszczalna. Może jedynie wśród ludożerczych plemion Papuasów, czy innych im podobnych, wybierają przy takich sądach dla wspólnej uczty tłustszych, a akurat pan Czechowicz był tłustszy.

I gdy pomyślę, co może prowadzić ludzi do tego rodzaju znikczemnienia, to nie mogę nie powiedzieć, że usprawiedliwić i wyjaśnić to znikczemnienie może jedynie przyzwyczajenie do wogóle nikczemności zwyczajów i obyczajów Sejmu w Polsce. W tych zwyczajach i obyczajach leży wychowanie posła w sposób najbardziej nieprzyzwoity, najbardziej hultajski, jaki sobie wyobrazić można, gdyż główna myśl i główne staranie tych panów jest zawsze o utrzymanie zupełnej bezkar-

ności posła za wszystkie jego czynności, chociażby najbardziej nieprzyzwoite i najbardziej sprzeczne z najelementarniejszem poczuciem honoru. Polska przecie chowała swych posłów w pierwszym Sejmie, t. zw. suwerenów, w bezkarności zdrady państwa podczas wojny, bezkarności płatnego szpiegostwa w stosunku do armji, będącej w polu i umierającej za Ojczyznę. W drugim zaś Sejmie, w którym bodaj połowa posłów pochodziła z owej kuźni zdrady państwa, posłowie wychowywali się w korupcji, tak dalece sięgającej i tak często uprawianej, że głos posła kosztował niekiedy nie więcej, jak 50 złotych. Z tej zaś błotnistej prawdy Sejmu wyszło przecie do 110 posłów i w obecnym Sejmie.

W tej amoralnej atmosferze, w tej atmosferze moral insanity, słabe głowy tak przesiąkają swoją niczem nieusprawiedliwioną wielkością, że staje się dość niemożliwem obcowanie z takimi ludźmi, tak, powiedzmy, jak dość trudnem jest obcowanie nawet dla lubiących bardzo dzieci z dziećmi z zakładów poprawczych. Ci panowie, konkurujący wiecznie z jedynym suwerenem państwa, gdyż sami się czują suwerenami, dochodzą w swojem postępowaniu — powtarzam, przy bardzo słabych często głowach — do mniemania, że jeżeli brzuch go zaboli i jest z tego powodu w złym humorze, to to jest najważniejszy wypadek dla całego państwa. A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiać musi jego zafajdaną bieliznę, a jeżeli przytem zdarzy mu się wypadek, że zabździ, to to jest już prawo dla innych ludzi, a najbardziej dla ministrów, którzy muszą nie pracować dla państwa, ale obsługiwać i fagasować tym zafajdanym istotom.

W sposobie zachowania się wychowanych w moral insanity panach jest coś tak bezczelnego i tak

zciemniałego pod względem umysłu, gdyż nawet idjotyzm jest bezkarny — a nieszczęsna Polska i to szanować musi — że każdy, cokolwiek rozumny człowiek, z trudem wytrzymuje to towarzystwo, gdy wymagają od niego, żeby szanował głupstwa, chociażby pluł sobie potem w oczy, żeby milczał, gdy go obrażają i lizał ich zafajdane ubranie.

Do tego doprowadziło to gwałtowne staranie o bezkarność za wszelką zbrodnię, do tego prowadziło czynienie z Sejmu związku zawodowego ludzi chorych na fajdanitis poslinis. I trzeba nie mieć wstydu, zatracić go zupełnie, żeby w tym fajdanitysie poslinim widzieć główny prestige Sejmu.

Jednym z moich licznych projektów dla uleczenia tego raka życia polskiego była myśl o daniu przed wysłuchaniem ministra korepetytorów dla panów posłów dla nauczania, jak rozumnie stawiać pytania. Lecz porzuciłem tę myśl, gdyż nie wątpiłem, że panowie posłowie odmówią wycofania części ich gaży dla opłaty korepetytorów i w dodatku przy chorobie na fajdanitis poslinis nie można przecie pedagoga bez rózgi postawić dla nauczania.

W tych warunkach praca tych, co krajem rządzą i którzy tyle roboty swojej wkładają w swoje resorty, że praca ich przewyższa najczęściej przeciętnie wymaganą ilość pracy ludzkiej — w tych warunkach — powtarzam, życie takich ministrów z panami, chorymi na fajdanitis poslinis, stać się musi jakąś katorgą nie do zniesienia. To też nigdy nie zapomnę określenia jednego z najinteligentniejszych z naszych ministrów, że po rozmowie musowej dla niego z panami posłami ma on wrażenie, że wyszedł z menażerji, zapełnionej złośliwemi małpami, załatwiającemi wszystkie swoje potrzeby

publicznie i nie starającemi się wcale być podobnemi do ludzi. I doprawdy nigdy nie rozumiem, jak w takim fajdanitis poslinis szukać jakiegoś prestige'u Sejmu, kiedy to tylko obniżenie człowieczeństwa.

Przy takiej charakterystyce panów z większości sejmowej, może i można znaleźć wytłumaczenie tak nienaturalnie skonstruowanej prawdy o sprawiedliwości, jaka była zastosowana w Sejmie do pana Czechowicza, z jakiemś bezczelnem negliżowaniem oświadczenia pana Bartla, do czego ja, będąc tak ciężko chory, przyłączyć się nie mogłem. Taka nikczemna sprawiedliwość nie może być wytłumaczona inaczej, jak nabytemi przez dłuższy czas przyzwyczajeniami do ludożerstwa, gdzie wybór pada na tłustszego, tembardziej, gdy rozporządza workiem złota.

Przechodzę jednak do wrażeń człowieka chorego, który, powtarzam, był mocno zobojętniały na wszystko, prócz może własnych dzieci. Pan Bartel, jako Szef Gabinetu, przyszedł do mnie raz jeszcze na krótką bardzo chwilę, chcąc przed gabinetową radą ministrów wziąć i moją opinję o sytuacji parlamentarnej. Powtórzyłem mu swoje zdanie wyżej wymienione raz jeszcze i radziłem, żeby pan Czechowicz, jako oskarżony, negliżował całą sytuację tak dalece, że nie chodziłby na jakiekolwiek posiedzenia, związane z jego oskarżeniem. Dodałem, iż należy przypuszczać, że budżet będzie odrzucony i że wobec tego musi nastąpić zmiana Gabinetu i cały kłopot spadnie na głowę Pana Prezydenta. Prosiłem więc, aby powiedział Panu Prezydentowi, że wydaje mi się, iż wszelkie niebezpieczeństwo życia zaczyna ode mnie się już odsuwać i że pan

Prezydent w zupełności liczyć może na mnie, jako tego, co Gabinet poprowadzi.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy nazajutrz, czy w dzień potem, wpadł do mnie pan Bartel, z przerażeniem stwierdzając, że na radzie gabinetowej ministrowie nie dali sobie rady z samym panem Czechowiczem, który chciał widzieć swój honor urażony, gdyby nie stanął do odpowiedzialności, gdy jego właśnie mogą oskarżać o jakieś nadużycia skarbowe. Stwierdził mi, że pan Czechowicz jest tak rozdrażniony i tak się czepia uraz swego honoru, że sesja skończyła się niczem. Wzruszyłem na to ramionami, gdyż gdzież szukać honoru u jakichś małp. Odpowiedziałem jednak, że my nie możemy stanąć w takim razie na innem stanowisku, jak, że honor jest zawsze indywidualnie pojmowany i że my w żadnym wypadku honoru swego kolegi narazić nie możemy. W ten sposób stanął pan Czechowicz do rozpraw Sejmu. Ja nie chcę urażać honoru pana Czechowicza, lecz doprawdy poco honor w brudnych miejscach umieszczać!

Wyznam, że będąc chorym, przeczytywałem dwa pisma, ot tak, dla zabicia czasu i dlatego mogę spokojnie postąpić odpowiednio do tytułu, że piszę tylko o wrażeniach chorego człowieka. Albowiem w kwestji zasadniczej oczekiwałem, jako prostej logiki zdarzeń: odrzucenia budżetu panu Bartlowi i więcej myślałem o tem, jak postąpię przy formowaniu Gabinetu, niż o detalach pracy panów ministrów w Sejmie. Posyłałem codziennie Panu Prezydentowi zapewnienie, że czuję, iż powracam do zdrowia i że z zupełnym spokojem na mnie będzie mógł włożyć obowiązki formowania nowego Gabinetu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że róż-

ne perypetje,które się zaczęły dziać z panem Czechowiczem w ludożerskiem towarzystwie, niezmiernie mnie bawiły.

Po pierwsze wyskoczył tam nagle jakiś Lieberman, jako główny tenor w tej smrodliwej operce. Pan ten ciągle stawiał jakieś tezy, tak, jakgdyby był Lutrem, chcącym te tezy przybić do wrót kościelnych. Gdy starałem się zrozumieć cel i treść tych tez, co kilka dni wyrzucanych na świat, tom ani razu nie mógł dojść do ich pojęcia i zrozumienia. Gdym zmęczony chorobą wieczorami niekiedy sobie przypominał tę śmieszną komedję, to zawsze widziałem, jak ten Lieberman występuje, jako fakir i stwierdza, że on zaraz tak się zakręci, że nóg nie będzie widać wcale, a tylko kręcący się w młynku tułów, lecz zato skądś wydobędzie tezę, którą rzuci zdumionemu światu. I widziałem istotnie, jak Lieberman powoli tracił nogi, nie opierając się zupełnie na ziemi, jak widocznemi były poły fraka adwokackiego, unoszące się nad jego brzuchem i odwrotną częścią ciała i jak to z gęby, to z innych części ciała wydobywał jakieś kulki, rzucając niemi dokoła siebie. Lieberman był to komiczny dyszkant opery sejmowej. Ciężkim zaś i bardzo ciężkim tenorem był niejaki pan Woźnicki.

Ten pan, jak zresztą i Lieberman, już posłuje w trzecim Sejmie, jest więc żelaznym posłem i do niego w całej rozciągłości zastosować można to, co mówiłem o chorobie fajdanitis poślinis.

Znałem tego pana oddawna, gdy w pierwszym jeszcze Sejmie zajmował stanowisko tak zwanego mego sympatyka. Był już wtedy bardzo ciężki na umyśle, tak, że nieraz rozmowę kończyłem propozycją, aby może zechciał o swoich wysokich myślach pomówić z moją Wandą, wówczas jeszcze

dwuletnią, zamiast rozmawiać ze mną. Gdy zaś stał się już teraz ludożercą, polującym czy na tłuszcz p. Czechowicza, czy na jego worek, to stężał mocno w swoim umyśle. Przypominam sobie z bardzo dawnych czasów, gdym wypadkowo, zastępując swego kolegę, miał na czemś w rodzaju korepetycji chłopca, chcącego złożyć egzamin z 4-ch klas gimnazjalnych i pamiętam dobrze, jak musiałem jemu wykładać algebrę, która rozpoczynała swą wędrówkę po główkach chłopców już w klasie trzeciej. Osobiście będąc bardzo zdolnym chłopcem, nie mogłem sobie przypomnieć, aby te początki algebry stanowiły dla mnie jakąkolwiek trudność. Jakież jednak było moje zdumienie, gdym nie mógł tego biednego chłopca przekonać, że jeżeli dodamy do a b, to suma będzie a + b, gdyż ten nieszczęśliwiec uważał, że to będzie ab, czyli zmieniał dodawanie na mnożenie. Pracowałem nad tem zagadnieniem cierpliwie dwa długie tygodnie codzień, tracąc z dniem każdym cierpliwość i możność posiadania jakiejkolwiek względności dla tego biedaka. Biedny chłopak w końcu drugiego tygodnia przy podejściu do tej tak prostej dla mnie kwestji, zaczynał potnieć tak gwałtownie, że zdawało mi się, zacznie mdleć. Sama jednak kwestja nieszczęsnej abstrakcji, związana z pojęciem wielkości „a i b“ nie udawała mu się ani razu, gdyż jego biedny umysł przerabiał to ciągle na zwykłe litery a i b. A mój kolega nie przyjeżdżał i z obowiązku musiałem to nieszczęście ciągnąć dalej. W końcu po dwóch tygodniach straciłem zupełnie cierpliwość i ja, którym nigdy dziecka palcem nie dotknął, zdecydowałem, że jedyną formą nauczania takiego hebesa jest siec go rózgami tak, by przynajmniej mechanicznie odzwyczaił się od

głupiego mięszania liter z wielkościami matematycznemi.

Ten nieszczęsny biedak żywo mi przypomina pana Woźnickiego, posła z trzech Sejmów i ludożercę, polującego niewiadomo czy na tłuszcz pana Czechowicza, czy na jego worek. Naturalnie, zdarzają się takie wypadki, że Wielki Stwórca Świata komuś zapomni zawiesić w głowie latarnię. I cóż na to poradzisz? Czyż można Panu Bogu zaglądać w Jego kuchnię ludzką? A może Wielki Stwórca w Swem miłosierdziu nad naszą biedną i skołataną Ojczyzną chciał z tego durnego hebesa stworzyć ilustrację bodaj najjaskrawszą, jak fajdanitis poślinis jest nietylko nikczemnem, ale i idjotycznem. Niewątpliwie wielkie przysłowie polskie twierdzi, że lepiej z rozumnym przegrać, niż z durniem wygrać. Przysłowie słuszne i dlatego fajdanitis poślinis, gdy jeszcze jest piekielnie głupiem, jest najbardziej wstrętnem i obrzydliwem. Bo trudno, latarnia w głowie nie zawieszona i może się stworzyć przysłowie „głupi, jak Woźnicki", ale zato każdy minister ma słuchać z powagą głupstw tego pana, paskudnych jego oskarżeń i ma zafajdaną i zapoconą od wysiłku myślowego zawodowego idjoty bieliznę jeszcze lizać.

Kiedy więc słuchając przy słabnącej już gorączce radja sejmowego, w którym to komiczny dyszkant Liebermana, to tępy do niemożliwości tenor Woźnickiego się rozlegał, myślałem wciąż, że logicznem zakończeniem tej fajdanistycznej opery musi być odrzucenie budżetu — tymczasem w tej nieodpowiedzialnej a zafajdanej dostatecznie atmosferze i logika nie obowiązuje. Zamach na Czechowicza, który może trochę tłuszczu stracił, lecz worka nie popuścił, został zakończony triumfalnym

marszem fajdanów poselskich z protestem nowego prądu, zbawczego dla Polski, a reprezentowanego przez klub bezpartyjny. Natomiast budżet rządu, który się solidaryzował — i ciągle to powtarzał — z oskarżonym przed Trybunałem Stanu panem Czechowiczem, budżet ten został uchwalony i w ten sposób rząd otrzymał tak, jak votum zaufania.

Cała więc sprawa stanęła tam, gdzie istnieje fajdanitis poślinis, to jest w jakiemś błocie. To znaczy marsz triumfalny dla prestige'u fajdanitis poślinis, dla jego wielkości i znaczenia, natomiast umizg do jedynego możliwego obecnie rządu może o worek pieniężny. W ten sposób jakoby rośnie prestige Sejmu i chorych na fajdanitis poślinis posłów. Najciekawszem jest, że rząd, którego główni przedstawiciele solidaryzowali się z oskarżonym, ma teraz dla większego prestige'u fajdanitis poślinis organizować Trybunał Stanu na jednego ze swoich kolegów i ma siebie tak shańbić, jak się shańbiła większość sejmowa ze swoją sprawiedliwością. Rząd ma się postawić na równi jednakowej ze śmierdzącym fajdanityzmem. Jeżeli, czegobym zresztą w tym wypadku życzył, miałbym być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że Trybunał Stanu nie ośmieli mi się zebrać ani razu, gdyż takiej równi z fajdanami ja sobie nie życzę.

Dodatkowy zupełnie przysmaczek, całkiem już oryginalny, o którym się dowiedziałem, jest ten, że do ostatniego posiedzenia budżetowego Sejmu, jakby dla upiększenia chorych na fajdanitis poslinis ludzi, ściągano do Sejmu jakieś bojówki partyjne. Żałuję mocno, że byłem tak chory, że nie mogłem być czynnym w tym dniu, gdyż nie mógłbym poprostu wytrzymać bez ataku na te bojówki, złożone z bandytów, którychbym osiekł publicznie na po-

dworzu Sejmu. Cóż to za nowe magnaty polskie, zbierające swoje wojska, dlatego, by Polska nierządem stała, cóż to za takie prawa przyswaja sobie fajdan poselski, żeby bandyckie sfory czynić udziałem w pracach państwowych. Wyznam, że podziwiam Pana Ministra Spraw Wewnętrznych, że mógł pozwolić na takie bezeceństwa. Usprawiedliwienie może jedyne ma pan Składkowski w tem, że zastępować musiał chorego Szefa Gabinetu, lecz osobiście ostrzegam, że fajdanizm w tym wypadku idzie za daleko i że pan fajdan wraz z bandytami może znacznie więcej odpowiedzieć, niż sobie wyobraża, za takie bezecne czynności.

Pomijając ten bohaterski bas bandytów fajdanistycznych, cała afera sesji budżetowej skończyła się komizmem, który, jak mówiłem, już jest obrzydliwy i wstrętny. Ośmieszono i znieważono wszystko: i Sejm, i rząd, i nieużywane dotąd słowo Trybunał Stanu, wymalowano wszystko na kolor fajdanów. I teraz, gdy niekiedy spokojnie na tę bzdurę patrzę, to jednak przypomina mi się moje biedne dno oka. Ten Trybunał Stanu jest zdumiewająco podobny do dna oka. Przepraszam zaś zgóry jak najmocniej i najsilniej sympatycznego doktora, ubranego w mundur, że go do jakichś fajdanów przyrównuję. Nie chciałbym go w żadnym wypadku tak głęboko obrażać. I naturalnie różnica dna oka, tego tajemniczego dna zwyczajnego człowieka, nie może być podobna do stwardniałego oka, używanego do wszelkich nadużyć i łajdactw, z któremi my mamy do czynienia przy fajdanitis poślinis, oka, które kary żadnej nie chce mieć.

Kto wie, może przy użyciu stameski i młotka, takie dno oka da także jakieś tajemnice, nam dotąd nieznane. A chowane tak gorąco w cieple upra-

gnionej bezkarności i nieodpowiedzialności nawet honorowej, której żądają i życzą stale panowie posłowie, jeszcze raz z zaszczytnym wyjątkiem największego klubu sejmowego, klubu Bloku Bezpartyjnego, gdy zazna odpowiednich instrumentów, może się nauczy choć wstydu i przyzwoitości.

## POŻEGNANIE PROF. DR. KAZIMIERZA BARTLA.

(16.IV.1929 r.)

*W marcu 1929 r., ówczesny Prezes Rady Ministrów, prof. dr. Kazimierz Bartel, po trzech prawie latach pracy państwowej, złożył podanie o dymisję, motywując je stanem swego zdrowia. Pan Prezydent Rzeczypospolitej w dniu 13 kwietnia przychylił się do przedstawionej mu prośby i zwolnił prof. dr. K. Bartla, tudzież wszystkich jego ministrów z piastowanych przez nich urzędów, powołując w następnym dniu do prac nowy gabinet z dr. K. Świtalskim na czele.*

*We wtorek 16 kwietnia Marszałek Piłsudski zaprosił do Belwederu na herbatę ustępującego premjera prof. dr. K. Bartla, wszystkich członków jego gabinetu i nowomianowanego premjera dr. K. Świtalskiego wraz ze wszystkimi jego ministrami. Na herbacie tej Marszałek Piłsudski zwrócił się do prof. dr. K. Bartla z następującemi słowami:*

„Panie Kazimierzu! Wśród wielu rzeczy, które przeżyłem w ostatnich latach, Ty byłeś tym, który mi najwięcej pomagałeś. Wśród spraw, których dokonałeś, zostanie jedna rzecz, która jest aere perre-

nius — technika pracy państwowej, która dzięki Tobie stała się znacznie wyższa, niż dawniej. Polska technika państwowa stała do niedawna na stopniu tak niskim, że brała rozpacz, gdyż była gorsza od techniki najmniejszych państw. Pod tym względem, panie Kazimierzu, stworzyłeś to, że Polska nieraz jest podziwianą pod względem umiejętności rządzenia.

Spotykałem nieraz ludzi, z którymi o rzeczach państwowych rozmawiałem, i po Tobie nie umiałem się z nimi zupełnie porozumieć. Nie brali oni pod uwagę tego, że za Twoich czasów wiele odskoczyliśmy od tamtych dni, gdy jeszcze najmniejsze państwo było pod względem techniki rządzenia od nas lepsze.

Ty sam może nie doceniasz tej Twojej zasługi wobec państwa, a przecież państwo może istnieć tylko wtedy, gdy umie się rządzić. Wyjeżdżasz obecnie celem poratowania Twego zdrowia, Twoich nerek, jak mówią ludzie, którzy umieją anatomicznie, po lekarsku, badać ustrój. Wrócisz po powrocie Twego zdrowia do nas, jak swój, jak kolega.

Niechże zginą Twoje „nerwy", niechże zginą Twoje „nerki".

## W SPRAWIE GEN. MINKIEWICZA.

(8.V.1929 r.)

*W pierwszych dniach maja 1929 r. gen. dyw. Minkiewicz zwolniony został ze stanowiska Dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza. W związku z powyższem Marszałek Piłsudski, jako minister Spraw Wojskowych, wystosował do Prezesa Rady Ministrów pismo treści następującej:*

Proszę Pana Prezesa Rady Ministrów o zakomunikowanie prasie, co następuje, z powodu zwolnienia przeze mnie dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP).

Przy zwolnieniu gen. Minkiewicza zastosowałem formę, która może dać powód do głupich plotek i jeszcze głupszych domysłów i podejrzeń w stosunku do gen. Minkiewicza. Dla wyjaśnienia stwierdzam, że zastosowałem tę formę nie z jakiegokolwiek innego względu, jak z tego, że w naszem państwie istnieje zwyczaj, nadzwyczajnie rozpowszechniony wśród ludzi, zajmujących wyższe stanowiska, utrudnienia swemu następcy spełniania swego obowiązku. Czyni się to z wielką łatwością, gdy, uważając rzecz publiczną za prywatną, zabierze się z sobą po odejściu ze służby różne papiery i korespondencje, tak, iż następca ma skutki

rozpoczętych poprzednio spraw bez ich początku i musi poświęcać masę czasu na zrozumienie nieraz małego interesu. Zwyczaj ten nietylko, że jest bardzo rozpowszechniony, ale doprowadza do zupełnej zatraty etyki państwowej, tak, iż dokumenty o państwowem znaczeniu giną zupełnie lub też leżą w ukryciu po najrozmaitszych składach i składzikach u prywatnych zupełnie osób.

Państwo przy tego rodzaju etyce wygląda nieledwie jak publiczny dom i to bankrutujący, z którego każdy wynosi, co chce i ukrywa, stwierdzając w ten sposób, że mieszka tam jakiś wielki wstyd.

Nie mogę przytem nie zauważyć, że bodaj ja jeden, gdym odchodził ze stanowiska Naczelnika Państwa, nie zrobiłem wstydu swemu urzędowi, lecz za to byłem też i ukarany, gdyż następujące po mnie rządy porozkradały moje papiery, fałszowały moje podpisy, — ba — nawet rozkradały moją prywatną własność.

Jeżeli więc uczyniłem formę oddania następcy pana generała Minkiewicza dość drażliwą dla niego, to nie dlatego, bym generała Minkiewicza o coś zdrożnego podejrzewał, lecz dlatego, że nie widzę innego sposobu dla wdrożenia w państwo bardziej uczciwych i bardziej etycznych metod życia".

Minister Spraw Wojskowych
*J. PIŁSUDSKI*

## OŚWIADCZENIE W SPRAWIE MIN. SKARBU GABRJELA CZECHOWICZA.

(4.VI.1929 r.)

*W dniu 27 maja 1929 r. zgłosił się u Marszałka Piłsudskiego sędzia sądu najwyższego p. Zaleski z prośbą o zeznania w sprawie postawionego w stan oskarżenia ministra skarbu Gabrjela Czechowicza. W związku z tem Marszałek Piłsudski w dniu 4 czerwca przesłał na ręce p. Zaleskiego następujące oświadczenie:*

W związku z protokółem, sporządzonym przez pana u mnie z d. 27 maja r. b., przesyłam panu moje oświadczenie w sprawie przekroczeń budżetowych w budżecie za rok 1927/28.

Historja przekroczeń budżetowych z budżetu, przeprowadzonego przez gabinet pod mojem kierownictwem, jest następująca:

Dochody tego roku przekroczyły i przekraczały stale miesięcznie preliminowane w budżecie dochody w wyraźnym nieproporcjonalnym stosunku. Gdy, jako szef gabinetu, starałem się te pocieszające zjawiska zanalizować, przychodziłem zawsze do wniosku, że główną przyczyną tego faktu było: a) usunięcie wielkich nadużyć z pieniędzmi skar-

bowemi, które się działy przy poprzednich rządach partyjno-sejmowych; b) olbrzymia praca p. ministra Czechowicza, który system podatkowy uporządkował w ten sposób, iż nie było unikań tylu płacenia podatków przez osoby, chociażby w najmniejszym stopniu protegowane, a wreszcie

c) I temu przypisuję nie mniejszą wagę — poprawienia się stanu ekonomicznego kraju, który zaczyna wychodzić z anarchji i bezładu, z okresu spekulacji i niezdolności jutra.

Oprócz tego zawarta została po długich i żmudnych pertraktacjach przy moim personalnym nacisku pożyczka w Amryce na dogodnych dla Polski warunkach. Pożyczka ta, t. zw. stabilizacyjna, jeszcze bardziej utrwaliła pewność sytuacji ekonomicznej i zawierała, jako jeden z punktów, punkt, który dozwalał Polsce wydać z tej pożyczki 10 miljonów dolarów na inwestycje.

Z tych powodów nagromadziła się w kasie państwowej względnie wielka ilość pieniędzy poza preliminowanemi dochodami. Nie sądziłem, ażeby można było zatrzymać te pieniądze w kasach, nie wydając ich możliwie szybko drogą państwową, w przeciwnym bowiem wypadku nie mogliśmy, jako Rząd, dostatecznie silnie zwalczać zgubne zło w naszym kraju, lichwę pieniężną i wszelkie inne. I tylko w ten sposób wydając pieniądze, osiągnęliśmy ten wysoki rezultat, iż obniżyliśmy bardzo stopę procentową, istniejącą w Polsce.

Gdy więc mus wydawania pieniędzy i przekroczeń budżetowych jest ostatecznie wyjaśniony, przechodzę do formalnego stosunku w tej materji do Sejmu.

Gabinet swój ułożyłem w ten sposób, iż odrazu zażądałem od wszystkich ministrów, a więc i od

p. Czechowicza, że stosunek do Sejmu określany i przepracowywany jedynie przeze mnie osobiście i nikt z ministrów nie ma prawa bez mego na to zezwolenia prowadzić stosunku do Sejmu samodzielnie.

Zabezpieczyłem w ten sposób pewność siebie w pracy panów ministrów oraz szybką i względnie sprawną ich robotę i decyzję, bez oglądania się na to, czy komuś to się podoba, czy nie i brałem w ten sposób jedynie na swoje barki całą formalność, wiążącą Rząd z Sejmem.

W r. 1927 Sejmu nie zwołałem wcale, dociągając do końca pełnomocność ówczesnego Sejmu bez jakiegokolwiek posiedzenia. W tej zaś sprawie specjalnie nie chciałem wcale szukać jakiejkolwiek opinji Sejmu, gdyż uważałem, że Sejm ten jest tak splugawiony korupcją i nieuczciwą w stosunku do państwa pracą, iż niepodobna mu oddawać prac większego państwowego znaczenia do rozstrzygania.

Nie mówiąc już o tem, że żadna sprawa, wymagająca szybkiej decyzji, przez Sejm prowadzona być nie może, gdyż sama metoda pracy Sejmu, nawet przy najlepszych jego chęciach, ze zwyczajami i obyczajami, dotychczas istniejącemi w Polsce, tak każdą sprawę przeciąga, że podlega tylu śmiesznym i nonsensownym formalnościom, iż każdy termin miniętym będzie i sprawa rozstrzygniętą nie zostanie.

Dodam jednak, iż p. Czechowicz pomiędzy moimi ministrami stanowił może pod jednym względem wyjątek, iż chciał być najbardziej ze wszystkich w zgodzie ze wszystkiemi przepisami, wytworzonemi przez poprzednie życie i zawsze uważał za swój obowiązek lojalnie mi wskazać na to, iż

przekraczam przy swej pracy ten czy inny przepis, lub w jego wyobrażeniu ustawę.

W historji formalnego mego stosunku do Sejmu przechodzę do obecnego Sejmu, w którym budżet, przedstawiony przeze mnie na następny rok, został przyjęty.

Przy pierwszem spotkaniu się z tym Sejmem odrazu oceniłem, że większość tego Sejmu chce pozostać wierną najwstrętniejszym tradycjom sejmowania u nas i nie chce zmienić — co uważałem za główne — głupich metod swojej pracy.

Dlatego też postanowiłem odrazu uniknąć przedłużenia dyskusji budżetowej przez prowadzenie długotrwałej, nudnej i głupio prowadzonej dyskusji nad dodatkowemi wydatkami. Czyniłem to tembardziej usilnie, iż spostrzegłem odrazu, że przy metodzie przeciążanie pracą panów ministrów jest tak niezwykle wielkie, iż niepodobna było oczekiwać przy sesji sejmowej normalnej i rozumnej pracy, wobec tego też w samym początku sesji przy zwykłej naradzie o finansach państwa z p. Bartlem, moim pomocnikiem i p. Czechowiczem, ministrem finansów, poleciłem przeprowadzić rachunek zakończenia roku budżetowego jak najdłużej, tak, aby wszystkie obliczenia, związane z nadmiarem pieniądzy, nie mogły być dokonane w takim czasie, aby się zjawiła konieczność przedstawienia Sejmowi budżetu z dodatkowemi kredytami.

Bałem się wtedy bardzo o jedno, że spóźnię się z rozpoczęciem robót budowlanych, projektowanych na szerszą skalę, i gdy nie będę czynił zawczasu usiłowań do zrobienia szczegółowych kosztorysów i planów, postanowiłem tedy zrobić coś w rodzaju fuszerki, to znaczy wyznaczyć kredyty, że tak powiem, na wyrost, bez ścisłych obliczeń, gdyż

uniknąłem w ten sposób największej fuszerki, jakiejbym dokonał, gdybym spróbował normalnej pracy preliminowania nadzwyczajnych kredytów przez Sejm.

Wobec tego, że w końcu sesji sejmowej ciężko zachorowałem, mieszają mi się do pewnego stopnia w pamięci daty tych, czy innych rozmów, oraz daty tych czy innych decyzyj, danych p. Czechowiczowi.

Pamiętam jednak, że nie dopuściłem do naturalnego na czas wykończenia rachunków z ubiegłego już roku budżetowego, że przeciągnąłem w ten sposób możliwość zakończenia obliczeń co do wydatków dodatkowych poza sesją sejmową.

Największą trudnością, powtarzam, było dla mnie rozpoczęcie różnych budowli bez jednoczesnego przytem wyłożenia ich do budżetu.

Dodam na usprawiedliwienie swej fuszerki, w stosunku do państwa ona groźna nie była, gdyż kredytowania nawet przy przypuszczeniu, że dana praca nie będzie mogła być wykonana, zostawia jednak niewydane pieniądze w kasie państwowej.

Pamiętam jednak, że przy wszystkich rozmowach, które w tym czasie z p. Bartlem i p. Czechowiczem prowadziłem, obaj ci panowie nosili się jednak z zamiarem przedstawienia tych nadzwyczajnych wydatków na uchwałę Sejmu i ustępowali zawsze pod moim wyraźnym naciskiem.

Dodam do tego oświadczenie, że nie mogę dostrzec w tem mojem postępowaniu ani jednej chwili, abym przekraczał czy konstytucję, czy jakąkolwiek ustawę.

Wobec tego, iż pan w rozmowie ze mną podzielił całość t. zw. przekroczeń budżetowych na dwie całkiem nierówne części, tak, iż w jednej jest wszyst-

ko, a w drugiej jest 5 miljonów, oświadczam, iż w tej właśnie kwestji 5 miljonów, które zostały przelane do mej dyspozycji, jako szefa gabinetu, nie chcę w tej chwili wchodzić in meritum sprawy, natomiast stwierdzam, iż przy żądaniu przeze mnie tych 5 miljonów, na co ma pan w aktach mój list do pana ministra skarbu, miałem jak zwykle i w innych wypadkach zastrzeżenie, uczynione przez p. Czechowicza.

Nie widzę jednak żadnego powodu, aby te pięć miljonów w jakikolwiek sposób się różniły od wszelkich innych wydatków t. zw. przekroczeń budżetowych.

Na zakończenie podkreślam, że gabinet mój był tak urządzony i tak postawiony przeze mnie, że wszystkie formalności, związane w stosunkach ze Sejmem, leżały na mnie jedynie i że żądałem od wszystkich ministrów, ażeby zaniechali czynić te rzeczy na własną rękę, tak, że oskarżenie p. Czechowicza wydaje mi się nietylko nonsensownem, ale i wysoce nieetycznem.

*J. PIŁSUDSKI*

4.VI.29.

# WYCHOWANIE FIZYCZNE DZIECI I MŁODZIEŻY.

(22.VI.1929 r.)

*W dniu 22 czerwca 1929 r. odbyło się w sali konferencyjnej Ministerstwa Spraw Wojskowych drugie doroczne posiedzenie Rady naukowej wychowania fizycznego. Marszałek Piłsudski, jako Prezes Rady Naukowej, przewodniczył temu zebraniu i po referacie płk. dypl. Władysława Kilińskiego, dyrektora P. U. W. F., wygłosił przemówienie, które, według relacji „Głosu Prawdy", miało brzmienie następujące:*

Jeżeli wziąłem na siebie referat, związany z wychowaniem fizycznem, to tylko dlatego, że tyczy się to działalności pracy Szanownego Pana Ministra Oświecenia. Bałem się, że jeżeli tego nie wezmę, to nie będzie on poruszany. Nie uważam się za uprawnionego do wygłaszania zdania, jako człowiek, który nigdy nie zajmował się wychowaniem fizycznem, ale wygłaszam zdanie, jako człowiek, który reprezentuje interesy dzieci.

To jest pierwsze, natomiast drugą rzeczą jest pewna obawa, którą żywię: mamy tu do czynienia z rzeczami zupełnie nowemi, zupełnie nie stosowa-

nemi w naszym kraju, a wiadomo jest, iż rzeczy nowe łatwo ulegają w Polsce prawom projektomanji i nowości, skąd wynikają w końcu rzeczy trudne do zrozumienia. I z chwilą, kiedy dotkniemy właśnie szkolnictwa, ta druga prawda urasta ogromnie na znaczeniu. Niema bowiem silniejszego systemu programów, niż w szkole i nawet wojsko może pozazdrościć tego systemu programów, jaki jest w szkołach.

Podzieliłem swój referat na dwie części: pierwszą częścią są uwagi w stosunku do istniejących prawd wychowania fizycznego we wszystkich szkołach, które czynię z zupełną śmiałością, jako przedstawiciel dzieci i jako przedstawiciel ujmowania tej sprawy przez dzieci. Drugą częścią jest sprawa podciągnięcia wychowania fizycznego do konieczności wynalezienia pewnego miernika powodzenia w tym przedmiocie, jaki w każdej szkole istnieje dla każdego innego przedmiotu, przy określeniu minimum tego, czego się wymaga.

Nie mogę nie zacząć przedewszystkiem od przymusu indywidualizacji. Indywidualizacji przedewszystkiem dla młodszych klas i młodszych dzieci. Próba ta, jakiegokolwiek upodobnienia w wychowaniu fizycznem do programu np. łaciny, t. zn. oparcia się na tem, co było przedtem, ażeby iść dalej nie wytrzymuje zupełnie krytyki w zastosowaniu do dzieci młodszego wieku. Przyglądając się np. moim pannom, widząc, jak szybko rosną, dochodzę do wniosku, że w ich rozwoju rok do roku jest już tak niepodobny, że trudno dziś stosować do nich te metody, jakie się stosowało przed rokiem. Jeżeli więc wychowanie fizyczne nie będzie zwracać uwagi na ten szybki rozwój, jakiemu podlegają dzieci, szczególniej w młodszym wieku, to

stanie się ono dla dzieci czemś nudnem, stanie się wprost dla nich pewnym ciężarem.

Drugą indywidualizacją, na którą bardzo usilnie zwróciłbym uwagę, jest pewna niejednakowość typów wychowania fizycznego w stosunku do większych miast, miast mniejszych i wsi. Dotyczy to zarówno znacznych odległości, jakie dzieci wiejskie, idąc do szkół, przebywać muszą, jak również wynalezienia odpowiednich terenów w większych miastach dla sprawy wychowania fizycznego, co w przeciwstawieniu do wsi jest rzeczą trudną. Otóż o ile w tych zagadnieniach istnieje pewien brak indywidualizacji, brak ten byłby zdaniem mojem ogromnie szkodliwy. I tu obawiam się wprost podciągnięcia pod pewien strychulec sprawy wychowania fizycznego, a nie zapominajmy, iż podciąganie pod pewien przymusowy strychulec szeregu zagadnień jest pewną tendencją szkoły.

Przechodząc do dziedziny tak zwanych dyplomowanych instruktorów, wydaje mi się wogóle wątpliwą konieczność istnienia dyplomowanych instruktorów w niższych klasach, a to z następujących powodów: Wszelka praca wyższa o wyższem znaczeniu pociąga za sobą ogromne obciążenie prawdami formalnemi. I trzeba mieć specjalne zdolności, ażeby z tem obciążeniem dać sobie radę, zabierając się do kształcenia innych, a zwłaszcza dzieci. Dlatego więc dla prowadzenia dzieci młodszych, nawet dla chłopców, wydaje mi się, że w pracy w. f. najlepszą jest kobieta, która z natury rzeczy ma dar właściwego podejścia do dzieci i łatwość zajęcia się niemi. Nie należy tu bowiem sięgać do wielkich prawd, związanych u nas z wychowaniem fizycznem, a raczej iść tem, co jest zabawą, ruchem, co jest małem wymaganiem, do

czego nie trzeba przykładać zbyt wysokiej miary, związanej z wielkością rzeczy, wykładanych w wychowaniu fizycznem.

I bezsprzecznie łatwiej trafia do umysłów młodszych dzieci umysł nieprzeciążony zbyt dużą ilością formalnych prawd i formalnych słów, który bierze dziecko tak, jakiem ono jest, i który bliżej stoi dziecka, pod względem ilości słów i pod względem ilości pojęć; a przecież o takim właśnie poziomie wykształcenia łatwiej jest dobrać potrzebny kontyngent wykładowców.

Oto moje uwagi. Uwagi te nie są ani krytyką, ani chęcią zmniejszenia wartości prowadzonej pracy. Gdybym wywołał tem samem ze strony pań i panów uwagi pod tym względem w stosunku do pracy w Ministerstwie Oświaty, byłbym rad niezmiernie. A obecnie przechodzę do innej sprawy, którą uważam za główną i co do której stawiam wnioski.

Mojem zdaniem w pracy wychowania fizycznego istnieje jedna trudność bardzo wielka i bardzo daleko idąca. Mówię o szkolnictwie. W szkole trudno jest o postawienie jakiegokolwiek miernika w pracy w. f. Miernikiem tym nie może być zdrowie, gdyż inne warunki, znacznie może cięższe i silniejsze, wpływają więcej na zdrowie, niż samo wychowanie fizyczne. Poprawa zdrowia za pomocą wychowania fizycznego i osobny miernik, uzyskany przez określenie medycznego stanu rzeczy przedtem i potem, jest niemożliwy naogół do znalezienia i obawiam się, że przy dogmatyce metody szkoły — jeżeli się nie określi miernika, do którego się dąży, z miernikiem tym może być w końcu tak, jak bywało z kaligrafją w dawnej szkole, kiedy można było mieć z niej złe stopnie, a mimo to przecho-

dziło się z klasy do klasy. Tymczasem wobec panującego w szkołach systemu przechodzenia z klasy do klasy jest dla dzieci rzeczą główną. Główną rzeczą jest liczenie się z faktem, czy można przejść z klasy do klasy. W końcu więc w praktyce łatwem może być zlekceważenie tego nieszczęsnego przedmiotu, który uważać będziemy za zbędny, za ową kaligrafję dawnych szkół, za „dodatkowy" język, którego można się nie uczyć.

Rozumiem, że w referacie moim robię pewne sprzeczności, z jednej strony obawiam się braku indywidualizacji, z drugiej — boję się braku formy. Muszę jednak zaznaczyć, że myśląc o tym nowym przedmiocie, jakim jest wychowanie fizyczne, który już daje tak piękne rezultaty, boję się, ażeby w swym dalszym rozwoju nie stał się czemś dodatkowem, podczas gdy w istocie winien on być podciąganiem i nauczycieli i dzieci do pewnych rzeczy koniecznych. Uważam więc wynalezienie tego miernika, o którym mówiłem, za rzecz pierwszorzędnej wagi i dlatego przygotowałem wniosek, w którym proszę, aby Rada Naukowa określeniem tego miernika i określeniem minimum, o którym mówiłem, się zajęła. Miernik i minimum. A więc dwa wnioski, w związku z czem będą utworzone może dwie komisje.

1) „Rada Naukowa wyznaczy komisję dla próby ustanowienia miernika powodzenia w wychowaniu fizycznem szkolnem na równi z innemi wykładanemi przedmiotami".

2) „Rada Naukowa wyznaczy komisję dla ustalenia minimum wysiłków, osiąganych przez wychowanków i wychowanice w wychowaniu fizycznem, przyczem minimum musi być ustanowione odpo-

wiednio do wieku, a to z tego względu, iż w niższych klasach trzeba iść z każdą klasą oddzielnie".

Streszczam, co powiedziałem. Zacząłem mój referat dlatego, by wysłuchać pod tym względem uwag możliwie szerokich w stosunku do prac szkolnych. Osobiście obawiam się dla szkoły dwóch rzeczy, związanych z w. f.: jednej t. j. zbyt małej indywidualizacji przy zbyt strychulcowem prowadzeniu pracy, drugiej — braku norm i celów, które się stawia wychowawcom do osiągnięcia w ciągu jednego roku. Uwaga zaś moja skierowana jest przedewszystkiem w stosunku do młodszych dzieci, by nie stosować względem nich wymogów, związanych raczej z intelektualnem wykształceniem, a dokonywać natomiast większych rezultatów przez umiejętne obchodzenie z dziećmi. Oto wszystko.

## LIST DO MERA MIASTA VERDUN.

(23.VI.1929 r.).

*W dniu 23 czerwca 1929 r. odbyły się w Verdun wielkie uroczystości, związane z zakończeniem odbudowy i odsłonięciem pomnika Zwycięstwa dla bohaterskich obrońców tej twierdzy. Mer m. Verdun specjalnem pismem zawiadomił Marszałka Piłsudskiego, jako polskiego ministra spraw wojskowych i obywatela honorowego m. Verdun, o dniu tej podniosłej uroczystości i prosił Go o wzięcie w niej udziału. Pilne sprawy państwowe nie pozwoliły Marszałkowi Piłsudskiemu na zadośćuczynienie tej prośbie; — polecił więc polskiemu attache wojskowemu w Paryżu, pułk. dypl. Błeszyńskiemu, reprezentować siebie na święcie verdunskiem, na ręce zaś mera miasta Verdun wysłał następujące pismo:*

„Szczerze wzruszony zaproszeniem pańskiem na uroczystości zakończenia odbudowy i inauguracji pomnika Zwycięstwa i Żołnierzy bohaterskiego Verdun, zawiadamiam Pana, iż tylko z racji nawału pilnych spraw bieżących na uroczystość tę przybyć, niestety, nie mogę.

Przesyłając na ręce pańskie moje najserdeczniejsze pozdrowienia dla tego Miasta, które swą boha-

terską obroną nowemi wawrzynami nieśmiertelnej chwały okryło sztandary Francji, proszę o przyjęcie również najlepszych mych życzeń dla miasta Verdun w imieniu wojska polskiego i mojem, jako obywatela honorowego".

## OŚWIADCZENIE PRZED TRYBUNAŁEM STANU

(26.VI.1929 r.).

*We środę 26 czerwca 1929 r. w dawnym pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie, rozpoczął się proces przeciwko b. ministrowi skarbu, p. Gabrjelowi Czechowiczowi, postawionemu w stan oskarżenia przez opozycję sejmową za przekroczenia budżetowe, — przekroczenia, jak już wspominaliśmy gdzieindziej, — nieuniknione i mające miejsce za wszystkich poprzednich rządów. Po zeznaniach oskarżonego i świadków — ministra spraw wewnętrznych, gen. Składkowskiego, i ministra przemysłu i handlu, inż. Kwiatkowskiego, zarządzono 15 minutową przerwę. W czasie przerwy przybył do gmachu sądu Marszałek Piłsudski.*

*Po wznowieniu posiedzenia prezes Trybunału p. Supiński polecił poprosić na salę rozpraw Marszałka Piłsudskiego.*

*Oświadczenie, jakie przed Trybunałem Stanu złożył Marszałek Piłsudski, brzmi dosłownie, jak następuje:*

Proszę Panów! Niestety, zacząć muszę od samego Trybunału Stanu, albowiem muszę zacząć od ustawy o Trybunale Stanu i muszę związać Trybunał Stanu, ustawę z p. Czechowiczem, Ministrem Skarbu, z którym miałem zaszczyt pracować, oraz z samym sobą.

Wybaczą Panowie, że dopiero wczoraj dotknąłem się do tej ustawy, po raz pierwszy przejrzałem ją i przeczytałem. Jeżeli będę mówił o Trybunale Stanu i jego ustawie, to nie chcę najzupełniej, aby Panowie brali cokolwiek do siebie, albowiem nie Panowie tworzyli tę ustawę i nie Panowie ją fabrykowali.

Wczoraj akurat byłem w sytuacji zupełnie trudnej dla siebie, albowiem byłem zniechęcony do wszystkiego i dlatego w tym, że tak powiem, złym humorze, przeczytałem ustawę o Trybunale Stanu. I wyznam Panom, że gdy przeczytałem art. 1-y o Trybunale Stanu, to wybuchnąłem śmiechem, albowiem konstrukcja tego artykułu 1, na który powołuje się oskarżenie, jest tak oryginalnie zabawna i tak oryginalnie koncypowana, że wyznam, iż nie śmiać się nie można. Ja ją przeczytam tak, jak sam przeczytałem: „Minister odpowiada konstytucyjnie przed Trybunałem Stanu za działania i zaniechania, wynikłe z winy umyślnej lub nie umyślnej, któremi w zakresie swego urzędowania, lub też ogólnego kierunku działalności i polityki rządu, naruszył Konstytucję Rzeczypospolitej lub inną ustawę, naraził Państwo na niebezpieczeństwo lub interesom państwa oczywistą i znaczną wyrządził szkodę.

Na tych samych zasadach minister odpowiada za działania i zaniechania Prezydenta Rzeczypospolitej, albo zastępującego go Marszałka Sejmu, a nadto we właściwym sobie zakresie urzędowania za działania i zaniechania podległych organów, a w zakresie ogólnego kierunku działalności i polityki rządu także za działania i zaniechania Rady Ministrów oraz innych ministrów, jeżeli owych działań lub

zaniechań stał się bezpośrednio winnym lub dopuścił się do nich z winy umyślnej lub nieumyślnej".

Jeżeli Panowie przejrzą to bogactwo określeń i bogactwo pojęć, rzuconych do tej ustawy, jeżeli Panowie zechcą porównać to z ubóstwem tych pojęć w Konstytucji, związanych z działalnością ministrów, to znajdziecie, że w działalności ministrów w Konstytucji niema tych pojęć, które tutaj są zawarte i że one wszystkie są ogólnikowe. Rzecz tak literacko napisana, że dwa słowa muszą stać obok siebie, np. „ogólny kierunek działalności", co jest użyte w Konstytucji, obok zaś stoi, dla zaciemnienia sprawy „polityka", co jest rzeczą bardzo względną, każdy mówi o polityce, każdy mówi inaczej. Jeżeli Panowie weźmiecie, że minister nieznaczne szkody Państwu czynić może, a tylko znacznych czynić nie może, pojęcie bardzo ogólnikowe i nic nie znaczące. Jeżeli zestawicie wszystkie urzędy, które tu są wymienione, to ja się zastanawiałem ciągle nad p. Czechowiczem, który jest oskarżony, co ten nieszczęśliwy człowiek zaniechał: „organy" z „marszałkiem Sejmu" — „znaczne szkody", z „Prezydentem Rzplitej". Wszystko jakieś tak skoncypowane rzeczy, że one podstawy myślowo-prawnej dać nie mogą. A czegóż ten pan Czechowicz zaniechał?

W akcie oskarżenia jest, że zaniechał Sejmu. Ale sama ustawa o Sejmie nie mówi, zatem, pozwala na zaniechanie Sejmu. Ja też, jako szef gabinetu, to czyniłem stale. Niema za co mnie ganić, należy chwalić.

Jest ta ustawa partactwem pracy: można w niej znaleźć wszystko, ale nie można znaleźć sensu. Podobne to jest raczej do dziennikarskiego artykułu, niż do prawnych koncepcyj.

Ja rozumiem, proszę Panów, że Panowie, jako Trybunał Stanu, z tego powodu macie dość ciężkiej pracy, by wybrnąć z nonsensu, zrobionego bez Was, bo rzucono Wam ten nonsens do zgryzienia i zrobiono z Was tak, jakgdyby prawdę prawną w bezprawiu pojęć, które tu są rzucone. To jest rzecz trudna. Dlatego też mówiąc o Trybunale Stanu, zwracam się odrazu do Was, żebyście umieli potrafić z rzeczy śmiesznej robić rzecz nieśmieszną, gdyż ustawa o Trybunale Stanu jest śmieszna.

Nie mogę Panom nie powiedzieć mego zdania, że pod tym względem Trybunał Stanu i jego ustawa jest zbudowana tak, jak gdyby stała a part od konstytucji, z konstytucją nie wiąże ją dużo, a natomiast jest tak rzucona na bok, jakgdyby nie mogła stanowić jakiegokolwiek obowiązku dla kogokolwiek.

Proszę Panów, muszę natomiast ze smutkiem powiedzieć, że dzielicie pod tym względem los całej Polski. Jeżeli taka partacka robota, związana z Trybunałem Stanu, z jego ustawą, należy do rekordów śmieszności i głupoty, to, niestety, cała Konstytucja jest robiona w ten sposób. Jedne działy przeczą innym działom, paragrafy przeczą paragrafom i nawet część paragrafów przeczy ich reszcie. Wygląda to niekiedy, proszę Panów, tak, że Konstytucja zbudowana była w ten sposób, ażeby każdy mógł sobie znaleźć wszystko, co chce, w tej nieporządnej prawdzie Konstytucji.

Ja, proszę Panów, znany jestem z tego, że zdecydowałem się pracować i rządzić, występując przeciwko tym bezeceństwom Sejmu, który brał na siebie ustawicznie nie co innego, jak suwerenność w pracach państwowych, kiedy suwerenem jedynym jest Prezydent Rzplitej. Ja występowałem

przeciwko Sejmowi i ani razu nie naruszyłem Konstytucji, albowiem we wszystkich pracach swoich znajdowałem paragrafy, jakiekolwiek chcieć, ażeby zaniechać Sejmu.

Są suknie od stanu i do stanu i są trybunały od stanu i do stanu, Szanowni Panowie. Wy macie nieszczęście być Trybunałem od Stanu, który stanu nie ma. Niestety Polska odziana jest w szatę konstytucyjną także od stanu, która jest budowana tak nonsensowo i tak sprzecznie, że niestety często to, co ludzie trzymają odkryte, tu jest zakryte, a to, co jest wstydliwie chowane, tu jest obnażone.

Nie chcę wchodzić w historję naszej Konstytucji. W owym czasie byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem i wiem, co za Panowie czynili tę Konstytucję, Panowie, którzy zasługiwali na szubienicę raz po raz. Jedną z hańbiących spraw naszego życia jest nasz pierwszy sejm i ten nonsens, zrobiony historycznie, trwa dotąd, ubliża on Rzeczypospolitej i czyni hocki klocki z Polski.

Przechodzę, proszę Panów, do aktu oskarżenia. Ten także czytałem dopiero wczoraj, albowiem, przyznam się, bzdurstwami Sejmu nie lubię się zajmować. Pierwsza rzecz, która mi się rzuciła w tej elukubracji, jest to pierwszy paragraf, który przyswaja sobie prawa nieboszczyka. Pierwszy bowiem paragraf dotyczy się ubiegłego Sejmu, który z chwilą, kiedy skończył swoje pełnomocnictwa personalne, skończył swoje prawa.

I przyswajanie sobie praw nieboszczyka przez teraźniejszy Sejm, jest — zdaniem mojem — nonsensem. Jeżeli ci panowie wolą być nieboszczykami, to dlaczego nie zastosować do nich praw, związanych z pierwszym Sejmem. Ja spokojnie ich powieszę i zastosuję prawa im należne. Ludzie, którzy

zdradzali państwo podczas wojny, ludzie, którzy nikczemne targowisko z Polski czynili, nie zasługują podczas wojny inaczej, jak na śmierć, — niechże nieboszczyków nie wołają. Natomiast, proszę Panów, jeżeli wezmę wywód, zrobiony w stosunku do p. Czechowicza o zaniechanie Sejmu, to zwrócić muszę uwagę nie na co innego, jak na to, że taka czy inna praca, związana z Sejmem, nie należała do zakresu działań p. Czechowicza.

Art. 56 Konstytucji stwierdza, że każdy minister w swoim zakresie ponosi odpowiedzialność. Prawda, że artykuł Trybunału Stanu robi ministra odpowiedzialnym i za Radę Ministrów, czyniąc go niejako wyższym od Rady Ministrów, a nie mówi o szefie gabinetu. W każdym razie w zakresie p. Czechowicza nie był stosunek do Sejmu. Ten stosunek do Sejmu brałem ja sam na siebie i wyznam Panom, że dumny jestem ze swojej pracy i nie znajduję w sobie nietylko winy, ale zasługę, żem przeciw Sejmowi szedł, żem Sejm ukrócił i sejmowładztwo usunął.

Nie mam pod tym względem żadnego wstydu. Ale p. Czechowicz ma swój zakres pracy — zakres zaś pracy w stosunku do Sejmu jest jedynie mój. Ja jeden miałem odwagę tę w Państwie, żem spokojnie wziął na siebie zadanie, którego inni podejmować się nie śmieli, zadanie ukrócenia suwerenności sejmu w stosunku do Prezydenta i w stosunku do rządu.

Nie mogę nie powiedzieć, że w systemie oskarżenia p. Czechowicza w tej mierze widzę chęć sfałszowania prawdy historycznej, zrobienia sobie wstydu, a mnie ubliżenia.

Jest to próba mordu rytualnego, popełniona na człowieku, który odpowiada za nie swoje czyny.

Ja nie mogę nie powiedzieć, że ten system jest niecny i nikczemny. Artykuł 56 czyni zakres działania, mówmy, jaki chcąc, byleby był ten zakres działania. Ja zaś za siebie, w gabinecie, prowadzonym przeze mnie, brałem wszystko to, co odnosi się do Sejmu, na swoje barki. I wyznam, że to tembardziej wygląda mi na mord rytualny, niecny i nikczemny, gdy chodzi o człowieka, który stale był pomiędzy nami wszystkimi najbardziej, że tak powiem, sejmowym człowiekiem. Nie chcę wchodzić w motywy p. Czechowicza, nie chcę wchodzić w jego pobudki, lecz on był najbardziej jeżeli nie zgodny z sejmem, gdyż to jest trudne, to był najbardziej, że tak powiem, zwracający uwagę na wszystkie rzeczy, związane z prawnym, według niego, stosunkiem do sejmu. Zawsze we wszystkich wypadkach na wszystkie ustawy się powoływał, zawsze ich szukał, zwracał uwagę, ostrzegał mnie personalnie dziesiątki razy. Dlatego też mord rytualny, który oskarżyciele chcą zrobić na p. Czechowiczu, zdaniem mojem, jest niecnym, nikczemnym i niskim.

Ja zwrócę uwagę Panow przytem, że akt oskarżenia, zawierający spis najrozmaitszych przekroczeń budżetowych, zwraca specjalnie uwagę na punkt, związany z 8 miljonami w sumie, rzuconej na moją dyspozycję, jako szefa gabinetu. Dobrze sobie przypominam tę chwilę, gdy to uczynił i pamiętam dobrze, że nie chciałem mieć za sobą nawet uchwały Rady Ministrów, chciałem wziąć to na siebie w całej pełni, nie chcąc nikogo z Rady Ministrów wciągać do odpowiedzialności, któraby mogła być cięższą, gdyby wybory wypadły inaczej, niż wypadły. Potwierdzam tu raz jeszcze nie co innego, jak stan w gabinecie, gdyż ja przypominałem pp.

ministom o ich zobowiązaniach, wziętych w stosunku do mnie, że oni nie biorą na siebie pracy z sejmem. Cała praca z sejmem leżała na mnie. Ja rozmyślnie to silnie podkreślam.

Proszę Panów z Trybunału Stanu. Ja nie mogę nie przemówić do Panów z chęcią wejrzenia, że tak powiem, w motywy i pobudki, które kierują ludźmi. Nie chcę pod tym względem robić plaidoyer obrońcy, chcę jednak wtedy, gdy motywy i pobudki w sądach bierze się pod uwagę, chciałbym, żebyście Panowie wzięli pod uwagę motywy, pobudki i przyczyny, które zrodziły ten komizm sejmowy z tym aktem oskarżenia.

Ja nie patrzę na rzeczy tragicznie, raczej skłonny jestem do komizmu. Proszę Panów, pobudką, przyczyną i istotnie głęboką prawdą jest metoda pracy w Sejmie. Proszę Panów, miałem wielu przyjaciół serdecznych i bardzo przeze mnie kochanych, którzy zasiadali na ulicy Wiejskiej i byłem zdumiony, jak szybko następuje u nich zaciemnienie umysłu, jak szybko stają się oni czemś w rodzaju ludzi, mających aberację, błędne widzenie, daltonizm specjalny. Stawali się oni ludźmi, uważającymi, że rozmowa bez kłótni dwóch panów z Sejmu przy stoliku w kawiarni jest wypadkiem większej wagi, niż trzęsienie ziemi w Tokjo, że to jest główna praca myślowa, którą ludzie mają się zajmować. Z podziwem oglądałem takie zciemnienie umysłów, następujące tak szybko u ludzi, wchodzących na ulicę Wiejską. Nie trzeba zatem rzeczy tych brać tak tragicznie i trzeba spokojnie osądzać tę pracę.

Proszę Panów, widziałem niedawno zabawkę bardzo zabawną. Boję się nieco obrazić Panów uszy, gdy powiem jej nazwę, gdyż nazywa się ona

w handlu „pierdołką". Zabawka przedstawia człowieka o odpowiedniej tuszy, ze skróconemi najzupełniej kończynami, mającego dwa otwory, jeden otwór pod nosem, a drugi na odwrotnej stronie medalu. Urządzona zaś ta zabawka jest w ten sposób, że gdy postawi się ją lub położy w jakiejkolwiek pozycji, to zaczyna przemawiać obu otworami i zaczyna tak szybko się poruszać, że przedtem dźwięki łapane osobno, zaczynają zlewać się w przecudną kakofonję, tak przecudną kakofonję, że nieraz, gdy puszczałem w ruch tę zabawkę, to wydawało mi się, że jednak zdążę złapać jeden dźwięk grubszy i drugi dźwięk cieńszy w tej potwornej kakofonji zabawki. Nie uchwyciłem jednak pomimo przysłuchiwania się i pomimo prób wielu ludzi, którym pokazywałem tę zabawkę, ani razu nie udało mi się i ani razu nie znalazłem człowieka, któryby znalazł różnicę pomiędzy obu otworami.

Proszę Panów i prześwietny Trybunale, gdy zechcecie szukać, a to wam się może przydać, motywów i wytłumaczenia tego komizmu, który w Sejmie robią, tych rekordów partactwa pracy, które oni czynią, to zróbcie próbę sami, stańcie się na chwilę tą zabawką. Przyjąć taką pozę łatwo i pokiwać się także łatwo. Dla nowicjusza, jestem przekonany, wystarczy 5 minut, ażeby zapomniał imienia ojca i matki, dla fachowych — toż oni się pierdolą miesiącami, toż oni zatracają na tyle wszystkie pojęcia, że mogą zapomnieć nawet swoje nazwisko. To jest, proszę Panów, tłumaczenie mądrości całego aktu oskarżenia, całego komizmu pracy Waszej i całej przeklętej pracy Polski, która w tym komizmie sejmowym kręcić się dotąd niestety musi.

Proszę Panów, kończę. Mówię nie dlatego, bym

chciał kogokolwiek obrazić, gdyż nie mogę znaleść tak śmiesznego paragrafu, jak paragraf o zaniechaniach, gdzie pojęć jest tyle do zaniechania, a tak mało w tem sensu istotnego, z czem Wy będziecie mieć do czynienia w tej tragedji sprzeczności sukni, w którą Polska jest ubrana i w tej śmieszności sytuacji, która jednak na Was ciąży, że rząd, prowadzony przez największego człowieka w Polsce, którego ręce non olent tak, jak *(zwracając się w kierunku oskarżycieli)* Wasze, może być oskarżony i otworzyć sobą pierwsze posiedzenie Trybunału Stanu.

Ten komizm historyczny! — Moje ręce w Polsce zaczynały wiele rzeczy i dumny jestem, że zostawię w Polsce prace, które przeidą wieki, — z tego rozpoczęcia pracy Trybunału Stanu dumny nie jestem, tak, jak przypuszczam i Panowie. Natomiast komizm jest olbrzymi, komizm ten zaś niczem innem wytłumaczony być nie może, jak tem nieszczęsnem zaciemnieniem umysłu sejmowego, które musi nastąpić w bardzo nieprzyzwoitej zabawie, trwającej miesięce.

Ja nie mam nic więcej do powiedzenia, chcę jednak podkreślić niecność rytualnego mordu, dokonanego z fałszerstwem prawdy historycznej na p. Czechowiczu, który był, powtarzam, najbardziej skłonny do pracy, chociaż ciężkiej i bardzo dla niego męczącej, w stosunku do wszystkich bzdurstw sejmowych, wtedy, kiedy miał przeszkodę zawsze we mnie, który tego nie chciałem. Skończyłem.

*(Marszałek Piłsudski wychodzi).*

## LIST NA ZJAZD LEGJONISTÓW W NOWYM SĄCZU.

(6.VIII.1929 r.)

*W dniu 11 sierpnia 1929 r. odbył się w Nowym Sączu doroczny Zjazd Legjonistów. Tym razem Marszałek Piłsudski na zjazd nie przybył, ograniczył się jedynie do przesłania krótkiego listu (datowany w Druskienikach 6.VIII.1929 r.) o treści następującej:*

Kochani Koledzy i Towarzysze broni! W tym roku, niestety, przybyć na doroczne święto legjonowe nie mogłem. Muszę wyzyskać sierpień, na mój urlop zdrowotny i muszę zatem wyrzec się przyjemności pobytu między Wami, co stało się zwyczajem moim, jak i Waszym. Tak się już przyzwyczaiłem, że rok po roku staram się obudzić w sobie, jak i w Was, wspomnienia naszej wspólnej pracy, naszych wspólnych bólów, bojów i trudów, tak, jak gdybym, jak ongiś przy ognisku wieczorem siedział i mógł tak gwarzyć i myśleć, jak się gwarzyło, myślało i marzyło kiedyś. Dodawałem w ten sposób roku każdego cegiełkę pod budowę historji dla nas, historji nie tej kłamanej i fałszowanej, a tej, co prawda głosi i o sprawiedliwość woła. Gdy zaś nie jestem w stanie przemawiać, zdecydowałem chociażby napisać, by zwyczajowi zadość się stało. W służ-

bie naszej przeszliśmy niemało. Wstydów, nam zadawanych, przeżyliśmy niemało, wstyd zaś najcięższy, wstyd palący, nosiliśmy nie od kogo innego, jak od Polaków. Ileż to razy w przeciągu naszego istnienia, jako legjonistów, ze złością mówiłem i powtarzałem silny wiersz wielkiego poety: „Niewolnicy, gorzej, — słudzy niewolników!“ Przeciw nam, przeciwko naszym dążeniom wyrzucano zawsze płatnych, najętych Polaków, których zawsze posiadano dostateczną ilość tak, aby ci — nie sami zaborcy — handlowali dla swojej korzyści czy karjery naszą krwią na łuty i funty. A ile razy ja, jako Wasz Wódz i przedstawiciel, szukałem jakiejkolwiek siły, chociażby nikłej i słabej, lecz polskiej, dlatego, aby jak najsilniej podkreślić, że służymy tylko Polsce, a nie zaborcom, tyle razy byłem sprzedany także na łuty i funty dla uzyskania protekcji u tych, co byli płatnymi i najemnymi Polakami. Kiedy zaś pomyślę, że już w państwie polskiem podczas wojny działo się akurat to samo, prawie z fotograficzną ścisłością powtórzam to zawsze, przychodzę do mojej syntezy, moich syntez, naszej i własnej historji. Gdy więc myślę o pięknie prawdy historycznej, gdy myślę o bohaterstwie, zawsze przy porównaniach historycznych stwierdzam, że konkurencję wytrzymać możemy z najpiękniejszemi przykładami w historji i własnej i ludzkości. Gdy zaś myślę o otoczeniu tego piękna i tego bohaterstwa, to bardziej nędznego i pozbawionego honoru i godności otoczenia trudno wynaleźć. W większości naszego narodu, gdyśmy w szlachetniejszy metal dzwonili, gdyśmy kusili pięknem i bohaterstwem, mieliśmy co najwyżej westchnienie, niekiedy głupie łezki. Większość zaś odwracała się od nas ku tym,

co sprzedajnem łajnem byli, co rozłajdaczone pyski hardo nosili — jako ku autorytetom być może brzydkim, lecz rozumnym i praktycznym. Poparcie znaleźli oni — potworki ludzkie — nie my. Przyjmijcie, kochani Koledzy, ten list, jako przyczynek do naszej historji.

(—) *JÓZEF PIŁSUDSKI.*

## GASNĄCEMU ŚWIATU

(22.IX.1929 r.).

Naprzód ad rem. Gdzieś w czerwcu, gdyż ściśle daty nie mogę sobie przypomnieć, zgłosił się do mnie p. Daszyński, Marszałek Sejmu Polskiego. Gdy go zapytałem, czemu mam zawdzięczać jego wizytę, rozpoczął od długiego, bardzo nieudolnie skonstruowanego opisu niezwykle rozpaczliwego stanu kraju pod względem finansowym, ekonomicznym i gospodarczym. Gdybym był naiwny, albo bardzo, bardzo nierozsądny, tobym popaść mógł w wielką rozpacz z powodu zbliżającej się pełnej ruiny Polski i jej z tego powodu zguby. Następnie zaś zauważył, że po powrocie swoim z zagranicy spostrzegł w obozie socjalistycznym wielką zmianę, polegającą na tem, iż wielu z jego partyjnych towarzyszy, dotąd nieprzyjaźnie względem rządu usposobionych, staje się jego zwolennikami i nie chce dalej prowadzić taktyki bezpłodnej opozycji. Zauważył dalej, że po zjeździe Wyzwolenia, gdzie nie wybrano do zarządu partji wszystkich zdecydowanych nieprzyjaciół rządu, zacytował przytem p. Thugutta, — nie można nie widzieć także i w tem stronnictwie jakiejś przemiany, analogicznej do tego, co mówił poprzednio o socjalistach.

Jako wywód z tego, z czem do mnie wystąpił, dał swoje przypuszczenie, iż może stan ten daje możność uformowania stałej większości parlamentarnej, złożonej z Bloku Bezpartyjnego oraz stronnictw socjalistycznego i Wyzwolenia. Usunęłoby to zdaniem jego różne niedokładności życia państwowego polskiego. W odpowiedzi na to zakomunikowałem p. Daszyńskiemu, iż nie będąc szefem Gabinetu, wolałbym tę rozmowę oddać w ręce premjera, p. Świtalskiego, sądząc, że on łatwiej, niż, ja, zająć się tem jest w stanie, poradziłem mu również w sprawie Bloku Bezpartyjnego skierować siebie drogą naturalną — do p. prezesa tego Klubu, p. Sławka. Tak się w czerwcu rozpoczęła historja, której zakończenie mamy obecnie.

Naturalnie, z całą lojalnością zakomunikowałem zarówno p. Świtalskiemu, jak i p. Sławkowi całość tej rozmowy czerwcowej. Wobec zbliżającego się urlopu wypoczynkowego p. Premjera, oraz lipcowego i sierpniowego zacisza politycznego, p. Premjer po rozmowie ze mną zdecydował odłożyć swoje kroki na czas września, o ileby sam p. Daszyński nie wystąpił z dalszemi krokami w tej sprawie. W ten sposób sprawa się przeciągnęła prawie do końca sierpnia, gdy się kończył i mój urlop wypoczynkowy. Przy rozmowie, jaką miałem w Druskienikach z p. premjerem Świtalskim, zdecydowaliśmy podjąć inicjatywę z naszej strony, ze strony rządu, w takiej formie, aby w nieoficjalnej rozmowie w ważnej państwowej sprawie móc stwierdzić, czy owa zmiana, zapowiadana przez p. Daszyńskiego poprzednio, ma jakąkolwiek podstawę racjonalną i czy można liczyć na jakąkolwiek rzeczowość jakiejkolwiek dyskusji. Wobec zbliżającej się sesji zwyczajnej Sejmu, związanej z budżetem

państwowym na rok przyszły, zaproponowałem, aby jako tą sprawą ważną dla państwa, któraby była sprawdzianem możliwości rzeczowych dyskusyj w Sejmie, była wybrana praca nasza, rządowa nad tym budżetem. Już w ogłoszem exposé p. Ministra finansów uderzać muszą pewne nowe, związane z obecną sytuacją finansową Państwa, nowe nuty i nowe poglądy. Uważałem, iż przygotowanie zawczasu opinji różnych panów w Sejmie da może możność uniknąć bezpłodnych dyskusyj, łamania drzwi otwartych i dziwacznych ekscesów, tak cechujących niesmacznie i niezdrowo wszystko to, co w Sejmie się odbywa podczas dyskusji nad budżetem. Nie przypuszczam bowiem, aby przy braku zupełnym rzeczowości w mówieniu, można było mówić poważnie o czemkolwiek bądź, tembardziej zaś o jakichkolwiek zmianach w polityce Rządu, który już czwarty dobiegający rok idzie jedną i tą samą drogą, wzmacniając siły i powagę Państwa na zewnątrz i wewnątrz. Takim więc był drugi etap rozpoczętej już przez p. Świtalskiego pracy dnia 4-go września niniejszego roku.

Co do mnie osobiście miałem według ułożonego z p. Świtalskim planu zabrać głos jako drugi po p. Matuszewskim przed rozpoczęciem dyskusji z panami z Sejmu. Znanem już jest exposé p. Matuszewskiego. W pierwszym więc rzędzie chciałem podtrzymać krytykę p. Matuszewskiego systemu budżetowania Państwa. Pan Matuszewski opuszczał bowiem w dyskusjach ze mną najważniejszy, zdaniem mojem, argument, mianowicie niemożliwość budżetowania każdej funkcji państwowej tą samą zupełnie metodą, gdyż wtedy budżet nie odpowiada najzupełnej treści pracy i nie daje możności zorjetowania się w kierunku pracy każdego z Mini-

strów. Prowadząc Ministerjum Spraw Wojskowych, które zabiera prawie trzecią część naszego budżetu, przekonywałem się stale, że gdy sam chcę mieć swoją orjentację, muszę odrzucić na bok całą książkę i przerabiać budżet na nowo.

Sekretem bowiem naszego budżetowania jest nie co innego, jak że przystosowany on jest jedynie do pracy urzędników, nie do pracy państwowej i treści pracy Ministrów.

Pozatem poruszyć miałem kwestję zupełnie nową, związaną z tak zwanemi przezemnie luzami budżetowemi w budżetach każdego z Ministrów. Bez bowiem takich luzów śmieszny etatyzm budżetowy daje w swoim wyniku prawie niemożliwość przeprowadzania zmian w zarządzie praktycznym państwa. Jednym ze stałych punktów porządku dziennego Rady Ministrów jest żądanie zmiany punktów budżetowych na inne z powiększaniem jednych i połączonem z tem zmniejszaniem innych. Gdy zaś zważymy, że w skomplikowanym mechanizmie państwowym zmiany przeprowadzane muszą niekiedy trwać nietylko miesiącami lecz latami; jeżeli uwzględnimy specjalnie polskie warunki bytowania z komplikacją istnienia trzech, a nawet czterech rodzajów praw, któremi jesteśmy dziedzicznie obciążeni; jeżeli uwzględnimy niemrawą i bardzo często nieudolną pracę urzędników, to łatwo będzie dostrzec, że budżetowy system polski, nie dopuszczający luzów budżetowych, jest najbardziej skuteczną i najbardziej zarazem nonsensowną zaporą do wszelkiego postępu.

Wreszcie w trzecim rzędzie i ostatnim chciałem się zwrócić do panów posłów, zaproszonych na konferencję, aby może zechcieli znaleźć w swoim rozkładzie zajęć choć jeden mały kącik, w którym rze-

czowo można byłoby prowadzić dyskusję nad tak ważnym problematem, jak budżetowanie państwa. Zdaniem bowiem mojem, najbardziej skutecznie kompromitują Polskę panowie posłowie sejmowi, utwierdzając świat cały w powszechnem do niedawna mniemaniu, że Polacy nie są zdolni, jako naród, do rządzenia sobą i że prowadzą zaraz nie co innego, jak Polnische Wirtschaft, czyniąc z siebie t. zw. „Saison-Staat.

Niechybnie to moje przemówienie i roztrząsanie stałoby w sprzeczności z mojem żądaniem, które postawiłem już oddawna, aby budżet, przedstawiony w tym roku, był prawie kopją zeszłorocznego. Wszystkie bowiem moje rozmyślania i doświadczenia przeszłości nie mogły mnie prowadzić do zaufania, aby stosunki w Sejmie mogły ulec jakiejkolwiek zmianie i dlatego wolałem mieć budżet kopjowany z tamtego roku, że w ten sposób może uniknąć by się dało powtórki długiej i bezowocnej tej samej dyskusji budżetowej, która nietyle jest męczącą, co wstrętną.

Przechodzę teraz do trzeciego etapu całej historji, mianowicie do odpowiedzi różnych panów z Sejmu na propozycję konferencji w sprawie budżetu, uczynioną przez p. Premjera Świtalskiego dnia 4-go września. Jeżeli użyłem wyrażenia różni panowie z Sejmu, to dlatego, iż prawie połowa Sejmu, — gdyż odliczam największy klub Blok Bezpartyjny, Endeków, którzy dali odpowiedź osobno i wszystkie mniejszości narodowe, — w odpowiedzi p. Daszyńskiego nie brała udziału. Przedewszystkiem wynikła wśród tych panów Kanape-Frage, czyli kwestja kanapowa. Polegała ona na tem, że ci panowie z Sejmu zwątpili w możność prawną zwoływania jakichkolwiek konferencyj przez Pana

Premjera naszego Gabinetu, uważając, iż wtedy tylko konferencja dawać może rezultat, gdy zebrana jest nie gdzieindziej, jak na ulicy Wiejkiej. Wobec tak poważnej wątpliwości zaczęły się niezliczone dyskusje w każdym z klubów z osobna z odpowiednim zamętem i chaosem formuł, uchwał, konwentyklów, zebrań grupowych i wszelkich akcesorjów t. zw. sejmowych przy poważnym nastroju Sejmu i przy największych kwestjach. Wobec jednej wątpliwości zaczęły wyrastać i inne. Wydaje się, że główną inną kwestją było pytanie, czy wogóle rząd pana Świtalskiego jest legalnym rządem Polski, gdy p. Świtalski nie był ani razu na posiedzeniu Sejmu, jako Prezes Gabinetu. Słyszałem, że jeden ze znakomitości sejmowych, trochę niezdrowy na żołądek, wyskoczył przerażony, że nie wzięto pod rozwagę dyskusji kwestję, co ma zrobić nieszczęśliwy poseł, gdy na konferecji u pana Świtalskiego podadzą czarną kawę. Prawdopodobnie równie poważnych wątpliwości była mnoga ilość.

Gdy rosły wątpliwości i zwykły chaos i zamęt, nie można było dojść do żadnej wspólnej uchwały. Dlatego też wysmażono elukubrację negatywną. Dlatego zaś, aby ona nie była także negatywną, smażenina na kiepskim oleju była tak niezrozumiała, że dopiero Pan Prezes Gabinetu Świtalski rozciął wątpliwości stwierdzeniem, że „może więc uważać odpowiedź tych panów za odmowę“ i zapytał p. Daszyńskiego, czy to jest słuszne, czy nie, odpowiedź znowu tego pana była wahająca się i niepewna, skłaniająca się jednak ku temu, iż odpowiedź jest odmowna.

W samej treści tej odpowiedzi uderzyła mnie odrazu uwaga tych panów, przypominająca rządowi, że Marszałek Sejmu jest zawsze reprezentantem tej

instytucji. Zwróciłem więc uwagę i ja ze swej strony, że w tym wypadku pan Marszałek Sejmu nie może reprezentować zebrania kilkunastu czy kilkudziesięciu panów, jako Sejm, gdyż Sejm, jako instytucja, działać może tylko wtedy, gdy prawnie przez Pana Prezydenta jest zwołany na sesję i sesja jest prawnie przez przedstawicieli Prezydenta otwarta.

Jeżeli więc moja próba ustalenia możliwości dyskusji rzeczowej w jakimkolwiek przedmiocie spełzała na niczem, to znowu wyrastała prawda o fajdanitis poślinis do śmiesznych i prawie nieprawdopodobnych rozmiarów. Utożsamianie zebrań klubowych, nawet małych konwentyklów, ze Sejmem widzieliśmy już bardzo często w historji Sejmu w Polsce. Należy to, jak mnie się zdaje, do dobrego tonu wielu z panów posłów i wyrosło nie skąd inąd, jak z niecnej pamięci pierwszego Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Idzie się ku temu, co prawda, wykluczając spokojnie wbrew zasadzie t. zw. demokratycznej całe grupy posłów, całe kluby i wogóle wszystkich niezgodnych z fajdanizmem poselskim. Przecież niejeden z tych panów dochodzi w swojej ewolucji fajdanizmu do tego, że uważa siebie t. zn. poszczególnego posła za Sejm Rzeczypospolitej i chce wymagać dla siebie personalnie wszystkich przywilejów, zastrzeżonych przez prawo Sejmowi. Na szczęście, zawikłani stale w Kanapé-Fragen, są przedstawicielami gasnącego już świata, świata, który odchodzi, a swem postępowaniem dają raz po raz, że ta djagnoza jest niemylna.

Są światy gasnące i są wschodzące słońca. I jeżeli w dzieje ludzkości się spojrzy, znajdziemy zawsze, znajdujemy ciągle, wschodzące słońce i gasnące światy. I niemylną gaśnienia cechą jest wymieranie

treści, a wzrost znaczenia formy. Zjawia się wtedy jakgdyby aberracja myślowa, jakgdyby wykoszlawienie duszy ludzkiej do tego stopnia, że człowiek poważny błaznem się staje i jak opętany i zatruty jadem degeneracji, o treści każdej pracy zapominając, czepia się formy, czepia się literek, nawet nie słów, tak kurczowo i konwulsyjnie, jakgdyby zatrzymać chciał musowe zatonięcie w mrokach przeszłości przez niezgrabne kurcze i konwulsyjne ruchy. A obok ludzi poważnych kroczą mniej poważni. Ci, co wyrośli na to, by przez małpie grymasy, przez pajacowe ruchy kompromitować i ośmieszać to, co chcą utrzymać, a co zginąć musi.

Gdy malcem małym byłem, gdy młodzieńcze życie rozpoczynałem, byłem zachwycony światem klasycznym, pięknem dawnych Greków, żelazną potęgą Rzymu. Piękne baśnie o bohaterach, cudowna piękna mitologja pogańska, cuda Olimpu, powaga Senatu i dyktatorów rzymskich chwytała mój umysł i wyobraźnię niekiedy tak silnie, iż życie, w które zaledwie wchodziłem, wydawało mi się nikłe, marne i bez wartości. Dlatego z pewnym bólem dotykałem potem do ksiąg, co dzieje upadku, dzieje degeneracji i Olimpu, i Senatu, i dyktatorów opowiadały. Powiadają, że augurowie, ci, co wielkie zwycięstwa z wróżb ogłaszali, ci, co chwale oręża rzymskiego i potędze swojej ojczyzny wiernie służyli, że ci właśnie podczas upadku i potęgi, i chwały przy spotkaniach z sobą na głos się śmieli, wyśmiewając swoje wieszczby i czyniąc z siebie błaznów.

Pamiętam też także trochę bólu i wewnętrznej przykrości, gdym po raz pierwszy był na znanej operetce „Piękna Helena“. Wydawało mi się dzikiem i nieładnem, gdy niegdyś ludzie głowy łożyli za piękno Olimpu, za prawdy Grecji, tak publicz-

nie i tak bezczelnie na pośmiewisko to wystawiać. I ze sceny tej właśnie „Pięknej Heleny“ najbardziej utkwiła mi w pamięci scena ostatnia, gdy ową piękną śmiertelną namawiają ludzie wraz z kapłanem na to, by usiadła na wóz bogini Wenery, który na scenę zajeżdża. I podczas śpiewu barytona Calchasa, co sławę i piękno bogów wielbi, wpada karczemna nuta szynkowni, kankan wesoły. I kapłan kończy już pieśń bogom i na nutę kankana wesoło podryguje nogami.

I pamiętam nieraz, przy studjach tej czy innej epoki, przypomniałem tę scenę, jako świadectwo prawdy gasnących światów. Pamiętam nawet nieudolny wierszyk o Calchasie, który ułożyłem i tym wierszykiem pisaninę swoją zakończę.

*Wyśpiewując sławę bogom,*
*Podryguje, rusza nogą*
*W kankan, kankan płynie.*
*O, mądrala! Ten nie zginie*
*Nigdy, nigdy nam na świecie*
*Wiedz-że, durniu, wiedz-że przecie!*

## WSPOMNIENIE O GRZYBOWIE

(9.XI.1929 r.).

*W dniu 10 listopada r. 1929 odbył się w Warszawie wielki obchód, poświęcony uczczeniu 25-ej rocznicy krwawej demonstracji na placu Grzybowskim, słusznie uważanej za pierwszy po powstaniu styczniowem krok w kierunku wszczęcia walki zbrojnej o niepodległość Narodu. W związku z tą uroczystością Marszałek Piłsudski ogłosił w prasie następujące wspomnienie:*

Jakżeż to daleko Grzybów. Wydaje mi się niekiedy, gdy swoje wspomnienia odgrzebuję, że jest gdzieś daleko, w jakimś kącie, co najmniej Australji, że nie jest to wcale znany w Warszawie Plac Grzybowski z kościołem, plac, po którym ludzie spokojnie chodzą, dzieci biegają, ale że jest to jakiś plac z bajki życia, które tak gwałtownie i szybko się zmieniło, że chyba i kościół, i bruki, i ludzie conajmniej do innej części świata należały.

Grzybów należy do moich wspomnień, chociażby dlatego, że w wypadkach, które na tym placu się zdarzyły 25 lat temu, magna pars fui. Prawda, że w wielu wypadkach byłem tą wielką i największą częścią. Prawda. że nie jeden z tych wypadków błyskawicowo ogromnej jest miary i przerasta

wypadki grzybowskie historyczną swoją prawdą tak bezmiernie, że biedny, mały Grzybów ginie w ich cieniu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że Grzybów należy mi do wspomnień, które nieraz pieszczę, należy do pieszczot mego życia. Prawdą też jest, że i ja, obecny Marszałek Polski, były Naczelnik Państwa, z nazwiskiem, znanym po całym świecie, nie byłem takim rozgłośnym, jakim jestem obecnie. Nie chcę nawet powiedzieć, że ta rozgłośność od Grzybowa się zaczyna, lecz są w Grzybowie i w grzybowskich wypadkach momenty, które dotykają najgłębiej istoty mojej, które czynią mnie nieco sentymentalnym i tak jakby pieszczonym przez wspomnienia i zarówno wspomnienia pieszczącym.

Jeżeli wezmę wymiar historyczny, to grzybowska manifestacja jest jednym z nieznacznych epizodów wielkiego zdarzenia historycznej dziejowej miary, jakim była wojna Rosji z Japonją. Wojnę tę wielkie potężne mocarstwo rosyjskie przegrało z małą w stosunku do niego, nieznaczną wówczas w świecie odgrywającą rolę — Japonją.

Grzybów i grzybowska manifestacja wyrasta tylko wtedy, gdy się zatrzymamy ściśle na Polsce, gdyż był to pierwszy, bardzo nieznaczny, przejaw, lecz w każdym razie przejaw walki zbrojnej przeciwko zaborcy rosyjskiemu.

Gdy wojna z Japonją wybuchła w lutym 1904 roku, stałem na czele najsilniejszej w owe czasy organizacji polskiej i silnej nietylko liczbą, lecz i największą w Polsce odwagą wystąpienia. Mówię tu o ówczesnej P. P. S. Dla charakterystyki ówczesnego stanu umysłów przytoczę tu wspomnienia własne z samego początku wojny, t. zn. z lutego 1904 roku.

Wiadomość o wybuchu wojny zastała mnie w Siedlcach, gdzie przyjechałem dla rozmówienia się z pewnym młodym lekarzem, który się zgodził urządzić mieszkanie dla podręcznej tajnej drukarni, gdy centrala znajdowała się daleko w Rydze, albowiem odczuwała się gwałtowna potrzeba drukowania odezw i ulotek bliżej centrum ruchu. Miałem się tam zjechać u tego pana z głównym w owe czasy technikiem rozwożenia druków, obecnym generałem Rożenem, który niedawno wyszedł z wojska rosyjskiego i stanął do mojej dyspozycji dla pracy t. zw. w owe czasy „technicznej". Gdym tam o wojnie i manifescie cara się dowiedział, dowiedziałem się zarazem, że cały plan siedlecki przewraca się do góry nogami, gdyż nasz, mój i Rożena, gospodarz został zmobilizowany, jako młody lekarz i już nazajutrz miał się stawić do poboru. Miał być wysłany do Mandżurji. A że miał u siebie skład nielegalnych wydawnictw, żądał od Rożena, aby można było jak najszybciej mieszkanie oswobodzić. Pamiętam, śmiałem się z siebie, że wojna, którą w duchu błogosławić zacząłem, zmusza mnie odrazu do tak lichych i małych czynności i daje małą ilustrację tej olbrzymiej przewagi sił, z którą my, Polacy, i my, partja P. P. S., mamy do czynienia. Natychmiast też się zająłem skonstruowaniem chociaż jakiego takiego planu, któryby dał możność jakiejkolwiek bądź reakcji na wypadek tak wielkiej miary, jak wejście w stan wojny państwa zaborczego. Wiedziałem bowiem dobrze, że setki i tysiące ludzi czekać gorączkowo musi, nieraz w męce, na to, jakie my stanowisko zajmiemy w stosunku do wypadków, męczyć się musi tą bezmocą i bezsiłą, gdy może i my, jako poddani Rosji, zmuszeni

będziemy do oddania krwi i życia na rzecz swego wroga.

Rozumiałem, że zrobić dużo nie jesteśmy w stanie, rozumiałem dobrze, że znikomo mali jesteśmy wobec ogromu wysiłków, do których zmusza wojna każde państwo. W dodatku zaś Rożen grubym basem tłomaczył znaczenie mobilizacji i jej aktów przerażonemu gospodarzowi, któremu mobilizacja życie rujnowała. W każdym razie pozostawał i musiał istnieć najprostszy, najzwyklejszy dla nas sposób reakcji, t. zn. odezwa. Siadłem więc i pisałem swoją odezwę, zapowiedziawszy Rożenowi, że wprost stąd pojedzie do Rygi, by oddać odezwę do druku, ja zaś zaraz się zajmę ułożeniem bardzo skomplikowanej pracy, związanej z przygotowaniem aparatu odbiorczego w całym kraju dla odezwy, która ma być wydrukowana. Tą odezwą chciałem przygotować chociażby trochę nastroju dla przyszłej pracy, która musiała nabrać charakteru bardziej realnego i zbliżającego do otwartego protestu przeciwko udziałowi Polaków w tej dalekiej i obcej dla nas zupełnie wojnie.

Jakież więc było moje przerażenie i zdziwienie, gdy po wszystkich żmudnych pracach nastawienia aparatu przyjechałem do Rygi, do naszej drukarni, i z przerażeniem się dowiedziałem, że ówczesny redaktor pisma „Robotnika", zresztą mój przyjaciel, Felek Perl, napisał już i puścił na druk inną odezwę, w której, jak ja się śmiałem, stwierdził, że gdy dwie burżuazje się biją, to proletarjatowi nic po temu. Zbeształem Felka, tak, jak może rzadko człowieka beształem. Pierwszy bowiem mój krok najzupełniej zawiódł. Naprawić szkody już nie mogłem, gdyż wybrać inną metodę t. zn. zmusić do drukowania mojej odezwy nie było sposobu.

Wszystkie bowiem terminy już nastawione pękłyby i trzeba byłoby puścić w ruch nowe, bardzo skomplikowane poruszenia, przejazdy i nastawienia równie skomplikowane prace drukarni, związane z papierem, farbą i inemi drobiazgami, coby wszystko zajęło mnóstwo czasu. Postawiłoby to pod wielkim znakiem zapytania moje osobiste plany rozjazdów, które już sobie ułożyłem i mnóstwo ludzi pouprzedzałem. A wszystko przecie w owe czasy odbywało się tak konspiracyjnie, bez żadnych listów, bez żadnych depesz i telefonów, że teraźniejsi ludzie wyobrażenia nawet nie mają — i dlatego na początku odsyłam ich aż do Australji lub do Buszmenów — o tych olbrzymich trudnościach, jakie musiano mieć przy zebraniu się nawet trzech ludzi razem.

Z tego małego faktu pierwszego mego zawodu podczas wojny rosyjsko-japońskiej, wnosić łatwo można, jaki olbrzymi przeskok uczynić trzeba było do manifestacji zbrojnej na placu Grzybowskim w listopadzie. Wiedziałem dobrze, że wojna zaczyna się od mobilizacji. Udałem się więc do Petersburga, żeby sobie skontrolować, w jakim stopniu i gdzie zaczepia mobilizacja Palskę. Nawet przez niewielkie stosunki, jakie posiadałem, zdobyłem wiadomość główną, że wobec stanu kolei sybirskiej, która nie dopuszczała do szybkiego przewozu wojsk, o jednoczesnej i wielkiej mobilizacji niema mowy i że w każdym razie mobilizacja w pierwszym rzędzie odbywać się będzie na samej Syberji i w niektórych tylko częściach Moskiewskiego i Kazańskiego okręgu wojskowego. Zrobiło mi się znacznie lżej. Miałem więc jeszcze dużo czasu. Nie chcę się zatrzymywać na tych długich miesiącach, które leniwie i powoli biegły ku listopadowi. Wo-

bec tego, że wbrew konspiracji zaangażowałem otwarcie swoje nazwisko w najrozmaitszych rozmowach, które toczyłem z ludźmi, najzupełniej do konspiracji nieprzyzwyczajonymi, a czyniłem to w dwóch miejscach, w Petersburgu i Warszawie, departament policji ówczesnej z Petersburga rozesłał moje fotografje na wszystkie granice i do wszystkich zarządów żandarmerji z poleceniem aresztowania mnie, przyczem, jako motyw, dano, że przygotowuję powstanie polskie. Coprawda, że byłem w owe czasy wielce pod wrażeniem historji powstania 63-go roku, którą z różnych źródeł studjowałem i nieraz w tych rozmowach, które prowadziłem, wskazywałem na moment branki, jako moment niebezpieczny dla stanu umysłów i wskazywałem na różne jej skutki. Zmusiło mnie to do większej ostrożności, niż zwykle i do pokazania siebie w Krakowie, skąd po pewnym przeciągu czasu, według moich obliczeń, muszą dojść dane do Warszawy, tak, że ajentura wreszcie z powodu mej osoby się uspokoi. Tam właśnie w Krakowie doszła mnie wiadomość, że i Polska ma być dotknięta mobilizacją. Nie było dla mnie mowy o tem, byśmy mogli odpowiedzieć na brankę, tak, jak ojcowie nasi odpowiadali w 63-im roku, byliśmy na to zanadto słabi, zanadto nieumiejętni i zanadto — powiedzmy — teoretyczni. O tem zaś, by kto inny poza P.P.S. mógł się odważyć choć na cień protestu, mowy być nie mogło zgóry.

Pomimo woli przypuszczałem, że Rosja pójdzie śladami dawnej Rosji i Wielopolskiego i zaawanturuje się w mobilizację najbardziej żywego materjału ludzkiego, w mobilizację ludności miejskiej.

Dla mojej głównej idei protestu byłoby to bardzo

na rękę. Wezwałem więc do Krakowa przedewszystkiem głównego menera warszawskich organizacyj Kwiatka, zmarłego już obecnie, miłego przyjaciela. Nim przyjechał, stwierdziłem już z pism, że i tym razem spotkał mnie zawód. Rosja mobilizowała niektóre powiaty w kaliskiem, płockiem i suwalskiem, akurat w tych miejscach, w których my, jako organizacja, nie posiadaliśmy ani wpływów, ani znajomości, ani możności szerszej nielegalnej pracy, nawet odezwowej. Nie pamiętam już, ile nocy spędziłem bezsennie, chodząc po pokoju, paląc papierosa jednego za drugim i pijąc całe mnóstwo herbaty. Myślałem ciągle nad formą, w jaki sposób można wobec tego faktu znaleźć wyraz protestu i wyraz naszego stanowiska. Naturalnie wiedziałem, że pomimo wielkiej niechęci i nienawiści do myśli, że się będzie umierało za Rosję, wbrew sobie i wbrew swoim uczuciom, rezerwiści stawią się tak, jak im państwo nakazuje. Tak, jak jakieś bydło na rzeź prowadzone, mają Maćki i Bartki leźć do wagonu i jechać na kraj świata, umierać, chorować, cierpieć i dawać z ciała i życia swego ofiarę na rzecz mocy swego wroga. I wszystko tak bez protestu, i wszystko nie mówiąc ani słowa, i wszystko nie stawiając żadnych przeszkód aktowi przemocy. Nie mogłem prawie żyć z rozpaczy.

Wreszcie przyjechał Kwiatek. Przy pierwszej rozmowie z nim stwierdziłem odrazu, że przy decyzji zrobienia jakiejś manifestacji głośniejszej nie znajdą wielkich przeszkód, chyba w samej technice wykonania. Kwiatek upierał się przytem, aby *W*arszawa wzięła na siebie pracę manifestacji, gdyż ta najwięcej daje rozgłosu i może dać najwięcej efektu realnego na późniejszy rozwój wypadków.

Moje uwagi szły w kierunku obliczenia możliwych skutków dla największej naszej organizacji warszawskiej, gdy tak łatwo można było rozbić centrum naszej pracy, wydatkując odrazu wszystko, co mamy. Twierdziłem, że możnaby myśleć i o innej metodzie, gdyby manifestacje rozlać szerzej po kraju, zmniejszając ich jaskrawość i ich — że tak powiem — ostrość. Kwiatek zaś sądził, że wtedy zaniknąć może siła impresji i cała praca może spalić na panewce, gdy to nie będzie dostatecznie powszechne. Specjalnie zaś nas obu zniechęcała myśl, że właśnie tam, gdzie mobilizacja się odbędzie, nie znajdziemy żadnego oddźwięku. Stanęło więc w ten sposób, że wystąpi Warszawa i że może się uda dodać w najgorętszych i najlepiej zorganizowanych punktach jakby dodatki mniej ostre. Przyjęta też została forma manifestacji zbrojnej.

Co do mnie, radziłem zbrojność zmniejszyć pod względem ilości uzbrojenia, gdyż wskazywałem, że nie mamy dostatecznego obycia z bronią i możemy narazić się może na śmieszność, za którą krwawo zapłacimy. Radziłem więc mieć uzbrojony tylko ściśle określony oddziałek, z ludzi zimnej krwi złożony, aby uniknąć tak smutnego skutku. Mówiłem, że sam bym z ochotą pojechał, by technicznie przeprowadzić tę pracę, lecz obawiam się, że za dużo będę musiał stracić czasu na poznanie ludzi, którzy by tę czy inną pracę musieli wziąć na siebie. Kwiatek brał wszystko na siebie i prosił mnie, abym w ten sposób nie ryzykował i nie narażał swojej osoby. Na siebie więc brałem zakup broni i przemycanie jej do Warszawy.

Pierwszy raz w owe czasy zetknąłem się z tem zajęciem. Jeżeli byłem specjalistą do łamania

granic, to znowu z bronią palną ani w zakupie, ani w sposobie jej przemycania nigdy nie miałem do czynienia. Sprawiło mi to dużo kłopotu. Większość broni była zakupiona w Katowicach i Bytomiu.

Przebiegu samej manifestacji nie opisuję, jako że nie brałem w niej bezpośrednio udziału. Słyszałem tylko opisy różnych uczestników tej manifestacji i opowiadania o niej różnych panów i pań z Warszawy. Wywód mój, który sobie zaraz uczyniłem, był bardzo przykry i smutny dla mnie. Nie mogłem się bowiem powstrzymać od technicznej oceny pracy, która o ile była dowcipna, o tyle też z trudem mogła nastraszyć kogokolwiek z tych, których zamierzaliśmy straszyć. Lecz że dała efekt bardzo duży i że wpłynęła na zmniejszenie do minimum zakresu mobilizacji w Polsce, więc uczestnicy tej manifestacji poszczycić się istotnie mogą, że wpłynęli na losy Polski w sposób znaczny, znaczniejszy, niż przypuszczali. Z powodu tej manifestacji skonstruowałem sobie aforyzm, że dowcip w historji często więcej znaczy, niż siła.

## LIST DO WDOWY PO Ś. P. PROF. DYBOWSKIM.

(2.II.1930 r.).

*W związku ze śmiercią Benedykta Dybowskiego, profesora uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, powstańca z r. 1863 i zesłańca na Syberję, Marszałek Piłsudski w dniu 2 lutego 1930 r. wysłał do wdowy, p. Heleny Dybowskiej, list następujący:*

„Warszawa, dnia 2 lutego 1930 r.

Czcigodna Pani, z najgłębszem smutkiem dowiedziawszy się o śmierci ś. p. Małżonka Jej, prof. Benedykta Dybowskiego, śpieszę wyrazić Pani mój serdeczny żal i współczucie w nieszczęściu, które Ją spotyka.

Piękna i czysta postać ś. p. profesora Benedykta Dybowskiego, gorący Jego patrjotyzm, który tchnął tyle ducha i wiary, oraz spuścizna naukowa, którą pozostawił po Sobie, stanowią i stanowić będą bezcenny skarbiec ducha dla przyszłych pokoleń.

(—) *JÓZEF PIŁSUDSKI.*

# SKOROWIDZ NAZWISK


Argetoiano — 195, 196.
Barlicki — 18.
Bartel — 33, 49, 54, 60, 61, 137, 150, 163, 170, 178, 179, 205, 220, 225, 229, 230, 237, 238, 244, 245.
Batory (Stefan) — 192, 197.
Beck — 220.
Beczkowicz — 69.
Beelaerts — 151.
Błeszyński — 253.
Bniński — 54.
Boerner — 56.
Bogomołow — 144.
Bojko — 162.
Bolesław (król) — 109.
Briand — 151, 153.
Byrka — 203.
Chaciński — 18, 22, 49.
Chamberlain — 151.
Chądzyński — 22, 49.
Czapiński — 202, 203.
Czechowicz — 221, 222, 224, 225, 226, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 254, 257, 260, 261, 264.
Czetwertyński — 81, 83.
Daniłowska — (136).
Daniłowski — 136.
Damokles — 43.
Daszyński — 18, 49, 206, 268, 270, 273.
Dawilla — 195.
Dąbski — 49.
Dębski — 49.
Dobrucki — 97.
Dubanowicz — 54.
Dybowska — 286.
Dybowski — 286.
Erdman — 49.
d'Esperey Franchet — 139—141.
Fabrycy — 167.
Fryderyk Wielki — 126.
Gaszyński — 49, 220.
Gliwic — 220.
Grabski Stanisław — 18, 22.
Grabski Władysław — 20, 21.
Grinius — 92.
Jan (król) — 109.
Jagiellonowie — 192.
Jedynak — 49.

Józef II. — 84.
Katarzyna II. — 84, 126.
Kasznica — 132.
Kierbedź — 31.
Kiliński — 247.
Kleszczyński — 204.
Konarzewski — 137, 220.
Kościałkowski — 49, 78, 203, 206.
Kościuszko — 66, 75, 204.
Krzyżanowski — 49.
Kucharski — 224.
Kutrzeba — 137.
Kühn — 163.
Kwiatek — 283, 284.
Kwiatkowski — 255.
Laroche (ambas. Francji) — 139, 140, (147), 150.
Lieberman — 78, 82, 83, 129, 130, 221, 222, 231, 235.
Litwinow — 144.
Lubomirski — 16.
Luter — 231.
Łaszkiewicz — 49.
Malczewski — 19, 35.
Marek — 18, 22, 49.
Marja Teresa — 126.
Matuszewski — 270.
Meysztowicz — 69.
Michalski — 49, 78, 80, 86.
Michał, król Rumunji — 196.
Mickiewicz — 75, 199.
Miedziński — 49.
Minkiewicz — 239, 240.
Moraczewski — 49, 224.
Morawski — 19.
Mościcka — 57, 59.
Mościcki (Prezydent Rzeczypospolitej) — 56, 57, 58, 59, 60, (110), (111), 129, (130), (132), (133), (134), (135), 139, (158), (160), (161), (162), (167), (168), (170), (174), (178), (179), (196), (217), (229), (230), (237).
Napoleon I. — 66.
Narutowicz (I Prezydent Rzplitej) — 30, 40, (51), 55, (170).
Niedziałkowski — 49.
Niezabytowski — 69.
Perl — 22, 280.
Piskor — 137.
Pius XI. — (110), 111.
Polakiewicz — 49, 78, 83, 160, 203, 204.
Poniatowski ks. Józef — 30, (66).
Poniatowski — 49.
Procope — 150.
Prystor — 137.
Putna — 157, 158.
Radziwiłł Albrecht — 69.
Radziwiłł Stanisław — 69, (70).
Radziwiłłowie — 69, 70.
Rataj — 18, 31, 33, 54, 55, 129, 130, 131, 134, 203.
Rauscher — 150.
Romocki — 49.

Rożen — 279, 280.
Sanojca — 204.
Sikorski — 21.
Skarga — 17.
Składkowski-Sławoj — 97, 235, 255.
Skrzyński — 18, 19, 20.
Sławek — 269.
Słowacki — 104—109, 186.
Smetona — 93.
Smólski — 19.
Sosnkowski — 85, 87.
Stachiewicz — 156.
Stecki — 49.
Stołypin — 42.
Stresemann — 144, 151.
Sułkowski — 126.
Supiński — 255.
Szeptycki — 21.
Szymański — 204.
Świtalski — 163, 237, 269, 270, 272.
Tokarzewski — 32.
Tuhaczewski — 155.
Waldemaras — 92, 93, 95, 96, 142—152, 164.
Waleron — 49.
Wanda (Piłsudska) — 231.
Wenda — 137.
Wielopolski — 65, 282.
Witos — 18, 19, 20, 21, 22, 23.
Władysław (król) — 109.
Wojciechowski (Prez. Rzplitej) — 18, (19), (21), (23), 30, (31), (32), 32, 33, (51).
Woźnicki — 49, 158, 205, 204, 222, 231, 233.
Wyrzykowski — 159, 160.
Zaleski (min. spr. zagr.) — 144, 153.
Zaleski (sędzia) — 241.
Zdziechowski — 18.
Ziemięcki — 18, 49.
Zygmunt (król) — 109.
Żeligowski — 83, 85, 137, (138), 145.
Żeromski — 116.

# SPIS RZECZY.


| | Str. |
|---|---|
| Od wydawców | 5 |
| Słowa człowieka władzy | 7 |
| O wyniku przesilenia rządowego i t. zw. trzecim rządzie Witosa | 18 |
| Oświadczenie złożone przedstawicielom prasy po wkroczeniu do stolicy kraju | 25 |
| Rozkaz do armji | 26 |
| O dniach przełomu i o sytuacji przed Zgromadzeniem Narodowem | 29 |
| O prawicy i lewicy w Polsce | 38 |
| O rządach sejmowych | 44 |
| Przemówienie do przedstawicieli stronnictw sejmowych | 49 |
| W sprawie wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej | 54 |
| O Prezydencie Rzeczypospolitej prof. dr. I. Mościckim | 56 |
| O najwyższe władze wojskowe | 60 |
| Mowa na zjeździe Legjonistów w Kielcach | 64 |
| Przemówienie na zamku w Nieświeżu | 69 |
| Przemówienie przez radjo (11.XI.1926 r.) | 71 |
| O organizacji obrony Państwa | 78 |
| O przewrocie na Litwie i stanowisku Polski | 92 |
| O kulturze fizycznej Narodu | 97 |
| Przemówienie przez radjo podczas zjazdu oficerów rezerwy w Krakowie | 102 |

Przemówienie w Krakowie na Wawelu . . . 104
Przemówienie w Wilnie — 2.VII.1927 r. . . . 110
Przemówienie na zjeździe Legjonistów w Kaliszu . 112
W sprawie dekretów prasowych . . . . 129
List do wdowy po ś. p. G. Daniłowskim . . . 136
Pożegnanie gen. Żeligowskiego . . . . . 137
Przemówienie w ambasadzie francuskiej . . . 139
O stosunkach polsko-litewskich i opinja o Waldemarasie . . . . . 142
Przemówienia w Genewie . . . . . 150
Przedmowa do II wydania „Roku 1920“ . . . 155
Otwarcie Sejmu . . . . . 159
O przyczynach rezygnacji ze stanowiska Szefa Rządu 163
Przemówienie na zjeździe Legjonistów w Wilnie . 180
Przemówienie w Bukareszcie . . . . . 193
O pobycie w Rumunji . . . . . 197
Z przemyśleń Naczelnika Państwa . . . . 198
Przemówienie w Komisji Budżetowej Senatu . . 202
Dno oka . . . . . 221
Pożegnanie prof. dr. K. Bartla . . . . . 237
W sprawie gen. Minkiewicza . . . . . 239
Oświadczenie w sprawie min. skarbu. G.Czechowicza 241
Wychowanie fizyczne dzieci i młodzieży . . . 247
List do mera m. Verdun . . . . . 253
Oświadczenie przed Trybunałem Stanu . . . 255
List na zjazd Legjonistów w Nowym Sączu . . 265
Gasnącemu Światu . . . . . 268
Wspomnienie o Grzybowie . . . . . 277
List do wdowy po ś. p. prof. Dybowskim . . . 286
Skorowidz nazwisk . . . . . 287

24423
im. Gen. Bron

## WAŻNIEJSZE ZAUWAŻONE OMYŁKI DRUKU

| *Str.* | *Wiersz* | *Jest* | *Powinno być* |
|---|---|---|---|
| 18 | 6 od góry | Ziemęcki | Ziemięcki |
| 19 | 1 od dołu | fluktacji | fluktuacji |
| 20 | 12 od dołu | sumienie | sumienia |
| 25 | 11 od dołu | się | się, |
| 30 | 10 od dołu | rząd „silnej ręki“, | rządy „silnej ręki“, |
| 33 | 16 od góry | wzięcie władzy | wzięciem władzy |
| 33 | 4 od dołu | zasadniczych | zasadniczym |
| 34 | 18 od góry | codzienej | codziennej |
| 39 | 15 od dołu | naszych sąsiadów, | naszych sąsiadów ze wschodu, |
| 41 | 1, 2 i 3 od góry | kwestja postawiona zarówno przezemnie jak i przez życie na tem polega. | kwestja, postawiona zarówno przezemnie, jak i przez życie, nie na tem polega. |
| 42 | 10 od góry | muszą | muszę |
| 45 | 1 od dołu | swojem resortem | swoim resortem |
| 46 | 12 od góry | krewnych tych krewnych | krewnych, znajomych tych krewnych |
| 47 | 6 od dołu | nie mające wielkich ilości | nie mającemi wielkiej ilości |
| 51 | 18 od góry | po raz pierwszy | po raz ostatni |
| 70 | 5 od dołu | pamięć po nim | pamięć o nim |
| 83 | 15 od dołu | na którym | nad którym |

| *Str.* | *Wiersz* | *Jest* | *Powinno być* |
|---|---|---|---|
| 90 | 6 od dołu | liczę | Liczę |
| 93 | 15 od dołu | jedyne zarządzenie | jedyne zarządzenie, |
| 95 | 11 od dołu | wątpliwości, | wątpliwości |
| 113 | 3 od góry | wielką pracę naszego życia | wielką prawdę naszego życia |
| 124 | 14 od dołu | nie znajduje | nie znajduję |
| 140 | 15 od dołu | ofensywę | ofenzywę |
| 158 | 2 od dołu | przemowiedmowie | przedmowie |
| 172 | 6 od dołu | minitrów | ministrów |
| 173 | 4 od dołu | skorbowego | skarbowego |
| 174 | 5 od góry | tych urzędów | tylu urzędów |
| 184 | 12 od góry | co miłe pamięta | co mile pamięta |
| 186 | 3 od dołu | co mile | co miłe |
| 242 | 13 od góry | Amryce | Ameryce |
| 244 | 10 od dołu | pieniądzy | pieniędzy |
| 265 | 12 od góry | sierpień, | sierpień |
| 265 | 3 od dołu | prawda głosi | prawdę głosi |
| 266 | 14 od dołu | ścisłością powtórzam | ścisłością, powtarzam |
| 276 | 10 od dołu | przypomniałem | przypominałem |
| 281 | 3 od góry | przejazdy i nastawienia | przejazdy i nastawienia, |
| 281 | 12 od dołu | Palskę | Polskę |

A/8611